

MEMORIAL
General Marii Wittek



Ak
4-va
Powstanie

4 2001

PARFIENOWICZ Barbara
z ul. Paszkowska

ps. Sgłwie

263/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — PARFIENOWICZ Barbara

z d. Paszkowska

ps. „Sylwia”

263/WK

I/1. Relacja ✓ k. 7, s. 1-11

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ k. 1, s. 1

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora ✓ k. 1, s. 1

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 139, s. 1-139

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓

III Relacja

- Kwestionariusz w sprawie służby PWSK, Bydgoszcz 1971, mps, rkps, onyg, k. 3, s. 1-6.
- Relacja własna [b.d.], mps, rkps, onyg, k. 3, s. 7-9.
- Życiorys własny [b.d.], rkps, onyg, k. 1, s. 10-11.



KWESTIONARIUSZ w sprawie służby P W K

W wypadku relacji A można nie odpowiedzieć na pytanie 1A i 2A
W wypadku relacji B pytania 3-8 odnoszą się do powiaźki nieżyjącej

- 1A Barbara Parfienowicz z domu Paszkowska
imię, nazwisko, pseudo respondentki, u mężatek także nazwisko panienskie
- 1B Aldona Brünner, Jadwiga Łatocice
imię, nazwisko, pseudo powiaźki nieżyjącej, o której wypełnia się kwestionariusz
- 2A Bydgoszcz ul. Chodkiewiczów 15-24
Adres obecny respondentki
- 2B nie żyje
Adres rodziny lub przyjaciół powiaźki nieżyjącej
- 3 rok urodzenia 12 marca 1923 miejscowość/powiat/ Siedlce
- 4 pochodzenie społeczne inteligencja me. zawód rodziców gen. i gen. Dajka Polak
- 5a pełne średnie Gimnazjum Mikronidy P. Trudowej Warszawa 20 lat matka
wykształcenie w 1939r. - nazwy szkół, gdzie, kiedy, ilość klas
- 5b średnie + Szkoła Pielęgniarska + Studium Specjalistyczne Pielęgniarskie
WYKSZTAŁCENIE obecne
- 6a 1 kwietnia 1944 roku pielęgniarka dypl. Warszawa ul. Ślaska Hospital Dr. Wójc.
Pierwsza praca zawodowa w życiu, rok podjęcia, rodzaj pracy, instytucja, miejscowość
- 6b Warszawa
- 6c Instytut do spraw pielęgniarskich P. dt: R. ul. Władysława
Bieżąca praca lub poprzedzająca przejście na rentę

Informacje o służbie P W K

- 7a data wstąpienia do P W K 1942 roku Konspiracyja A.K.
- 7b nazwa i miejscowość jednostki /hufiec szkolny, hufiec licealny, oddział fabryczny, drużyna w.f., koło lokalne/
- 7c przebieg szkolenia - także na obozach i kursach /możliwie z podaniem roku, jednostki, miejscowości oraz rodzaju: ogólnowojskowe, fachowe, instruktorskie, inne
Warszawa w konspiracyji pedagogicznej A.K. dla kobiet
- 7d przebieg służby P W K /z podaniem lat i funkcji w jednostkach stałych, na obozach i kursach, w komendach P W K a także w jednostkach specjalnych jak drużyny pracy społecznej, pogotowie społeczne i i./ wstąpienie do A.K. (Konspiracyja Krajowa)
1942 roku, 1943 roku w konspiracyji pedagogicznej dla kobiet
Warszawa mianowana drużynową drużyny sanitacyjnej przy bat. kob. Dr. Wójc.
Warszawa mjr. Roca 1944 r. (konspiracyja w Warszawie) ul. Władysława
- 7e funkcja i stopień organizacyjny w dniu 31. sierpnia 1939r. nie należała
oraz miejsce pobytu w tymże dniu
- 8 inne dane i uwagi o służbie P W K a także o przynależności do innych organizacji społecznych lub współpracy z nimi, od 1933 roku należała do
Warszawskiej Konspiracyji

Czy Respondentka wyraża zgodę na umieszczenie Jej nazwiska w przewidywanej publikacji /np. w indeksie nazwisk/: tak

Bydgoszcz 7. III 1969
miejscowość i data wypełnienia kwestionariusza

Parfienowicz Barbara
podpis /ewentualnie przyjęty pseudo-
nim/

ANKIETA o pracy wychowawczej P W K

1. Opisz, co spowodowało Twoje zapisanie się do P W K?
 /może wpływały na to m.i. namowy koleżanek, lub innych osób; oczekiwanie zabawy, sportu; nacisk szkoły; chęć aktywności społecznej; oddziaływanie instruktorki P W K; chęć przeżyć patriotycznych i służby; dążenia feministyczne; wymień inne motywy./
 Podaj również nieco szczegółów o środowisku Twego ówczesnego życia.

W roku 1938 zdałam maturę gimnazjalną (maturę maturalną) w sierpniu z tym - była jesień ze względu na młodość do P.W.K. Dopiero po ukończeniu 16 lat można było wstąpić do tej organizacji. Dopiero w roku 1942 w czasie służby niemieckiej postanowiłam wyjechać patriotycznymi stopkami w ramach walecznych kobiet. Wstąpiłam do Armii Krajowej i wówczas należałam do P.W.K.

2.a. Jakie rodzaje zajęć powiackich utkwiły Ci w pamięci, jakie formy i metody pracy wychowawczej?

W sierpniu z tym jest w okresie, gdy wstąpiłam do szeregu P.W.K. była również Akcja Piłsudskiego postanowiłam sama stworzyć drużynę sanitarną i wchodzić w tym kierunku drużyny. Sama prowadziłam szkolenia po linii wydziałowej w tajnej podchorążówce w tym zakresie i regularnym wydziałem i podlegać jej komuś. W tym okresie nauczyłam się dyscypliny wojennej, oraz umiejętności dowodzenia.

B. Opisz je i oceń ich znaczenie w Twoim życiu powiackim

Wstąpienie do wojska było dla mnie ogromnym przeżyciem ponieważ umożliwiło mi przygotowanie do wojny, pomogło podjąć walkę ze zmiennymi warunkami okupacji i poznać jej warunki.

3.a. Uprzytomnij sobie i opisz osoby z pracy powiackiej, które wywarły na Ciebie wpływ

One Godette - naukowca, kierownika internatu dla dziewcząt Rady Opłowej i Pielęgniarki w Warszawie. One to osoba wywarła na mnie do tej organizacji. One była postacią dobrą przyrodą i entuzjastycznie podjęła mi tylko mnie, ale także oboje z dziewczynami przeżyły w internacie namówiła do wstąpienia do tej organizacji. Armii Krajowej.

3. b. Na czym polegał ten wpływ, /także w wypadku, gdybyś go - wówczas czy obecnie - oceniła jako nie zbyt pozytywny/

Wpływ ten był jak najbardziej pozytywny. W owym czasie młodzieńcy gorąco i z całym entuzjazmem do organizacji i realizacji jej wódców prowadzono uświadamianie w stosunku do E. Grodzkiej.

4. Czy obecnie uważasz, że uczestnictwo w P W K wywarło na Ciebie trwały wpływ, zmieniło Cię w jakiejś mierze?

Np. opisz, czy:

- a. uzyskałaś pewną wiedzę potrzebną obywatelowi, jaką?
- b. zdobyłaś pewne umiejętności, jakie?
- c. nauczyłaś się pracy społecznej,
- d. nabyłaś pewne cechy, jakie?
- e. nawiązałaś ważne więzy przyjacielskie i koleżeńskie,
- f. zubożyło Cię, zabrawszy niepotrzebnie czas,
- g. wymień inne dostrzeżone oddziaływanie pracy powiatowej

tele
W jaki sposób można przysłużyć się Ojczyźnie i jaki powinien być wyrostek.
Kawczyński i literaci i jego marzenie sobie stale wychowywać by bliżej dobiega przysłużyć kawczyński i bliżej pracy społecznej oraz poświęcić odpowiadając na swoje sprawy. Kawczyński swoje życie poświęcić i poświęcić. Dyscyplina, Odwaga

5.a. Gdybyś miała wówczas córkę w odpowiednim wieku, czy skierowałabyś ją do P W K?

b. Dlaczego ?

tak nie
ze względu na patriotyzm oraz by nauczyć ją żyć w grupie a także by nie była aktywistką społeczną.

6. Jakie czynniki ukształtowały przede wszystkim Twoją postawę obywatelską ?

- 1. Rodzina
- 3 P W K
- 2. Inne organizacje /jakie? / Harcerstwo Polskie
- 4 Szkoła
- 6 Środowisko koleżeńskie
- 5 Literatura
- Inne czynniki /jakie? / Inne

Proszę odpowiednio pozycje podkreślić i te pozycje podkreślone ponumerować wg przypisywanej im ważności a book czynniki opisać

7.a. Czy fakt, że byłaś pewniczką wpłynął na Twoje życie w czasie okupacji?

tak nie

b. W jaki sposób?
W jakiej mierze?

Zmobilizował mnie do tego, by walczyć z Niemcami.

8. Inne uwagi związane z uczestnictwem w P.W.K

Wstąpienie w szeregi P.W.K przy Armii Krajowej w Warszawie. Umocniło moje przekonania, by walczyć o wyzwolenie i o wyzwolenie Polski. Umocniło podchodzący do kobiet wrogość ze strony wielu ludzi potrzebnych do pełnienia obowiązków żołnierskich. Od 1942 do 1944 wzięty w lasy w rejonie m. Starażewo - około 60 dni w szeregach sanitariuszek, potem w czasie Powstania Warszawskiego 1944. Była pierwszą kobietą w szeregach sanitariuszek - sanitariuszką i zginęła w czasie Powstania AK. W 1944 roku została wzięta do niewoli przez Niemców. Przez kilka dni w szeregach sanitariuszek przy batalionie kapit. Slika w Zgrupowaniu szp. Roga na Starym Mieście w Warszawie. 28 września 1944 roku została odznaczona

Wojciech Walczuk.
Wymienione przez mnie koleżanki: Aldona Brühner i Jadwiga Zaleska były przed 1938. członkiniami P.W.K. Oba zginęły w czasie Powstania Warszawskiego w czasie pełnienia służby wojennej. Jadwiga Zaleska była pierwszą zgrupowania szp. Roga - odznaczona tytułem wojennej Walczuk. Aldona Brühner zginęła w szeregach sanitariuszek i zginęła w Benderach Polski - w pierwszym dniu sierpnia 1944 r.

Ad. I Pruhý Služby v 1838.

I/1/5

Od 1833 rokem náležel do Hrabství Poldieho i v rokem 1838 ve vrasním běhu udíal v abroni vrasny.

Poušel na hras šentery 2° i jako šenterynske převatel v punktu P.C.K. na Dvorem Gdeništi v Hrabství, gdmí udílel na penazy šenteryní vrasny i ošivonem z fransportiv vojshovyl. Gfyz Dvorem ulyl vrasny udílel na penazy národný valozay na beryhadch i ošivonem over ludvost cyrkvej.

V rokem 1841 vstúpil do Akademy Pielg gdeništi, gdmí navle kvete 2 1/2 leta. V rokem 1842 vstúpil do broní krajovij v Hrabství do vrasny P.W.K. Prezantam přišlo hras vojshov v tojnyj podchoviv dle kobit, a nastypní vrasny mianovane dvižnyz dvižnyz šenteryní kobit. do ktoryj hras verbod šenterynske i vrasny je na krasch šenterynske. Vrasny do kampani por. vrasnyj pyz batalionij lpt. Dribe v Izpravovani vrasny. Roze Vrasny Povstani vrasny 1 sícpin 1844 vrasny mianovane komendentij kobit šenterynske i gdeništi pyz batalionij lpt. Dribe v Hrabství Službi Odrony Povstani. Dovođit 3 dvižnyz šenterynske over 1 dvižnyz gdeništi Izpravovani 2 vrasny vojshov pyz d. Frate 8 10

over w Złotym Salwamentu na ul. Stenograficznej 1/16
dla rodziny i siostry.

5 października 49 r. po kapitulacji wyjechał z Warszawy
do Ożarowa i po drodze udał się do zbieg.

Od 1945 roku pracował w Klinice Dringera przy ul.
Lilkeńskiej 16 w Warszawie w charakterze podyplomistki dypl.

Od roku 1951 pracuje w Bydgoszczy w Ministerstwie
Obrony. Obecnie zajmuję stanowisko instruktora

d/s podyplomista P. O. R. W. w Bydgoszczy

członkiem komisji powołanej z dnia 10 kwietnia 1951 r.

Postanowiłem wnieść do Komisji prośbę o
rehabilitację i zmianę nazwiska, bo mam
nazwisko z wydziału.



Barbara Papierz

płynęło dnia 12.04.2000
dz. 798/KSlc/2000

Barbara Parpiensowa
z domu

1/17

RELACJA

Krok - Paszkowska Barbara pseudonim Sylwia Odsadnia
Urodzona 12 marca 1923 roku Siedlce.
Matka Helena Ewelina z/d Świecimska, ojciec Maria. Henrykś
Przewodnicząca Rodzin Wojskowych, Związek Legionistów Polskich
Zamieszkała : 85065 Bydgoszcz ul Chodkiewicza 15 m24 tel 321611
Wykształcenie : średnie w 1947 i 3 letnia Szkoła Pielęgniarska 1944r
oraz 2-letnie Studium Pielęgniarstwa Srodowiskowego 1972 r.
Od kwietnia 44 r do 51 r pracowałam w Warszawie / Klinika Dziecięca
Szpital Dzieciątka Jezus, Szpital Miejski nr 8 od roku 1951 do 76r.
pracowałam w Bydgoszczy : przychodnia Rej nr 10, w Wydziale Miejskim
Służby Zdrowia jako insp / do spraw pielęgniarskich. Szpital Zakaźna
oraz Przychodnia Rej nr 22 jako przełożona Pielęgniarek. Od roku
1960 do emerytury pracowałam społecznie w Polskim Towarzystwie Pie -
lęgniarskim jako przewodnicząca na szczeblu miasta , a następnie jako
wiceprzewodnicząca na szczeblu województwa następnie jako sekretarz.
Organizowałam Olimpiady Pielęgniarskie. Od 1958 roku do do 70r. byłam
w Komitecie Rodzicielskim w szkołach nr 6. szkole ćwiczeń a następnie
w Liceum Ogólnokształcącym nr 6. Od 70 r do emerytury należałam do
Stowarzyszenia Wychowania Seksualnego do PCK. urywkowo. do Zuchów od 5 lat
do 7, w ZHP od 7 lat do 16 czyli do września 39 roku włącznie
Brałam udział w kampanii wrześniowej z remieni Harcerstwa. Miałam
przydział jako sanitariuszka w pnkcie PCK na Dworcu Gdańskim z ra-
mienia 10 drużyny ZHP na Żoliborz w Warszawie a następnie brałam udział
w Obronie Przeciw Lotniczej. Od października 39r do września 41r
pracowałam w prywatnych domach jako opiekunka dzieci. Od września 41 r
do kwietnia byłam uczennicą Warszawskiej Szkoły Pielęgniarskiej w Warsza-
wie przy ul Smolnej 6
Od 1937 r do 1951 r, mieszkałam w Warszawie ul. Promyka 15 i ul Czerwo
nego Krzyża 1

II/1/8

Do konspiracji wstąpiłam 2 stycznia 1942 roku, wprowadzona i zaprzysiężona przez harcmistrzynię Ewę Grodecką (do Armii Krajowej.)

Najpierw zostałam przeszkolona a następnie polecono mi szkolić przyszłe sanitariuszki /WSK / W maju 1943 r. przydzielono mnie do Zgrupowania mjr Roga / Stanisław Błaszczyk / do batalionu por. Dzika / Tadeusz Okolski / kompanii Zenona Szczerby / Zenon Szczepkowski gdzie pełniłam funkcję drużynowej a następnie Komendantki sanitariuszek i łączniczek batalionu. Nasz batalion liczył 400 osób. Dostaliśmy przydział na Starym Mieście .

Odbyłam przeszkolenie wojskowe i instruktarskie w WSK w Warszawie następnie przez 2 lata szkoliłam przyszłe sanitariuszki w zakresie udzielania 1 ej pomocy, transportu chorych, bandażownictwa oraz pracy w ambulatoriach / punktach sanitarnych / W czasie powstania nadzorowałam działalność sanitariuszek i łączniczek . Miałam stały przydział w sztabie batalionu, zorganizowałam i nadzorowałam szpitalik batalionowy dla rannych przy ul Freta 10 . Dbałam o morale dziewcząt.

Odznaczenia

1. Krzyż Walecznych nr. DK- 0255 / W
2. Medal za Walkę 1939-1945
3. Warszawski Krzyż Powstańczy nr 60-83-40
4. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski nr 859-90-81
5. Krzyżem Armii Krajowej nr 73-59
6. Złotym Krzyżem Zasługi

Moja matka brała udział w Obronie Warszawy 1939r a w Okresie konspiracji znajdował się u niej punkt kontaktowa AK, gdzie przebywały przydzielone osoby zagrożone przez Gestapo adres Chylice pow Konstancin ul Parkowa 36.

Brat Józef ur. 1917 r był członkiem AK Wilno i działał jako kurier W 43 roku został aresztowany w więzieniu w Grodnie i przekazany do obozu koncentracyjnego w Majdanku pod pseudonimem

Roztrzelany pod koniec 43 roku pod ps. Stanisław Tarasiewicz
Brat Jan ur. 1925 r. Był członkiem Armii Krajowej od 1943 r. Brał udział
w powstaniu warszawskim jako dowódca plutonu Baszta w kompanii dywersji
Granat. Odznaczony Krzyżem Walecznych. W 45 r. więzień UB. Uciekł na teren
Niemiec a następnie był oficerem 2 ego Korpusu we Włoszech. Odznaczony
2-krotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Zasługi z mieczami ~~xxxx~~
od 1952 do 65 pracował w Radiu Wolna Europa następnie jako dyrektor Działu
Południowo Wschodniej Europy w BBC

Siostra Krystyna ^{r. ur. 1917} Członek AK miała w mieszkaniu punkt kontaktowy na broń
i amunicję adres Plac Narutowicza ul. Uniwersytecka 1 w Warszawie

Siostra Jadwiga Masłowska r. ur. 1921- łączniczka AK członek WSK działała
na terenie Skolimowa

Obecnie mam stopień wojskowy Podporucznika

Prawdziwość podanych danych relacji potwierdzam

Barbara Panfienowicz

Berbona Parfienowa
zam. ul. Chodkiewicza 15/24
85065 Bydgoszcz

I/1/10

Zyciorys

Urodziłam się dn. 12 marca 1923 r. w Siedlcach. Ojciec Henryk, matka Helena, Eveline Krosz Paszkowscy. Szkołę powszechną ukończyłam w Baranowiech w 1935 roku, a Gimnazjum im. Aleksandra Giełtowskiej w Warszawie w 1938 roku. Od 1930 r. byłam kancerką. Byłam udział w obronie W-ry na Drzewie Gdanskim w drużynie kancerki nr 10 na Żoliborzu. (dyżurny w punkcie P.C.K.) Od listopada 38 do września 40 pracowałam prywatnie jako opiekunka dzieci. Od września 40 do września 41 pracowałam w Domu Dziecka w Konstancinie jako higienistka. Od września 41 do marca 1944 uczęszczałam do 3-letniej Szkoły Pielęgniarskiej w W-nie przy ul. Smolnej 6. Ukończyłam 17 marca 1944 r. i otrzymałam przez siebie pielęgniarską dypl. w Szpitalu Dziecięcym na ul. Słuckiej w W-nie. do wybuchu Powstania Warszawskiego. Od roku 1942 należałam do Armi Krajowej gdzie przetrwałam przeszkolenie wojskowe przy W.S.K, a następnie po reorganizacji schodziłam przyłączyć do Szpitali. Od 1 VII 44 do 2 X 44 r. brałam udział w Powstaniu Warszawskim jako Komendantka Szpitali: Szpitali przy batalionie kpt. „Dzięk” Tadeusza Okolskiego w Zgrupowaniu mjr. Rogo na Starym cmentarzu, a po upadku jego i przejściu Kanclerz w Śródmieściu na Starym cmentarzu zorganizowałam 2 punkty szpitalne przy ul. Frata 10 i przy Zgrupowaniu Sióstr Sakramentek przy ul. Chodkiewicza. 23 sierpnia 44 r. zostałam ranna i przytrzymana 2 października 44 wraz ze swoim batalionem siłam do niewoli niemieckiej i wdeło mi się w drodze ucieki.

Po uroczniku by z obfary miumidij adetam by do smejj
prajaciolki Barbary Perryng i mgi jsi Tadiusz dr. med. z etim-
dnit mnie w Pomaniu R. g. O (Rady Główny Opiekunicy)
w Łowiczu jako pielęgniarki Od roku 1846 do 51 pracowałam
w Warszawie w Szpitalu Dziecięcym przy ul. Litewskiej 16 a następnie
w Szpitalu nr 8 przy ul. Solca jako pielęgniarka dypl.

W roku 1847 ukończyłam liceum Ogólnokształcące dla Dorożek
przy ul. Hożej 13 i zdałam maturę i egzamin na Wydział Prawa
w Uniwersytecie Warszawskim. Po roku wyjechałam z matką i
wzjechałam na rygi stan zdrowie. W 1851 r. zwróciłam się do Bydgoszczy
z Wierusławem Parfianowiczem i przenieśliśmy się do Bydgoszczy
gdzie pracowałam w Szpitalu Dzieciątka aż do roku 1870
jako przełożona pielęgniarki a następnie przenieśliśmy się do Warszawy
W roku 1871 ukończyłam 2-letni kurs z zakresu
pielęgniarstwa Środowiskowego i przez 4 lata wykładałam w Woj. Ośrodku

Doskonalenie Średnich Kadr Oświaty. W tych latach
byłam przełożoną pielęgniarstwa Środowiskowego w Bydgoszczy
i powiatu.

W 1851 roku urodziłam córkę bliźni 20 IX a w 1854 syna
Piotra (7 VII 54)

Od roku 1860 do 78 byłam przewodniczącą a następnie
wice i sekretarzem w Zarządzie Woj. Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskie-
go. Od 58 r do 72 angażowałam się w pracy Komitetu
Rodzicielskiego (Szkoła podstawowa i Liceum Ogólnokształcące nr 6)
pełniąc funkcję sekretarza w Zarządzie.

Od roku 1850 do 86 byłam członkiem Zarządu Woj.
O Wolności i Demokracji. Od roku 1886 do chwili obecnej
jestam członkiem Sr. Org. Związku AK oraz członkiem
Zarządu Zw. Powstańców Warszawskich pełniąc funkcję sekretarza
B. Parfianowicz

I/2 Dokumenty

- zaświadczenie Komendy Garnizonu OLP, Warszawa 1939, mps, rleps,
kopia, k 1, s.1.



KOMENDA GARNIZONU
DOWÓDZTWO OPL OSRODKA WARSZAWA

Nr. 767-340/39.

Warszawa, dnia 17. IX. 1939 r.

ZASWIADCZENIE.

Zaswiadcza się, że P. *Wroch Pawłowska Ewelina*
pełniąca służbę ochotniczą od dnia *1. września 1939*
~~w O.P.L. Ośrodka Warszawa w okresie dniem 82 się 82~~
~~na skutek redukcji związanej z oblężeniem Warszawy~~
za wytrwałość i pracę w dniach ciężkich imieniu służby
dziękuję.

DOWODCA OPL OSRODKA WARSZAWA

Tymon
BOGDANWICZ TADEUSZ
Pułkownik

I/3 Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora
- Informacje - lista kobiet z Powstania Warszawskiego z Bydgoszczy,
[b.d.], mps, kopia, k. 1, s. 1.



11. Parfienowicz Barbara Ojciec Henryk, matka Helena, Ewelina z/d
Swiecimska Krok- Paszkowscy
ur. 12 marca 1923 r w Siedlcach

Wykształcenie średni + zawodowe. Warszawska Szkoła Pielęgniarska
2-letnie Studium Specjalistyczne Pielęgniarstwa Srodowiskowego
Zawód : dypl. pielęgniarka

Do AK wstąpiła w 1942 r sanitariu zka Była członkiem WSK

W czasie Powstania przydzielona do Bat. Dzik w Zgrupowaniu mjr Roga
na Starym Mieście .W drodze do niewoli niemieckiej uciekła.

Od 46 roku praca w Szpitalu Dziecięcym w Warszawie od roku 51
praca pielęgniarska w Służbie Zdrowia w Bydgoszczy.

W czasie Powstania ranna. Grupa inwalidztwa wojennego od 76 r III gr.
stanu ogólnego I grupa

Praca społeczna od 1960 r przewodnicząca Polskiego Towarzystwa
Pielęgniarskiego Od 1970 r do emerytury była wiceprzewodniczącą
tego Towarzystwa na szczeblu wojewódzkim.

Należy do Zw. Inwalidów Wojennych. Światowego Związku Żołnierzy AK,
Związku Powstańców Warszawskich pełniąc funkcję sekretarza.

Odnaczenia Krzyż Waleczny, Kawalerski Krzyż Odrodzenia Polski
Złoty Krzyż Zasługi. Krzyż AK. Krzyż Partyzancki. Medal za Warszawę
39- 45

W roku 1951 zawarła związek małżeński z Władysławem Parfienowicz
w roku 52 urodziła córkę Marię w 54 syna Piotra.

II Materiały uzupełniające relację

- B. Parfienowicz, Szlakiem wspomnień, Bydgoszcz 1995, mps, kopia, k. 133, s. 1-133.
- S. Gozdziewski, Wystąpienie nad grobem, Bydgoszcz 2001, rkps, kopia, k. 6, s. 134-139.



BARBARA PARFIENOWICZ
Z/D KROK PASZKOWSKA

BYDgoszcz 1995ROK

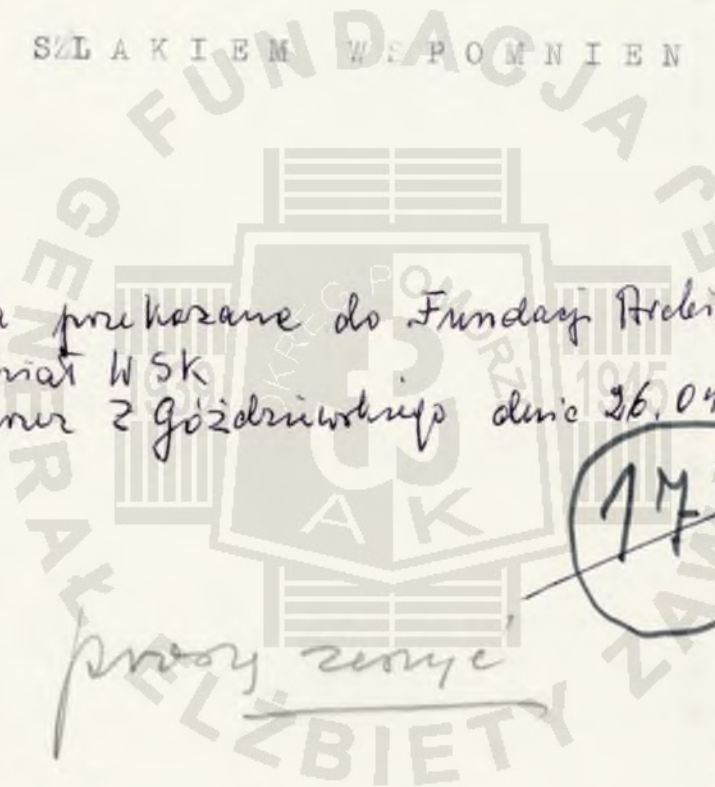
SZLAKIEM WSPOMNIEN

Kopia przekazane do Fundacji Archiwum Pomorskiej PK
dnia 11 VSK
przez Zgodzińskiego dnia 26.04.95

proszę zwrócić

~~177~~

~~110~~



PIERWSZE KROKI W KONSPIRACJI

1 września 1939 roku stał się tragedią naszego Narodu. Niemcy podstępnie napadli na Polskę i rozpoczęła się Druga Wojna Światowa. Przez cały miesiąc polski żołnierz walczył o naszą wolność, zmagając się z dużo silniejszą i nowocześniejszą armią niemiecką. Toczyły się krwawe walki nad Bzurą, Wisłą i Bugiem. Broniły się bohatercko Westerplatte, Modlin, Warszawa, Lwów i Hel. Wkroczenie Sowieców na nasze wschodnie tereny przecięło możliwości dalszej obrony i przyspieszyło decyzję naszych władz do ewakuacji. Władze rumuńskie internowały Prezydenta, Rząd, Marszałka i Generałów, wśród których znajdował się także mój ojciec. Wojsku udało się jednak dotrzeć do Francji. Prezydent Ignacy Mościcki przekazał swoje uprawnienia swemu następcy Prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi, co umożliwiło ukonstytuowanie się nowego Rządu we Francji. Premierem i jednocześnie Naczelnym Wodzem został gen. broni Władysław Sikorski. Ciężkość Państwa Polskiego została utrzymana. Fakt ten miał ogromne znaczenie dla Polaków, którzy mogli dalej prowadzić wojnę z Niemcami w kraju i za granicą. Na terenach okupowanych przez obu okupantów Niemców i Sowieców społeczeństwo polskie było terroryzowane a ich sytuacja życiowa stawała się z roku na rok coraz bardziej tragiczna. Okupanci ekspluatowali nasz kraj, wywozili wszelkie dobro / żywność, bogactwa naturalne, kulturowe, maszyny, urządzenia itp / brali siłę roboczą, niszczyli inteligencję / obozy koncentracyjne, masowe egzekucje /. Po klęsce wrześniowej zaczęły się tworzyć na terenie okupowanego kraju podziemne organizacje. Wśród nich SZP / Służba Zwycięstwu Polsce / która potem stała się ZWZ / Związkiem Walki Zbrojnej / wreszcie AK / Armią Krajową /. Główna działalność tej organizacji to była walka z okupantem i przygotowanie do ogólnokrajowego powstania. Walka to była przede wszystkim samoobrona i działalność sabotażowo-dywersyjna. Głównym Komendantem AK od 30.06.40 r. został pułk. Stefan Rowecki a po jego aresztowaniu przez Gestapo gen. Tadeusz Bór - Komorowski. Armia Krajowa była podporządkowana Rządowi Polskiemu w Londynie.

Gdy rozpoczęła się wojna miałam 16 lat. Ukończyłam Gimnazjum im. Aleksandry Piłsudskiej i należałam do drużyny harcerskiej nr 6 na Żoliborzu. Brałam czynny udział w obronie Warszawy, pełniąc dyżury sanitarne w punkcie PCK na Dworcu Gdańskim aż do jego zbombardowania. Po kapitulacji zdecydowałam się zdobyć zawód pielęgniarki. Mama bez środków do życia borykała się z trudnościami

materialnymi, mając na utrzymaniu pozostałe moje rodzeństwo. Dom w którym mieszkaliśmy w Warszawie został zniszczony w czasie bombardowania we wrześniu, więc przenieśliśmy się do domku letniskowego w Chylicach. Tam znaleźliśmy schronienie, zresztą nie tylko my, lecz także kilka osób, ukrywających się przed Gestapo, a kierowanych do Mamy przez Armię Krajową. Wśród tych niecodziennych gości znalazł się także pewien młody oficer brytyjski, któremu udało się zbiec z niewoli niemieckiej. Wszyscy członkowie mojej rodziny należeli do podziemia. W mieszkaniu mieliśmy skrytkę, gdzie trzymaliśmy trochę broni, ale ona służyła nam przede wszystkim jako schowek dla nas przed Niemcami. Udało nam się bowiem wykopać mały korytarz, który umożliwiał nam w razie niebezpieczeństwa wyjście na zewnątrz. Niejednokrotnie korzystaliśmy z tego urządzenia, co uchroniło nas od aresztowania.

Dostanie się do szkoły pielęgniarskiej nie było w owym czasie łatwe, ze względu na dużą ilość kandydatek, a także dlatego, że za naukę trzeba było dużo płacić. W myśl przysłowia "dla chcącego nic trudnego" pokonałam te przeszkody, chociaż rozpoczęcie roku szkolnego musiałam przesunąć na późniejszy termin. Chcąc uzyskać stypendium, musiałam rok czasu przepracować za darmo w Domu Dziecka w Konstancinie w charakterze higienistki. Tego rodzaju zajęcie dało mi dużo zadowolenia. Kierowniczką Domu była dawna harcmistrzyni Horągwi Wileńskiej Maria Stankiewicz, wychowawczyniami zaś były przeważnie harcerki. Ja także byłam harcerką, więc czułam się w tym środowisku doskonale. Szeroko przyjęty humanizm, stała

gotowość do niesienia pomocy innym, rozbudzanie zainteresowań społecznych i opiekuńczych, miłość do Ojczyzny - były zawsze założeniami Harcerstwa. Stanowiły one doskonałą pożywkę dla młodych. . Wobec istniejącego okrucieństwa i braku zwykłych ludzkich uczuć ze strony okupanta, tutaj istniała odtrutka na zło. Dzieci, przeważnie ofiary wojny, sieroty lub zagubione znajdowały w tym domu zastępczą rodzinę i troskliwą opiekę. Czułam się wśród nich doskonale. Pokochałam te maleństwa, które tak bardzo potrzebowały serdeczności i gdy nadszedł czas pożegnania nie odbyło się bez łez.

Minął rok. Musiałam wracać do Warszawy. Okazało się jednak, że nie przyznano mi w szkole pielęgniarskiej internatu, jedynie bezpłatną naukę. Czułam się nieco zawiedziona, ale postanowiłam nie załamywać się. Udałam się po radę do harcmistrzyni Ewy Grodeckiej, gdzie zostałam skierowana przez druhnę Marię. Wracałam z tego spotkania uszczęśliwiona. Miałam zapewniony bezpłatny obiad w stołówce R.G.O. /Rada Główna Opiekuńcza/, oraz miejsce na spanie u pewnej staruszki za niewielką opłatą. Mogłam teraz spokojnie rozpocząć naukę. Na pokrycie drobnych wydatków nauczyłam się zarabiać dość prędko. Robiłam na drutach swetry, rękawiczki itp. Druhna Ewa, która mieszkała w tym samym domu co ja, stała się moim przyjacielem i opiekunem, tym bardziej, że miałam z nią codzienny kontakt. Po niedługim czasie ona wciągnęła mnie do pracy w podziemiu. Proponowała bym dostała się do komórki harcerskiej, ale odmówiłam, gdyż wydawało mi się, że wyrosłam z Harcerstwa. Chciałam być prawdziwym żołnierzem.

Druhna Ewa śmiała się ze mnie, ale skierowała mnie, gdzie należało. W ten sposób wstąpiłam do Armii Krajowej i zostałam zaprzysiężona. Wkrótce potem skierowano mnie na przeszkolenie wojskowe organizowane przez W.S.K. /Wojskową Służbę Kobiet/. Nauka w szkole pielęgniarskiej szła mi dobrze, ale zajmowała dużo czasu. Teoria przepłataną była zajęciami praktycznymi w szpitalach. Należało też w odpowiednich terminach zdawać obowiązujące egzaminy z wielu przedmiotów jak anatomia i fizjologia, patologia, farmakologia itp. Musiałam się solidnie do nich przygotowywać. Tak minął pierwszy rok nauki.

Każdą wolną chwilę poświęcałam pracy w tajnej organizacji, aż kiedyś nagle musiałam ją przerwać. Pewnego dnia zatrzymali mnie Niemcy. Oglądali moje dokumenty. Posadzili mnie, że brałam udział w ćwiczeniach wojskowych, co oczywiście było prawdą, a czego się wyparłam.

Sprawa była niebezpieczna. Organizacja obawiała się, czy jestem może przez Niemców obserwowana, dlatego musiałam na pewien określony czas zaprzestać swojej działalności konspiracyjnej. Było mi z tego powodu bardzo przykro, ale rozkaz jest rozkazem. Kwarantanna nie trwała zbyt długo, bo zaledwie parę tygodni.

Wreszcie druhna Ewa powiadomiła mnie, że już będę mogła dalej udzielać się w podziemiu. Otrzymałam nowy kontakt i inny przydział.

Co za radość!

Ucałowałam ją serdecznie za tę wiadomość.

Miałam się spotkać z nową łączniczką o godzinie

siedemnastej na przystanku nr.25, jadącym w kierunku Pragi, tuż przy Moście Foniatowskiego, jeszcze w tym dniu. Na miejscu byłam parę minut za wcześnie i rozglądałam się za młodą dziewczyną z białym goździkiem, przypiętym do sukienki. To był rozpoznawczy znak.

Wreszcie ujrzałam ją. Biały goździk aż raził oczy.

Szła w moją stronę lekkim swobodnym krokiem, jakby była umówiona na spotkanie ze swoim chłopcem.

Ujrawszy mnie, uśmiechnęła się lekko. Zauważyłam, że jest bardzo ładna. Gdy doszła na odległość kroku, szepnęłam jej umówione hasło. Usłyszałam prawidłowy odzew, wypowiedziany niskim melodyjnym głosem.

Ogarnęło mnie silne wzruszenie. Chciałam tę młodą dziewczynę przycisnąć do serca, bo wydawała mi się kimś ogromnie bliskim, jednak w ostatniej chwili pohamowałam się. Zamiast tego chwyciłam ją szybko pod rękę i pociągnęłam w kierunku Wisły. Pogoda była wymarzona na spacer. Od strony rzeki wiał rześki wiatr, niosąc zapach ryb i wodorostów. Słońce chyliło się ponajmniej ku zachodowi.

- Jutro będzie pogoda - powiedziałam, patrząc w niebo.

- To dobrze, gdyż jutro, chce panią poznać porucznik Szczerba.

- Mów mi "Sylwia" - powiedziałam, patrząc z uśmiechem w jej piwne trochę smutne oczy.

- Jaga - odpowiedziała, ściskając mi rękę i też uśmiechnęła się do mnie.

Byłam zadowolona, że tak łatwo przyjęła moją przyjaźń.

Miała w sobie coś nieuchwytnego, coś co wzbudzało

sympatię i zaufanie od pierwszego wejrzenia. Szłyśmy jakiś czas cichutko, patrząc z wysokiego mostu na wezbrane wody płynącej Wisły.

- Patrz! - Rybitwy! - zawołałam radośnie.

Jaga spojrzała na wodę, tam, gdzie wskazywała moja wyciągnięta ręka, ale nic nie odpowiedziała, tylko kiwnęła potwierdzająco głową.

Zamilkłam. Od razu zgasła moja radość. Może ona ma jakieś zmartwienie - pomyślałam. Dotknęłam lekko jej pleców, odwróciła się gwałtownie w moją stronę i wówczas ujrzałam łzy w jej oczach. Nie śmiałam pytać dlaczego płacze.

Na mnie czas - powiedziała, ocierając ręką chusteczki powieki.

Odprowadziłam ją do końca mostu. Szła w kierunku Pragi. Nie rozmawialiśmy jednak ze sobą. Żegnając mnie powiedziała, żebym jutro czekała na nią i porucznika w tym samym miejscu i o tej samej godzinie co dzisiaj. Stałam jeszcze jakiś czas na moście i machałam jej ręką aż zniknęła mi z oczu jej drobna sylwetka.

Odwróciłam się i pomału wracałam w kierunku śródmieścia. Szłam Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem aż wreszcie dotarłam do Krakowskiego Przedmieścia. Zmieszałam się z tłumem spacerowiczów, zaglądałam ludziom w oczy, uśmiechałam się do nich, czułam się z nimi związana wspólną niedolą, wspólnym losem i nienawiścią do wroga. W tym dniu pełnym wrażeń późno wróciłam do domu, ale zdążyłam jeszcze przed godziną policyjną.

Nazajutrz miałam w szpitalu ciężki dzień. Instrumento-
wałam przy ciężkich operacjach. Tego rodzaju zajęcie wy-
maża nie tylko dużo umiejętności, lecz także refleksu i
odporności psychicznej. Po ośmiu godzinach tej uciążliwej
pracy byłam zmęczona. Gorący posiłek i spacer po parku
Łazienkowskim odprężył mnie. Usiadłam na najbliższej ławce
i z przyjemnością obserwowałam piękno przyrody. Słońce wy-
rzało z za chmur. Zrobiło się gorąco. Wystawiłam twarz ku
słońcu. Odpoczywałam. Ani się spostrzegłam, gdy trzeba było
iść na umówione spotkanie. Ruszyłam w drogę. Na przystanku
byli już oboje. Jaga w tej samej sukience, co wczoraj, ale
bez kwiatka, porucznik Szczerba w szarym garniturze. Mimo
zniszczonej nieco twarzy wyglądał młodo. Wysoki, smukły wy-
różniał się z pośród otaczających go ludzi. Podeszłam do nich
wówczas mnie spostrzegli. Jaga zapoznata nas ze sobą. Ruszy-
liśmy w kierunku Śródmieścia. Porucznik przyglądał mi się
ciekawie. Dopiero gdy dochodziliśmy do Nowego Świata po-
żegnała nas Jaga.

- Będziemy udawali zakochaną parę. Tak będzie bezpieczniej-
szepnął mi do ucha uśmiechnięty porucznik.

Szłam posłusznie, lekko przytulona do ramienia zupełnie
nieznanego mi mężczyzny i tak szczerze mówiąc czułam się
strasznie głupio.

Kim jest ten człowiek? Jak będzie mi się z nim współpraco-
wało? Praca w konspiracji jest ogromnie niebezpieczna.
Sprawa jednak została już zdecydowana. Człowiek ten jest
moim dowódcą. Muszę mu ufać.

Rolę zakochanego mężczyzny grał bezbłędnie. Zaglądał mi w oczy

uśmiechał się, ścisnął za ramię, tylko, że ja nie umiałam poddać się narzuconej mi roli. Może dlatego, że Szczerba wiekiem raczej pasował na mego ojca niż adoratora, a może dlatego, że nie podobała mi się jego zbyt duża poufałość. Przed kawiarnią Bliklego porucznik zatrzymał się nagle.

- Wstąpimy ? zapytał.

Kiwnęłam przytakująco głową. Weszliśmy do cukierni, gdzie było pełno młodych ludzi, oraz kilku Niemców w mundurach oficerskich. Znaleźliśmy wolny stolik przy oknie i usiedliśmy.

- Prawda, że tu przyjemnie? - szepnął Szczerba.

- Nie lubię chodzić do lokali. Teraz w czasie okupacji, gdzie się tylko pójdzie wszędzie są Niemcy.

- To prawda, ale nie można ze wszystkiego zrezygnować tym bardziej, że kawiarnie są prowadzone przez Polaków i dają im utrzymanie. Czy widzi pani tę kelnerkę - to znana aktorka. Dał jej znać ręką żeby do nas podeszła.

- Prosimy o wino - powiedział, nie pytając mnie o zgodę.

Po chwili cichym głosem prowadziliśmy rozmowę z której wynikało, że porucznik poleca mi zorganizować drużynę sanitarną.

- Czy będzie to możliwe? - zapytał.

- Tak, ale w jakim terminie?

- Daję pani na to trzy, no cztery miesiące. Im szybciej, tym lepiej. Muszę jednak przypomnieć o konieczności przestrzegania zasad konspiracji. Nie powinno się znać więcej jak trzy do pięciu osób. Tego wymaga bezpieczeństwo.

Dalszą rozmowę przerwała nam kelnerka, przynosząc zamówione wino. Porucznik od razu za nie zapłacił.

- Pozwolę sobie wypić pani zdrowie i za naszą dobrą współpracę - powiedział Szczerba i wypił wino do dna.

- Uprzedzono mnie, że pani przez pewien okres była izolowana od działania w podziemiu. Czy mogę znać przyczynę?

- Wolalabym tutaj o tym nie mówić.

- W takim razie chodźmy. Pójdziemy na spacer nad Wisłę i pogadamy - rzekł porucznik i wyszliśmy na ulicę.

Ruszyliśmy znów w kierunku Pragi i gdy na wiadukcie byli mały ruch mogliśmy śmiało rozmawiać, wiedząc, że nikt niepożądany nie usłyszy tego, o czym mówimy.

- Zamieniam się w słuch - powiedział porucznik zwalniając kroku.

- Proszę zdobyć się na cierpliwość, gdyż opowiem panu wszystko ze szczegółami.

Było to 9 maja 1942 roku. Tego dnia zobaczyłam po raz pierwszy twarze SS-manów z bliska. To było straszne przeżycie. Te martwe, bez wyrazu twarze jakby wykute w kamieniu, nieraz mi się śniły po nocach. Była akurat niedziela, więc spałam nieco dłużej. Koło godziny siódmej zadzwonił u frontowych drzwi dzwonek. Otworzyła je gospodyni, staruszka.

- To do panienki - powiedziała głośno, żebym usłyszała w swoim pokoju.

Po chwili weszła moja koleżanka Marysia Szemiot, także pielęgniarka i od progu zawołała:

- Zarządzono alarm! Ubieraj się! Za pół godziny musimy być na dworcu!

Byłam tak wystraszona jej nagłym wtargnięciem, że ręce trzęsły mi się przy ubieraniu. Zdążyłam jeszcze chwycić coś do jedzenia oraz torbę sanitarną i wybiegłyśmy na ulicę. Na szczęście złapaliśmy od razu tranwaj i na czas zdążyłyśmy na umówione miejsce. Na dworcu podmiejskiej kolejki przy ulicy Belwederskiej panował ożywiony ruch. Słoneczny wiosenny dzień, wolny od pracy, zachęcał do wycieczek za miasto. Zwróciłam uwagę na grupę młodych ludzi, skupionych wokół starszego mężczyzny. Gestykulując pokazywał im coś na rozłożonej mapie.

- To nasz porucznik - szepnęła Marysia. On zarządził na dzisiaj te ćwiczenia w lasach Kabackich. Mamy uczyć się strzelać. Zaraz tam pojedziemy.

- Wszystko rozumiem, ale dlaczego oni stoją w tak dużej grupie, dlaczego na peronie oglądają mapę? Zachowują się nieostrożnie!

- Nie wiem. Znam naszego dowódcę z najlepszej strony - powiedziała.

Pochwili nadjechała "ciuchcia". Wszyscy pasażerowie rzucili się do drzwi pociągu, rozpychając się i tłocząc. Z wielkim trudem udało się nam dostać do przedziału, gdzie jechał porucznik z kolegami. Było tłoczno, ale nastrój panował wyjątkowo dobry. Dowcipkowano, śmiano się. W pewnej chwili ktoś zanucił "Rozszumiały się wierzby płaczące" ... Wnet rozbrzmiała ona donośnie śpiewana przez wszystkich. Kobiety

ukradkiem ocierały łzy. Nie wiem kiedy dojechalśmy do Powsina /niejscowość podwarszawska/. Porucznik dał znać ręką żebyśmy wysiedli. Po chwili sformowani czwórkami maszerowaliśmy w kierunku lasów Kabackich. Droga prowadziła przez łąki na których pasły się krowy. Po półgodzinnym marszu byliśmy w lesie, gdzie na dużej polanie rozłożyliśmy obóz. Następnie porucznik rozdzielił wszystkim zadania. Rozpoczęły się ćwiczenia wojskowe. Obie z Marysią musiałyśmy zorganizować punkt opatrunkowy. Wkrótce zaczęto nam przysyłać "na niby" rannych żołnierzy. Zabrałyśmy się do robienia opatrunków. Gdy bandażowałam koleżkę głowę nadleciał niemiecki myśliwiec. Pikował nisko tuż nad polaną na której ćwiczyła większa grupa kolegów, manipulując przy karabinie maszynowym. Zrozumiałam od razu, że to zły znak. Serce załomotało mi ze strachu. Mój ranny zauważył mój niepokój i mrugnął do mnie okiem, co odprężyło mnie nieco, gdyż zrobił przy tym strasznie śmieszoną minę. Samolot odleciał. Ćwiczenia trwały nadal. Koło południa była przerwa na drugie śniadanie. Wyciągnęłam z torby suchą bułkę i zjadłam ją ze smakiem. Ledwo zdążyłam położyć z powrotem torbę sanitarną, gdy usłyszałam szmer w krzakach. Wyszedł z zarośli łącznik. Był blady i wystraszony.

- Co się stało? zapytałam.

- Niemcy otoczyli las i obstawili wszystkie przejścia.

Porucznik kazał wszystkim zebrać się na polanie.

Spojrzeliliśmy na siebie z Marysią porozumiewawczo i

szybko pozbierałyśmy rozrzucony sprzęt, potem

ruszyliśmy na polanę. Wkrótce byliśmy na miejscu. Porucznik siedział na pniu ściętego niedawno drzewa. Jego srebrzyste włosy rozwiewał wiatr. Twarz miał spokojną, ale zatroskaną.

- Jesteśmy w kotle. Na około wszędzie są Niemcy. Zostaniemy w lesie do nocy, gdy się ściemni, może uda nam się wymknąć - powiedział krótko, ale jasno.

- Może posłać do dowództwa łącznika, żeby przyszli nam z pomocą - odezwał się jeden z kolegów.

- Nie chcę nikogo narażać. Teraz w dzień jest to zbyt ryzykowne - odpowiedział porucznik.

Podniosłam rękę do góry, dając znać że proszę o głos. Porucznik skinął głową, więc wstałam i powiedziałam, że mam pewien pomysł, ale do tego muszę mieć jednego kolegę.

- Co to za pomysł?

- Wyjdę z chłopcem na pozycje niemieckie i będę udawała, że nic nie wiezy o was, że byliśmy na najówce.

Pomysł jest niezły. Można zaryzykować - powiedział porucznik. Co na to koledzy ?

Na przysłowiową "najówkę" ze mną zgłosiło się dwóch kolegów - Leszek i Krzysztof. Okazało się, że byli oni nierozłącznymi przyjaciółmi. Ponieważ nikt inny się nie zgłosił porucznik przyjął ich kandydaturę i wywoławszy nas na bok podał nam treść meldunku, który mieliśmy przekazać dowództwu w Warszawie.

Nauczyliśmy się go na pamięć. Porucznik uściskał nas na drogę i ruszyliśmy w las. Narwałam naprędce trochę

kwiatów i gałązek młodej brzoźki. Bukiet był imponujący. Rozpuściłam włosy i chwyciłam chłopców pod ręce.

- Teraz mówcie mi wszystko o sobie, bo przecież znamy się od kilku minut, a Niemcom muszę mówić, że jesteście moimi przyjaciółmi.

- Ty też musisz opowiedzieć nam wszystko o sobie - powiedział Leszek, ten wysoki blondyn o dużych niebieskich oczach i szerokim uśmiechu.

Nastąpiła dekonspiracja. Podaliśmy wzajemnie sobie swoje prawdziwe imiona, nazwiska oraz opowiadaliśmy szczegóły, dotyczące naszego dzieciństwa. Okazało się, że obaj koledzy znali się od małego, więc dla nich sprawa była ułatwiona. Obecnie pracowali razem u Niemców w fabryce amunicji i znali doskonale język niemiecki.

Krzyś był niski, ciemnowłosy. Miał mały, ledwie zarysuwany się meszek czarnych wąsików pod niedużym nosem. Obaj byli rówieśnikami i mieli po osiemnaście lat. Byłam od nich o rok starsza.

- Czy przejrzełicie swoje kieszenie? - zapytałam zatrzymując się na chwilę.

- Jesteśmy czysti jak kryształ - zażartował Leszek i rozśmiał się.

- Po za tym mamy mocne dokumenty - przypomniał Krzyś, nie grozi nam nawet wywiezienie na roboty do Rzeszy. Nie uspokoiłam się tymi zapewnieniami. Ruszyliśmy dalej naprzód, ale wciąż dręczył mnie niepokój.

Niebezpieczeństwo czyhało tuż. Czulałam to wyraźnie. Chciałam nawet zatrzymać kolegów, powiedzieć im, żebyśmy wrócili, zaniechali naszych planów, że

porucznik nas zrozumie, ale było za późno. Dochodziliśmy już do skraju lasu. Niemcy mogli nas zauważyć. Szliśmy więc dalej ku nim, jakby wprost w paszczę smoka. Spojrzałam na kolegów. Twarze mieli spokojne, wręcz pogodne. Ani cienia lęku. Dodało mi to otuchy. Naprzekór moim niepokoiom w lesie panowała cisza, słychać było jedynie chrzęst łamiących się pod stopami gałązek. W górze słychać było śpiew skowronka. Niebawem ujrzelśmy ukryte w krzakach gniazda cekaśców oraz żołnierzy niemieckich. W oddali widać było zaparkowany samochód pancerny, naładowany wojskiem. Obok niego stali SS-mani w hełmach w pełnym uzbrojeniu oraz jakiś niewysoki cywil w skórzanej kurtce. Widok ten mnie przeraził. Wrażenie było ogromne. Odległość od ukrytych Niemców zmniejszała się coraz bardziej. Serce waliło mi jak oszalałe. Całą siłą woli starałam się uspokoić jego drżenie, ale nadaremno. Bałam się, że Niemcy mogą zauważyć moje zdenerwowanie. To mogło nas zgubić.

- Spokój, spokój! - powtarzałam sobie w kółko.

Usiłowałam swojej twarzy nadać bez troski wyraz.

Nagle, coś poruszyło się w najbliższych krzakach.

Wyskoczyli Niemcy i wówczas zobaczyłam ich straszne twarze z bliska. Przymknęłam oczy.

- Halt ! Hände hoch! -

Stanieliśmy jak wryci. Unieśliśmy ręce do góry.

Natychmiast wrócił mi spokój. Nie bałam się nawet wówczas, gdy zaczęli okładać nas kolbami. Odbyło się bez żadnego jęku, chociaż bolało. Leszkowi lała się

11/16

krew z nosa. Nie pozwolili obetrzeć krwi, więc spływała obficie kropla po kropli wprost na ziemię. Po chwili nadeszli inni SS-mani, ci co stali przy samochodzie oraz cywil, którego szczególnie się obawiałam. Wiadomo, gestapowiec, fanatyk, nie liczący się z nikim i z niczym. Automat bez serca. Zaczeli sprawdzać nam dokumenty. Wyjmowali je sami z naszych kieszeni. Ja trzymałam w górze ten nieszczęsny bukiet. Po sprawdzeniu dokumentów gestapowiec spytał nas, gdzie pracujemy. Powiedziałam mu, że jeszcze się uczę. Patrzyłam mu prosto w oczy, żeby nie myślał, że się go boję.

- Legitymacja szkolna! - wrzasnął mi nad uchem.

- Jest w w lewej kieszeni - odpowiedziałam spokojnie. Wyjął obejrzał. Popatrzył ostro na mnie, potem na fotografię, wreszcie oddał mi ją. Zaczęło się teraz badanie.

- Co robiłaś w lesie? Do jakiej należysz organizacji? Kto jest twoim dowódcą? Gadaj!

- W lesie byłam na spacerze, do żadnej organizacji nie należę. Żadnego dowódcy nie mam i nie znam - kłamałam swobodnie, jakbym czytała z nut.

Te same pytania zadawane były kolegom, lecz oni tak jak ja zaparli się wszystkiego. Podeszli do nas bliżej ci dwaj SS-mani i przysłuchiwali się wszystkiemu. Wreszcie kiwneli na gestapowca, odeszli parę kroków dalej i naradzali się między sobą. Jedno tylko słowo wpadło mi do ucha: "banditen". Zabrzmiało ono złowieszczo. Gestapowiec powrócił do nas sam i zaczął do nas przemawiać, prawie krzyczeć. On wie, że

jeścieśmy bandytami i należymy do organizacji. Zna się na takich jak my. O ile nie powiemy prawdy - zmusi nas do tego. Zawiezie nas na Szucha, a tam mają sposoby i wszystko wyśpiewamy jak u księdza na spowiedzi. Wreszcie wściekły, czerwony na twarzy podbiegł do kolegów i walił ich po głowach, nosach, gdzie popadło. Znowu polala się krew, ale tym razem u obu. Tymczasem SS-mani powiedzieli coś do gestapowca, więc zostawił nas w spokoju. Po chwili wraz z nimi odszedł, ale teraz dalej, aż do samochodu. Rozmawiali ze sobą żywo gestykulując, wreszcie jeden z nich dał jakiś rozkaz żołnierzom siedzącym w samochodzie. Wskoczyło ich kilku i skierowali swe kroki w naszym kierunku. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe i granaty. Otoczyli nas kołem i kazali iść naprzód z podniesionymi do góry rękami. Doprowadzili nas do skraju lasu.

- To już koniec - pomyślałam z głębokim żalem. Byłam wstrząśnięta. Nie chciało mi się umierać. Spojrzałam na kolegów. Twarze mieli opuchnięte, skrwawione, ale oczy spokojne, nawet harde, bez cienia lęku. To dało mi siłę. W końcu lepsza śmierć niż męczarnie zadawane w Gestapo - pocieszałam się.

- Halt!- zatrzymaliśmy się tuż nad rowem. Lśniła w nim zielonkawa, cuchnąca woda. Spojrzałam na nią z obrzydzeniem, więc to ma być moja mogiła? Nie, nie! Chcę żyć! Nikt mnie jednak o zgodę nie pytał. Kazano nam stanąć blisko siebie. Nie odwracać się. Słońce raziło mnie w oczy, przyknełam je. Zaczęłam się modlić - "Pod Twoją Obronę Uciekamy się Święta Boża

Rodzicielko"Niemcy odeszli od nas na odległość kilku metrów. Ustawili się szeregiem. Po chwili powietrzem wstrząsnęła salwa z broni maszynowej. Czekalam w napięciu na ból, ślady zranienia, upadek, wreszcie śmierć - nie z tego. Strzelają zbyt wysoko. Bawią się z nami jak "kot z myszką". Wstrętni sadyści. Zabijcie odrazu! Po co ta zabawa. Ciszai! Ustalo strzelanie. Żyj! Cieszyć się, czy płakać? Nagle słyszę śmiech - do rechotania raczej podobne. To on - gestapowiec znów jest koło nas.

- No, cóż? Teraz będziecie gadać, czy jeszcze się pobawimy? Faniętajcie, moje jedno słowo i wystrzelają was tutaj jak kaczki.

Szturchnął mnie silnie w ramię. Drgnęłam. Spojrzałam na niego zimno.

- Cadaj! - wrzasnął.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - odpowiedziałam ze złością. Było mi już wszystko jedno co ze mną zrobi. Napięcie nerwów górowało nad rozsądkiem.

Kazano nam wracać z powrotem. Staliśmy pod drzewami z wysoko podniesionymi rękami jeszcze bardzo długo. Straciliśmy nadzieję na jakiegokolwiek ocalenie. Byłam bliska omdlenia. Pot spływał mi kroplami po plecach i twarzy. Było gorąco. Chciało mi się pić. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, gestapowiec podszedł do nas. Pozwolił opuścić ręce. Co za ulga. Oddał dokumenty. Popatrzył na nas przez chwilę, wreszcie powiedział:
- Tym razem was puszczać, ale na drugi raz nie łaźcie po lesie. Teraz wojna, niebezpiecznie. Droga do

Wilanowa jest obstawiona wojskiem, więc macie iść z rękami podniesionymi do góry. Puszczą was. Staliśmy przez chwilę zupełnie otumanieni, nie wierząc własnym uszom. Nie mogliśmy wprost uwierzyć, że oni nas puszcza wolno. Widząc naszą bezradność wrzasnął - "Raus"! - to nas ocknęło i ruszyliśmy w drogę. Do Wilanowa doszliśmy bez przeszkód, ale dopiero w tramwaju poczuliśmy się bezpieczni. Musieliśmy wyglądać strasznie, bo ludzie patrzyli na nas z przerażeniem. Zaczeliśmy ocierać twarze z krwi, czyścić ubranie, szczególnie Leszek był poplamiony. Trzęsły nam się ręce i nogi. Szczękaliśmy zębami. Nie mogliśmy tego odruchu opanować. Jakaś pani dała Leszkowi chusteczkę, żeby mógł lepiej obetrzeć twarz. Dojechaliśmy do Placu Trzech Krzyży. Wysiedliśmy. Dopiero w Kościele .w. Aleksandra wrócił nam spokój i doszliśmy do siebie. Wszyscy troje padliśmy na kolena i dziękowaliśmy Bogu za ocalenie. W kościele było chłodno i pusto. Nabożeństwo majowe dawno się skończyło. W ławkach siedziało kilka staruszek i odmawiało różaniec. Po chwili zjawił się ksiądz gdy zobaczył nas umazanych krwią ręką przyzwał do siebie. Koledzy zerwali się z ławki i poszli z nim do zakrystii, a ja pozostałam. Gdy wrócili byli już czyści, a więc dlatego ksiądz ich zawołał, żeby im pomóc.

- Basiu, idź do domu. My damy znać, gdzie trzeba - powiedział Leszek.

- Skontaktujcie się ze mną rano, bo będę się martwiła.

- Przyjdziemy do ciebie zaraz po pracy - obiecał Krzyś.

Pożegnałam się z nimi i szybko wyszłam z kościoła.

Teraz dopiero poczułam jak jestem głodna i zmęczona.

Porucznik Szczerba spojrział na mnie z ciekawością i zapytał: - A co stało się z resztą?

- Leszek i Krzysz zawiadomili w porę dowództwo. Szybko zorganizowano pomoc. Doszło do potyczki. Nasi, chcąc odwrócić uwagę Niemców od lasu podpalili kilka zabudowań w pobliżu. Mieszkali tam sani volksdeutsche, więc oni pobiegli ich ratować. Zrobiło się dużo zamieszania. Nasi, znajdujący się w lesie, przebili się wówczas do tych, co przyszli z odsieczą. W czasie strzelaniny zostało niestety zabitych pięciu naszych kolegów, ale Niemców dużo więcej. Akcja zakończyła się pomyślnie. Najważniejsze, że nikt żywy nie dostał się w ręce wroga.

- Teraz już rozumiem dlaczego musiała pani odbyć tę przymusową kwarantannę - powiedział porucznik uśmiechając się do mnie przyjaźnie.

- Proszę mi wierzyć mam do pani pełne zaufanie i wierzę, że będzie nam się wspaniale współpracowało. Spotykać się będziemy raz w miesiącu, a gdy będę potrzebował czegoś to dam znać przez Jagę. Ona będzie naszym łącznikiem.

Pożegnaliśmy się ponieważ dochodziła już godzina policyjna i nie mogliśmy przedłużyć naszej rozmowy.

PATROL NIEMIECKI ZATRZYMUJE

Od tego czasu często rozmyślałam o moim nowym zadaniu i o poruczniku Szczerbie. Chciałam jak najlepiej wykonać jego rozkaz, więc postanowiłam jak najszybciej poradzić się druhny Ewy, jak zwerbować w tak niedługim czasie tyle dziewcząt. Druhna Ewa nie zawiodła i skierowała mnie zaraz do władz W.SkK. /Wojskowa Służba Kobiet/, gdzie udzielono mi pomocy i odpowiednich wskazówek. Znow wysłano mnie na kurs, tym razem instruktor-ski. Powiedziano, że otrzymam wkrótce zorganizowaną i przeszkoloną drużynę sanitarną, ale wzamian muszę przeszkolić dziewczęta dla innych drużyn. Tego wymagają zasady konspiracji. W ten sposób drużynowe nie znają swoich sanitariuszek. Mają z nimi kontakt poprzez sekcyjne z którymi wolno im się spotykać. Sekcyjne zaś spotykają się za swoimi patrolami sanitarnymi składającymi się z dwóch noszowych i jednej sanitariuszki. Po ukończeniu kursu, rozpoczęłam szkolenie przyszłych sanitariuszek, które mi sukcesywnie przysyłano. Zabrałam się też intensywnie do nauki w szkole, gdyż nadchodził okres egzaminów. Wkrótce poznałam swoje trzy sekcyjne oraz zastępczynię "Elżbietę Kuter" /pseudonim/ oraz trzy łączniczki: Krystynę, Jagódkę i Dulkę /pseudonimy/ z nimi utrzymywałam stały kontakt. Zasadam konspiracji stało się zadość. Raz w miesiącu widywałam się z porucznikiem Szczerbą, meldując mu o swojej działalności i przyjmując jego polecenia. Nieoczekiwane nasze spotkania zdarzały się rzadko, ale pewnego jesiennego popołudnia wpadła do mnie jak zawsze

zadzyszana Jaga. Powiadomiła mnie, że mam się spotkać następnego dnia z porucznikiem Szczerbą.

- Stary Rynek godzina siedemnasta- dodała, wtykając mi do ręki Biuletyn Informacyjny. Straszna wiadomość. Chyba wiesz

- Tak. Wiem. Cała Warszawa tylko o tym mówi. Naczelny wódz i generalny inspektor sił zbrojnych polskich na Zachodzie generał Władysław Sikorski nie żyje. To straszna strata dla całego naszego Narodu - rzekłam ze smutkiem. Co teraz będzie ?

- Podobno generał Kazimierz Sosnkowski zajmie jego miejsce, ale czy on potrafi tak lawirować ze Związkiem Radzieckim i kontynuować jego politykę ?- powiedziała w zamyśleniu Jaga. Muszę już niestety uciekać. Mam jeszcze sporo prasy do rozniesienia. Odeszła a ja zostałam sama z pesymistycznymi myślami.

Nazajutrz byłam jak zawsze punktualnie na umówionym miejscu ale porucznika nie było. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi zaczęłam karmić gołębie. Idąc na spotkanie wykupiłam swój chleb na kartki. Podzieliłam się nim z ptakami, które były tak oswione,, że jadły z ręki. Bawiło mnie to. Tak byłam pochłonięta tą czynnością, że nie zauważyłam nadejścia porucznika.

- Do twarzy pani z tymi gołębiami - rzekł przyciszonym głosem, nie chcąc spłoszyć ptactwa. Wstałam i uścisnęłam podaną mi dłoń.

- Przepraszam za spóźnienie. Na wiadukcie zatrzymała mnie łapanka. Na szczęście jestem wolny. Miałem mocne papiery.

- Strach teraz chodzić po mieście, bo łapanek jest coraz więcej- powiedziałam

zgnębiona.

- To prawda. Coraz niebezpieczniej jest teraz w Warszawie. Niema spokoju ni w domu ni na ulicy - potwierdził porucznik.

- Chodźmy nad Wisłę. Tam swobodnie porozmawiamy.

Ruszyliśmy w kierunku Wybrzeża Gdańskiego, gdzie było prawie zupełnie pusto. Szliśmy jakiś czas w milczeniu, a ja myślałam o tych ludziach, których dzisiaj znów zabrano z tramwaju. Wiadomo jaki czekał ich los.

- Wiem już, że drużyna pani jest całkowicie przygotowana do akcji sanitarnej - przerwał milczenie porucznik.

Obecnie miałbym dla was inne zadanie. Musicie doskonale poznać topografię Starego Miasta, żeby umieć trafić nawet po ciemku. Poza tym obserwujcie, gdzie znajdują się fabryki, zakłady, sklepy, a nawet gdzie mieszkają Niemcy lub volksdeutche. Te dane będziecie mi przekazywać stale. Mogą to być małe zapiski na karteczkach.

Penetrujcie po kolei wszystkie podwórka. Szukajcie możliwości łączenia ich, stwarzania bezpiecznych przejść. To sprawy na pozór drobne, ale ogromnie ważne dla sprawy. Nasz Batalion będzie bowiem działał na Starym Mieście. Czy pani rozumie, o co mi chodzi? - zapytał patrząc mi intensywnie w oczy.

- Doskonale rozumiem i przekażę sprawę moim dziewczętom - powiedziała z powagą.

- Doskonale. Nie musicie się spieszyć. To zadanie jest na dłuższy termin, tego nie da się zrobić "od ręki".

Z każdej informacji będę się cieszył, byleby była prawdziwa i dokładna. No, a cóż tam słychać u pani,

Jak nauka ? Kiedy dyplom ?

- Dziękuję. Nauka w porządku, uczę się nieustannie. Dyplom na wiosnę, więc trzeba się odpowiednio przygotować.

Rozmawialiśmy jeszcze o wydarzeniach na świecie i oczywiście o tragicznej katastrofie lotniczej naczelnego wodza i generalnego inspektora sił zbrojnych na Zachodzie gen. broni Władysława Sikorskiego. Porucznik Szczerba twierdził, że to z pewnością sprawa Sowieców. Niemcy z pewnością cieszą się z naszej tragedii. Im teraz też nie jest lekko. Muszą walczyć na dwóch frontach. Jednakże tutaj w Generalnej Gubernii wciąż jeszcze są oni dla nas groźni, a terror trwa. Trzeba więc działać ostrożnie.

Pożegnaliśmy się tuż przed godziną policyjną.

Czas leciał szybko. Ani się obejrzałam, gdy nadeszło Boże Narodzenie. Spędziłam je w Chylicach u mamy. Były to smutne święta, gdyż otrzymaliśmy wiadomość, że brat Józek został przez Niemców aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Józek w latach 42-43 był kurierem A.K. / Armii Krajowej / i utrzymywał łączność Wilno - Warszawa. Musiał kilkakrotnie przekraczać zieloną granicę, co było bardzo niebezpieczne. Raz nie udało się, co skończyło się dla niego tragicznie. Siedział jakiś czas w więzieniu w Grodnie, koledzy z AK nawiązali z nim kontakt. Chcieli go ratować. Zebrali w tym celu sporą ilość pieniędzy. Nie udało się. Brata zdążyli wywieźć do obozu koncentracyjnego.

Po jakimś czasie otrzymaliśmy od niego z Majdanka kartkę / pisaną pod innym nazwiskiem / lecz od razu poznaliśmy charakter jego pisma. Donosił, że jest zdrow i prosi o paczkę. Mama natychmiast wysłała Józkowi chleb, słoninę i cebulę. Nie potwierdził odbioru. Zdawaliśmy sobie sprawę jaki czeka go los w tym obozie. Modliliśmy się, prosząc Boga, by wytrzymał. W parę miesięcy później, otrzymaliśmy wiadomość o jego śmierci. Został przez Niemców rozstrzelany.

Był to ogromny cios dla naszej rodziny a szczególnie dla mamy. Dłużej czasu nie mogła w to uwierzyć. Budziła się nadzieją, że tutaj zaszła jakaś pomyłka. Życie okupacyjne

toczyło się dalej i coraz trudniej było nam znosić to pohańbienie i okrucieństwo okupanta.

Zdałam egzamin dyplomowy i pracowałam już jako pielęgniarka w szpitalu dziecięcym na Śliskiej. Ta praca dawała mi nieco ukojenia, gdyż bardzo lubiłam dzieci. Każdą wolną chwilę poświęcałam jak zawsze pracy konspiracyjnej. Biegły dni, jeden podobny do drugiego wypełnione obowiązkami, nie było w nich czasu na swawole młodości, nawet na odpoczynek. Zbliżało się lato 1944 roku. Upadek reżimu hitlerowskiego wyraźnie się zarysował na horyzoncie. Na konferencji teherańskiej już wyraźnie ustalono, że będzie utworzony drugi front w Europie.. Ze wschodu dochodziły wieści o wyzwoleniu Białorusi, zachodniej Ukrainy oraz wschodnich obszarów Polski. Mówiono też o nowo utworzonym "ojську Polskim, do którego garnęli się wszyscy Polacy zamieszkujący wschodnie tereny.

Ogromną rewelację wywołała w Warszawie wiadomość o wylądowaniu wojsk brytyjsko-amerykańskich w Normandii. W podziemi wrzało. Spotkania z moim dowódcą stały się bardzo częste. Wyznaczone zostały kwatery dla poszczególnych sekcji sanitarnych. Były to przeważnie prywatne mieszkania członków AK, którzy mieli przydziały służbowe w innych dzielnicach miasta.

- "odzina "W może nastąpić w każdej chwili - powiedział mi porucznik Szczerba na jednym ze spotkań.

- Szykujemy się do zbrojnego wystąpienia. Czekamy jedynie na sygnał z Londynu i zaraz się zacznie. Wobec tego musi pani mi dostarczyć jak najszybciej

zienną listę całej swojej drużyny. Jest to potrzebne do wystawienia legitymacji oraz opasek.

Polecenie to przestraszyło mnie.

- Co się stanie, gdy lista wpadnie w ręce Niemców? - zapytałem.

- Jeśli wpadnie to razem ze mną - odpowiedział Szczerba wyraźnie urażony. Widzę, że jeszcze pani nie ma do mnie pełnego zaufania? To brzydko. Dotąd wierzyliśmy sobie bez granic. Czy nie widzi pani, co dzieje się z Niemcami? Wieją na całego. Od wczoraj odbywa się bez przerwy ewakuacja wojsk niemieckich ze wschodu. To już nie zmiana pozycji - to wyraźna klęska. Mosty na Wiśle gną się od taborów wojskowych, wynoszą się urzędy z miasta, a nawet wśród cywilnej ludności niemieckiej panuje panika. Jestem przekonany, że wkrótce będziemy wolni. Konspiracja wówczas nie będzie nam potrzebna. Powstanie nie potrwa dłużej jak dwa, no trzy dni i przyjdzie swoboda. Są już wieści, że armia radziecka i Wojsko Polskie przekroczyli rzekę Bug. Lada dzień dojdą do Stolicy.

Słuchając tych długich relacji zawstydziałam się, spuściłam oczy i bąknęłam - przepraszam, zasady konspiracji tkwią w moim umyśle jak "wbity gwóźdź w deskę".

- Jutro po południu dostarczę panu tę listę. Dzisiaj w ruch poślę łączniczki. A kiedy otrzymam legitymacje?

- Myślę, że prędko - odpowiedział porucznik.

Mineło parę dni. W Stolicy panowało ogromne ożywienie. Wszyscy podawali sobie nowe wiadomości, dochodzące

z różnych stron, a mówiące o tym, że okres okupacji hitlerowskiej zbliża się ku końcowi. 28 lipca 44 roku wpadła do mnie Jaga i przyniosła od porucznika legitymacje i opaski. Zawidziała mnie, że w podziemiu ogłoszono alarm. Wszyscy mają natychmiast zgłosić się na swoje kwatery i czekać na dalsze rozkazy.

- A co z pracą? - zapytałam.

- Rano wolno iść do pracy, ale trzeba dowódcę podać wiadomość, gdzie się jest i zaraz po gajęciach znów wracać na kwaterę. Trzeba też zaopatrzyć się w żywność conajmniej na tydzień. Ten rozkaz masz przekazać swoim sekcyjnym, one zaś swoim sanitariuszkom i noszowym - powiedziała Jaga. Muszę niestety już uciekać, gdyż podobne polecenie trzeba rozprowadzić do 12 i 13-tej kompanii.

Następne dwa dni "murem" siedzieliśmy we trzy na wyznaczonej kwaterze. Były ze mną Elżbieta i Krystyna. Ja chodziłam do pracy, a one pozostawały na gospodarstwie. Przeważnie czytały książki, bo nic innego nie miały do roboty. Dopiero 30 lipca, późnym wieczorem, ktoś zapukał do drzwi umówionym sygnałem. To była Jaga.

- Chodź Jaguś, powiedz nam co się dzieje w podziemiu? Kiedy się wreszcie zacznie? - zapytałam, wciągając ją za rękę do pokoju.

- Jak wiecie 29 alarm był odwołany.

- Nic nie wiemy. Nikt nas nie powiadomił - wtrąciła rozżalona Elżunia.

- To dziwne. Może o was w tym rozgardiaszu zapomnieli. Nie martwcie się, gdyż od dzisiejszego rana znów trwa

alarm. Tym razem to już nieodwołalny.

- To znaczy, że Londyn zdecydował o naszym zbrojnym wystąpieniu ? zapytałam.

- Tego nie wiem, ale myślę że się wszystko zacznie - powiedziała Jaga. Muszę już iść. Sylwio, jutro o 17-ej czeka na ciebie porucznik Szczerba. Masz zabrać ze sobą sekcyjne. Będzie odprawa. Po wyjściu Jagi długo jeszcze rozważaliśmy , czy dojdzie do powstania , czy nie.

- Jestem pewna , że powstanie ruszy , przecież nasze dowództwo nie pozwoli, by Niemcy zabrali naszych wszystkich mężczyzn do kopania rowów przeciwczołgowych. - powiedziała Elżunia

- Masz rację. Czuję, że nadeszła już godzina "W" i wreszcie rozpocznie się znów otwarta walka ze zniechęconym wrogiem- dodała Krystyna

Tak rozmawialiśmy do północy. Trudno było nam zasnąć. Nazajutrz 31 sierpnia idąc na spotkanie ze swoim dowódcą zabrałam z sobą legitymacje zwypisanymi pseudonimami i nazwiskami moich dziewcząt. Sekcyjne miały na mnie czekać na Starym Rynku. Włożyłam też do swojej torby opaski AK. Doszłam do Krakowskiego Przedmieścia bez przygód. Dziwiła mnie jednak kompletna pustka na ulicy. Gdy dochodziłam do Kościoła Wizytek ktoś chwycił mnie pod rękę. Stało się to tak nagle , że się przestraszyłam. Spojrzałam w górę i zobaczyłam uśmiechniętą twarz mojej przyjaciółki Ireny Porzeńskiej., która była sanitariuszką w Zgrupowaniu Krybara.

- Cześć, gdzie lecisz ? - zapytała

- Na Stare Miasto. A ciebie gdzie niesie ?

- Idę na Powiśle. Tam mam kwatere, przecież mamy alarm. Zobaczyłam ciebie, więc się cofnęłam, bo chciałam się pożegnać. Nie wiadomo kiedy się znów zobaczymy. Odprowadzę cię kawałek.

- Lepiej idź swoją drogą. Mam w torbie coś, czego nie powinno się nosić.

- Jeśli tak jest, jak mówisz to tym bardziej muszę cię odprowadzić.

Nie pomogły moje przestrogi Irena uparła się mnie towarzyszyć. Nie było sposobu , żeby jej się pozbyć.

Mimo woli rozejrzałam się. Na ulicy pustka chociaż do godziny policyjnej jeszcze daleko. Nagle spostrzegłam, wychodzący z ulicy Królewskiej patrol niemiecki. Szedł wprost na nas, wzdłuż jezdni i chodnika. Karabiny mieli nastawione do strzału. Byłam przerażona. Obecność przyjaciółki dodawała mi jednak otuchy. Od czasu do czasu spoglądała na mnie i mrugała łobuzersko swymi zielonymi oczami, chcąc mi dodać otuchy. Nogi miałam jak z gumy, więc prawie ciągnęła mnie, trzymając mocno pod rękę. Jeszcze parę kroków i zwarty szereg niemieckich żołnierzy stanął przed nami "oko w oko" Mgła przestroniła mi oczy. Oddech wzmógł się a serce łomotało jak szalone. Czyżby oni nie widzieli mojego przerażenia? Wiedziałam, co będzie jeśli zajrzą do mojej torby. Wszyscy będziemy zgubieni. Tam są nazwiska moich dziewcząt i opaski AK. Nie będę miała żadnego wytłumaczenia. Na samą myśl o Gestapo przelatywał mnie dreszcz trwogi. Bałam się przesłuchiwać, bałam się tortur. Czy ja to wytrzymam? Boże ratuj! Nie wiem jak długo stałyśmy przed nimi tak murem. Mnie się wydawało, że trwało to wieki. Czas zatrzymał się nagle. Pozostała groza. Strach, który chwycił za gardło i nie pozwolił wymówić choć jednego słowa.

Nagle stał się cud. Prawdziwy cud. Szereg załamał się. Droga była wolna. Ruszyłyśmy naprzód jak automaty. Posypały się za nami żarty i rubaszny żołdacki śmiech. Uszłyśmy kawałek drogi nie odwracając się. Wydawało mi się że mam nogi z gumy. Wciąż jeszcze nie mogłam przyjść do siebie. Wreszcie doszłyśmy do Miodowej.

-Tutaj ciebie pożegnam - powiedziała Irenka pseudonim "Baśka"

-Dziękuję ci za wszystko. Nie wiem co by się ze mną stało gdybyś mi nie pomogła - rzekłam ze wzruszeniem.

Wdzięczność moja wobec przyjaciółki nie miała granic.

Zdawałam sobie sprawę, że uniknęłam wielkiego niebezpieczeństwa, a być może tragedii.

- Wkrótce się zobaczymy - rzekłam, machając jej na pożegna - nie ręką. Jeszcze wciąż wirowało mnie w głowie po niedawno przeżytej przygodzie. Szłam więc pomału, żeby dojść do siebie. Na Starym Rynku czekał już na mnie porucznik Szczerba. Tym razem ruszył rażno w moją stronę, by się przywitać.

-Cudownie pani wygląda w promieniach zachodzącego słońca - rzekł z uśmiechem nie spuszczając ze mojej twarzy swych błyszczących piwnych oczu.

Jego przyciszony głos szemrał mi nad uchem dziwnie uspakajająco. Nie mogłam jednak jeszcze przez chwilę wykrztusić z siebie słowa.

Spojrzał na mnie badawczo i wykrzyknął :

-Czy coś się stało ? Widzę, że jest pani inna niż zawsze.

- Och, panie poruczniku jęknęłam, chwytając go mimo woli za rękę. Na Krakowskim Przedmieściu zatrzymał nas patrol niemiecki. Byłam pewna, że nas zrewidują. Miałam przy sobie opaski ilegitymacje AK. Przestraszyłam się, że znajdziemy się na Gestapo.

- Dlaczego pani mówi w liczbie mnogiej ?

- Była ze mną moja przyjaciółka - sanitariuszka od Krybara. Słuchał mnie z ogromnym napięciem. Z każdego drgnięcia na jego twarzy stwierdziłam, że zrozumiał jakiego uniknęliśmy nieszczęścia.

- Bóg nad nami czuwał - rzekł poważnie. W ostatnich dwóch dniach było dużo wpadek. Myśmy tego uniknęli. Teraz chodźmy na Miodową. Tam na nas czekają moi dowódcy plutonów i pani sekcyjne. Muszą się poznać.

Odprawa była krótka i miała charakter czysto służbowy. Poszczególne patrole sanitarne zostały przydzielone do trzech plutonów 11-ej kompanii. Porucznik został ze swoimi swoimi podkomendnymi ja natomiast z Lidją, Kazimierą i Basią poszłyśmy na ulicę Franciszkańską, żeby spotkać się z resztą naszych dziewcząt.

Wręczyłam im legitymacje i opaski Armii Krajowej. Nie obyło się bez przemówienia, które wygłosiłam " ku pokrzepieniu serc ". Dziewczęta słuchały tych słów z zapartym tchem. Ich młode, prawie dziecięce twarzyczki wyrażały tyle zapału, tyle chęci służenia innym, że byłam przekonana iż spełnią swój samarytański obowiązek z całym oddaniem.

P O W S T A N I E W A R S Z A W S K I E

DZIEŃ 1 SIERPŃNIA 1944 ROKU.

Wstałam bardzo wcześnie. Dochodziła godzina piąta. Wzięłam zimny przysznic i nie budząc dziewcząt wyszłam pocichu z domu. Pranek był chłodny, mglisty. Ulice przez które szłam prawie puste. Bez trudności dotarłam do ulicy Śliskiej, gdzie pracowałam. Zameldowałam się u ordynatora profesora Kosakowskiego i powiedziałam mu, że w razie wybuchu powstania nie będę pracować w szpitalu, gdyż mam inny przydział. Do tej rozmowy upoważnił mnie porucznik Szczerba. Profesor popatrzył na mnie badawczo i powiedział, że uprzedzono go o tym. Wróciłam więc na oddział i przez cały dyżur pracowałam jak zawsze pielęgnując dzieci, które były już po operacjach chirurgicznych. W tym dniu było bardzo dużo wypisów. Jedynie ciężko chore dzieci pozostały na oddziałach. Szpital przygotowywał się wyraźnie do przyjmowania rannych żołnierzy. Tuż przed zakończeniem dyżuru zjawiała się Jaga. Była bardzo podniecona. - Mam ważną wiadomość. Nadeszła godzina "W". Dzisiaj o siedemnastej początek! - powiedziała jednym tchem. - Co mam robić? - wykrztusiłam wzruszona. - Czekać na kwaterze. Dotrze do was łącznik z dalszymi rozkazami.

Szliśmy razem Żelazną w kierunku Alei Jerozolimskich. Jaga informowała mnie szerzej o dzisiejszym rozkazie. Pełnomocnik z Londynu wyraził zgodę na rozpoczęcie akcji zbrojnej. Dalsze odsuwanie terminu byłoby bezsensowne, tym bardziej że Armia Radziecka i Wojsko Polskie są już blisko Warszawy. Wiesz już o utworzeniu PKWN w Polsce i utworzeniu Ludowego Wojska Polskiego. Mamy nareszcie drugi front na zachodzie. Teraz klęska Niemców jest bliska. Trzeba, by wyzwolenie Warszawy zostało dokonane przez Armię Krajową. To ma ogromne znaczenie polityczne - mówiła z zapałem. Słuchałam jej słów z ogromnym wzruszeniem. Zdawałam sobie sprawę, że dochodzimy do końca panowania Hitlera nad światem.

Przy Marszałkowskiej rozstałyśmy się. Gdy znalazłam się się sama ogarnął mnie dziwny niepokój. Kwatera nasza znajdowała się zbyt daleko od dowództwa, w niebezpiecznym miejscu tuż koło mostu Kerbedzia. Stamtąd Niemcy wciąż jeszcze ewakuują swoje wojska z Pragi. Nasi z pewnością będą się starali zawładnąć mostem, ale będzie on silnie broniony przez nieprzyjaciela. Jest to ich jedyna droga odwrotu ze wschodu. Szłam pomału i wciąż myślałam o tym, co nas jeszcze czeka i jak potoczy się powstanie. Porucznik Szczerba mówił, że nie potrwa ono dłużej jak trzy do czterech dni. Liczył, że dotrze do nas pomoc ze wschodu. Z jednej strony cieszyłam się, że będę uczestniczyła w tak wspaniałym czynie zbrojnym do którego tyle lat żeśmy się przygotowywali, z drugiej zaś strony ogarniał mnie lęk. Czy damy radę oswobodzić nasze ukochane miasto? Czy mamy dość broni i amunicji? Starłam się nie dopuścić myśli o jakimkolwiek niepowodzeniu. Wierzyłam, że tym razem powstanie musi się udać. Westchnęłam do Boga i prosiłam Go o pomoc i błogosławieństwo.

Doszłam już do wiaduktu przy którym znajdowała się nasza kwatera. Wszędzie pełno było wojska niemieckiego. Zarówno wiadukt jak i most Kierbedzia zapchany był kolumnami wojskowych pancernych samochodów. Wstrząsnął mnie ten widok. Skąd znowu wzięło się w Warszawie tyle niemieckich sił zbrojnych. Czyżby oni dowiedzieli się o mającej nastąpić akcji "Burza". Dotarłam wśród tego tłoku do drzwi swego domu. Drżącą ręką manewrowałam przy zamku. Byłam zdenerwowana. Nie mogłam kluczem trafić do dzurki. To skrobanie usłyszała Krystyna. Otworzyła drzwi.

- Co słyhać na mieście ? Tutaj niewesoło - powiedziała

- Już się chyba zaczęło - powiedziała Elżunia, patrząc na mnie iskrzącymi z podniecenia oczami.

- Powstanie zatwierdzone. Akcja rozpocznie się o 17-ej.

-Jezu Nazareński !- krzyknęła Elżunia i zaczęła tańczyć w koło stołu.

-Nie szalej dziewczyno, bo jeszcze Niemcy coś zauważą- powiedziała zawsze roztropna Krystyna.

Bądź roztropna Elżbieto, nie podniecaj się. Dopiero dochodzi czwarta. Mamy jeszcze godzinę do rozpoczęcia akcji. Idę teraz do sekcji Kazimierzy. Czy przejście przez piwnice naszych domów zostało przebite ? -zapytałam Krystynę. Sekcja Kazimierzy miała kwaterę w sąsiedniej kamienicy. Piwnice obu domów miały ze sobą wspólne korytarze, rozdzielała je jednak ściana, w której koledzy mieli przebić przejście, żeby umożliwić łączność.

-Przejście dawno gotowe -odpowiedziała zwięźle Krystyna. Spojrzałam na nią z uznaniem i uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że na niej zawsze można polegać. Podziwiałam tę cichą skromną kobietę. Była z nas najstarsza, najbardziej doświadczona życiowo. Szczupła, niewysoka, o gładko zaczesanych włosach, samym wyglądem wzbudzała zaufanie.

Cieszyła się u wszystkich szacunkiem i sympatią. Zawsze grzeczna, pogodna, nigdy nie uchylała się od najbardziej niebezpiecznej roboty. Często przenosiła na punkty zborne broń i amunicję.

11/34

Sekcja Kazimiera znajdowała się na drugim piętrze. Zastukałam do nich umówionym sygnałem. Gdy weszłam do środka otoczyły mnie dziewczęta. W tym momencie dom zatrzęsł się od wybuchów, gdzieś w pobliżu poleciały z okien szyby rozklekotały się karabiny maszynowe.

- Co znaczą te wybuchy, ta strzelanina? zapytał poadała z wrażenia Kazimiera.

-Zaczęło się powstanie. Uczcijmy to minutową ciszą - zaproponowałam.

stanęliśmy na baczność bardzo przejęte i wzruszone.

- Spocznij! - podałam komendę. Wszystkie podbiegłyśmy do okien, gdyż na wiadukcie coś się działo. Słychac był wydawane w języku niemieckim rozkazy. Pod naszymi oknami zatrzymał się pancerny samochód, załadowany uzbrojonymi żołnierzami. Za chwilę usłyszałyśmy nadawany przez głośnik komunikat :

-Uwaga, uwaga! Nie wychodzić na ulicę, nie podchodzić do okien. Kto wyjdzie na ulicę lub będzie wyglądał przez okna będzie roztrzelany a dom jego spalony!

- Odejdźcie natychmiast od okien! - krzyknęłam przerażona.

Nalszą obserwację wiaduktu przeprowadzałyśmy dyskretnie z za Piranki. Most Kierbędzia był pilnie strżony patrolami środkiem jezdni bez przerwy płynęły tabory wojskowe.

- Ewakuacja - trwa - szepnęłam do Kazimiera, która cały czas stała koło mnie. W pewnej chwili tylariera niemieckiej piechoty ruszyła w kierunku Krakowskiego Przedmieścia wyglądało to bardzo groźnie, tym bardziej, że za nimi jechały

wolno pancerne samochody załadowane bronią maszynową i żołnierzami. Wyglądało to bardzo groźnie.

- Oni wciąż jeszcze stanowią wielką siłę - szepnęła ^{Kazimiera} Wiesława. Staliśmy tak obok okien wylęknione, a oni szli i szli bez końca.

- A może to ewakuacja ze wschodu - westchnęła z nadzieją w głosie Iza.

- To wyraźny atak - odpowiedziała Wiesława.

- Czy nasi dadzą sobie z nimi radę? martwiła się ~~Stenia~~. ^{Jagoda}

- Nie zawsze siła stanowi zwycięstwo. My wiemy dlaczego walczymy - powiedziała. Lepiej Idźcie na kolację. Dość tego patrzenia. Jeszcze zauważą i wówczas będzie nieszczęście. Porucznik Szczerba kazał nam spokojnie czekać na kwaterach, aż dotrze do nas łącznik i powie, co my mamy dalej robić. A więc będziemy czekać. Bądźcie jednak w pogotowiu. Elżbieta Krystyna i ja jesteśmy w sąsiedniej kamienicy. Będziemy z sobą w stałym kontakcie. Pamiętajcie, że koło nas wszędzie są Niemcy wobec tego musimy zachować ostrożność. ^{Kazim} ~~Wasiu~~, czy na długo starczy wam pożywienia?

- Co najmniej na tydzień - odpowiedziała sekcyjna.

- Nie zapomnijcie zrobić zapasu pitnej wody - rzekłam, odchodząc. ^{Kazim} ~~Wania~~ odprowadziła mnie aż pod same drzwi prowadzące do piwnicy. Obejrzała dokładnie przebite przejście, łączące dwa nasze domy. Potem rozeszłyśmy się każda w swoją stronę. Noc przeszła nam spokojnie. Leżałam nieruchomo i przysłuchiwałam się temu, co działo się na zewnątrz. Gdzieś w pobliżu rozlegały się

podniesione głosy w języku niemieckim, zgrzytały hamulce samochodów, warczały motory. Ten ciągnący się bez przerwy hałas, niweczył sen i nasuwał udrękę złych przeczuć i myśli. Zdawałam sobie sprawę, że nasza sytuacja nie jest łatwa. Jaki los nas jeszcze czeka trudno przewidzieć. Czy uda nam się połączyć z nacierzystym oddziałem? Co robić? Jak postąpić, gdy łącznik nie dotrze?

Pięknie wykluwający się poranne przyniósł mi ulgi, ale nie uwolnił mych myśli od natrętnych rozważań.

Wcześniej zerwałam się z posłania i podbiegłam pod zimny prysznic. Ubrałam się i poszłam do kuchni poszukać klucza od strychu. Elżbieta i Krystyna jeszcze spały, więc wymknęłam się z mieszkania sama i trzymając w ręku znaleziony kluczyk powędrowałam na czwarte piętro, gdzie trochę wyżej na poddaszu znajdował się obszerny strych. Było w nim aż sześć okienek, z których trzy wychodziły na wiadukt, przylegający do Mostu Kierbedzia, a pozostałe na małą ślepa uliczkę z jednej strony zakończoną potężnym bunkrem, strzeżonym przez załogę niemiecką, z drugiej zaś prowadzącą do Rynku Mariensztad. Z otworów w bunkrze sterczały na zewnątrz lufy dwóch karabinów maszynowych, co wyglądało bardzo groźnie. Obejrzałam sobie dokładnie te okienka i otworzyłam je szeroko. Postanowiłam przeprowadzić dokładną obserwację terenu.

- Trzeba dobrze poznać topografię miejsca, w którym będzie się działo - przypomniałam sobie słowa porucznika Szczerby. Wsunęłam głowę w otwór okienka

Lekko wychyliłam się, żeby zobaczyć, co dzieje się od strony wiaduktu. Widok był rozległy. Na prawo widać było most Kierbedzia, który patrolowany był przez Niemców. Kilku żołnierzy majstrowało coś koło filarów i przęsał. Chyba saperzy zakładają miny? - pomyślałam ze smutkiem, gdyż żal mi się zrobiło tego naszego pięknego mostu, który z takim trudem był postawiony. - Napewno, gdy całe wojsko cofnie się ze wschodu, oni wysadzą most. Jeden z żołnierzy schodził po drabince do wody. Spojrzałam na Wisłę. Unosiła się nad nią lekka mgła. Gładka jej powierzchnia lśniła się od promieni wschodzącego słońca. Ogarnął mnie dziwny smutek i odwróciłam głowę w drugą stronę. Spojrzałam w kierunku Starego Miasta. Nagle, co to? Na tle błękitu nieba ujrzałam łonoczącą, wysoko nad ruinami Zamku Królewskiego Biało-Czerwoną Flagę. - symbol polskości. Serce zamarło mi z zachwytu. Łzy potoczyły się po policzkach. Tam na Starym Mieście jest już "Wolna Polska"!!!

Im się udało. Jak to dobrze - myślałam uszczęśliwiona. Nie mogłam przez jakiś czas oderwać wzroku od tego widoku, ale rzeczywistość szybko dała mi znać o sobie. Na wiadukcie zaroilo się od mundurów niemieckich. Padaly krótkie rozkazy, formowały się szeregi. Po chwili tylarierą ruszyli w kierunku Placu Zamkowego. Środkiem jezdni, pomału sunęły samochody pancerne załadowane uzbrojonymi żołnierzami. - Będą atakowali naszych - pomyślałam, przerażona ich siłą i doskonałym uzbrojeniem. Wróciłam na górę. Opowiedziałam

dziewczętom o tym, co widziałam na strychu. Pobiegły obie oglądać naszą polską flagę. Ja zajęłam się przygotowaniem śniadania. Po godzinie wróciły ogromnie wzruszone. Elżunia miała wypieki na twarzy. Krysia była jeszcze bledsza niż zawsze.

- Sylwio ! wymyśl coś, żebyśmy jak najszybciej znalazły się na Starówce - zawołała Elżunia, a oczy jej świeciły s jak u rozdrażnionej kotki.

- Elżuniu, uspokój się. Zanim podejmę jakąś decyzję , musimy ją dobrze przemyśleć. Tu chodzi o wielką stawkę.

- Jeśli miałybyśmy stąd się wydostać to tylko od tyłu, przez tę małą, ślepa uliczkę, której jedyne wyjście prowadzi w kierunku Mariensztad- rzekła w zamyśleniu Krysia

- A bunkier to co ?- Zapomniałaś , że tam siedzą szkopi? krzyknęła gniewnie Elżunia.

- Nie zapomniałam, ale może nocą zaistnieje taka możliwość żołnierze nocą są zmęczeni .Może będzie możliwość przejścia koło ich nosa. Trzeba będzie dzisiaj w nocy zrobić pewne obserwacje- odpowiedziała.

- Tej nocy ustalimy dyżury na strychu i rozpoczniemy obserwację terenu. Zobaczymy jak Niemcy oświetlają tę małą uliczkę -dodałam.

Dziewczęta zabrały się do śniadania , ja natomiast poszłam znów do sekcji Kazi , żeby poinformować je o naszych obserwacjach i planach.

- Nie zapomnij powiedzieć im , że już nasza flaga wisi na Zamku Królewskim ! - zawołała za mną Elżunia.

- Dobrze. Wszystko im powiem.

U ^{Kazi} ~~Kazi~~ panował wzorowy porządek, dziewczęta były umyte, uczesane i dawno już zjadły śniadanie. Wieści, które im przyniosłam sprawiły ogólną radość, ale także zauważyły, co dzieje się na wiadukcie i niepokoiliły o losy naszych oddziałów, znajdujących się na Starówce.

- Na całe szczęście, że Niemcy nie używają jeszcze do walki czołgów. - powiedziała ^{Kazia} Wiesia. - Wiem doskonale jak słabo jesteśmy uzbrojeni, a na pojazdy pancerne najlepsze są granaty.

- Granaty można zastąpić mieszanką wybuchową np. benzyną. Wiem coś na ten temat, bo mój brat jest chemikiem - powiedziała jedna z sanitariuszek.

- A co będzie z nami? - zapytała Poziomka.

- Trudno mi jest teraz odpowiedzieć na to pytanie. Zobaczymy. Cały czas myślę tylko o tym jak stąd wyjść. Chwilowo jest to zupełnie niemożliwe, ale jutro, pojutrze sytuacja może ulec zmianie. Musimy czekać cierpliwie na okazję. Wierzę, że się doczekamy - powiedziałam z uśmiechem.

Pożegnałam się z nimi i powróciłam do siebie. Reszta dnia upłynęła nam spokojnie. Po obiedzie zdrzemnęłam się. Nie wiem jak długo spałam, ale gdy się zbudziłam na dworze było już ciemno. Odruchowo spojrzałam na zegarek - dwudziestadrużga. Rozejrzałam się po pokoju. Obok na tapczanie spała Elżunia. Ręce i nogi miała rozrzucone, a obok koło tapczana leżał koc. Podniosłam go i przykryłam nim śpiącą dziewczynę.

Sama zaś usiadłam na fotelu i czekałam na Krysię,

której nie było z nami. Z pewnością siedzi na strychu i obserwuje - pomyślałam, - jeśli nie wróci do północy to pójdę po nią. Byłam zupełnie wyspana, więc żeby mi się nie dłużyło zaczęłam myślać wokół moich najbliższych: mamie, bracie Józku zamordowanym przez Niemców, młodszemu bracie Jasiu, który miał przydział służbowy na Mokotowie w zgrupowaniu "Baszta" i siostrach Krysi - łączniczce z Ochoty, oraz Jagódce, która 31 sierpnia 44 roku brała ślub ze Zbyszkim Masłowskim. Nie mogłam niestety być na ich ślubie, ponieważ nie wolno było nam opuszczać kwater. Mąż jej także należał do AK i miał brać udział w akcji. Co się z nimi dzieje? Czy udało im się na czas dostać do punktów zbornych? Czy już walczą, czy też jak ja siedzą beczynn timerze. Usiłowałam odtworzyć sobie w wyobraźni ich kochane i bliskie sercu twarze. Najbardziej żał mi było mamy, bo wiedziałam, że martwi się o nas wszystkich, drży o nasze życie. Biedna najdroższa kateczka, zawsze uśmiechnięta, zawsze dobra i łaskawa, umiejąca przebaczyć i zapominać rozmaite psoty swoich dzieci. Kiedy ją zobaczę, kiedy ucałuję jej kochane, spracowane ręce?

Z tych rozmyślań ocknął mnie jakiś szmer przy drzwiach. To wraca Krystyna. - Sylwio, światło reflektora nie dochodzi do końca chodnika. Część przy murze jest nieoświetlona! woła szeptem i rzuca się zmęczona na tapczan. Podeszłam do niej blisko i zapytałam - Czy uważasz, że możemy dzisiaj iść?

- Dzisiaj to niemożliwe. Niemcy patrolują tę małą

uliczką, ale są teraz perspektywy.

- To dobrze. Pomyślmy o tym jutro, a teraz chodźmy spacerować, kradąc się na tapczan.

Krysia poszła jeszcze myć się do łazienki, a ja natychmiast zasnąłam. Nie wiem jak długo spałam. Nagły ruch na wiadukcie obudził mnie. Usłyszałam wyraźny odgłos walki. Skoczyłam do okna. Serce łomotało mi jak szalone. Błyskawiczna myśl zaswitała w głowie: " nasi " ! - krzyknęłam zdławionym ze wzruszenia głosem. Tym głośnym okrzykiem obudziłam moje współtowarzyszki, które podobnie jak ja zerwały się ze swoich posłai. Podbiegły do okna i pytały jedna przez drugą:

- co się dzieje? Czy to są już nasi?

Elżunia dygotała z zimna, może ze zdenerwowania, więc podałam jej koc, żeby się okryła.

- Trudno się zorientować, co się dzieje. Widzę siedmiu naszych kolegów z białoczerwonymi opaskami AK. Strzelają do Niemców. - powiedziałam wciąż obserwując wiadukt.

- Patrzcie, oni mają granaty a nawet pistolet maszynowy - zawołała Elżunia.

- Niemcy są wyraźnie zaskoczeni. Są wśród nich zabici i ranni - relacjonuje Krystyna

- Sylwio, patrz na tego wysokiego chłopaka - krzyczy Elżunia podniecona do ostatnich granic, jaki dzielny. Narąza się żeby ubezpieczać kolegów. Stoi tyłem do drzwi wejściowych i pruje do szkopów ile wlezie. O Boże Wzręczmogący pomóż im! Ratuj ich! Po chwili Elżunia rzuca koc, biegnie do tapczanu przy którym na krześle ma nakrycie i szybko zaczyna się ubierać. Następnie chwytając torbę sanitarną i już jest przy drzwiach wyjściowych.

- A ty dokąd? - pytam zdumiona.

- Idę na pomoc chłopakom - odpowiada zawadiacko.

- Natychmiast wracaj. Nie ma mowy o żadnym pomaganiu. Ja tutaj rozkazuję i zabraniam.

Walka naszych z Niemcami nie trwała długo. Na odgłos strzałów na Nowy Zjazd dobiegło kilkunastu SS-żanów, którzy znajdowali się w pobliskiej fabryce amunicji. Zaterkotały nowe karabiny maszynowe. Chłopcy z opaskami padali jeden, po drugim jak ścięte w lesie drzewa. Na jezdni płynęły strugi krwi, miotali się w konwulsyjnych drgawkach konający żołnierze. Najdłużej bronił się ten jasnowłosy chłopak z pechem. Gdy wystrzelał już wszystkie naboje Niemcy podbiegli do niego, chcąc go obezwładnić. Zdążył jednak przed tym rzucić w nich odbezpieczony granat. Nastąpił wybuch. Kilku niemieckich żołnierzy osunęło się na jezdnię - nie żyli. Zginął też na miejscu nasz młody bohater. SS-żani dobijali z pistoletów rannych powstańców. Widok ten był potworny. Zamknęłam oczy, żeby nie patrzeć. Ogarnął mnie spazm rozpacz. Po chwili oparcowałam się. Musiałam panować nad nerwami. W pokoju panowało głębokie milczenie, pełne grozy i tragicznej rzeczywistości. Elżunia dwoma rękami zasłoniła oczy i łkała, Krystyna patrzyła kamiennym wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Spojrzałam na nie ze współczuciem. Wiedziałam, że są wstrząśnięte śmiercią tych młodych bohaterskich kolegów, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że ich wyjście stało się dla nas niebezpieczne. Szczególnie zagrożona została sekcja ~~Władysław~~. Posta-
Kazimiery

nowiłam działać natychmiast, żeby nie było za późno.

- Krystyno, sprowadź zaraz sekcję ~~Kazimierzy~~^{na}. One nie mogą pozostawać w tamtej kwaterze. Ze strony Niemców będą represje. Niech jak najszybciej przychodzą tutaj. Elżuniu, zrób porządek w mieszkaniu i przygotuj dla wszystkich jedzenie. Obie dziewczęta zabrały się do wykonania mojego polecenia, ja zaś poszłam do łazienki wziąć zimny prysznic, żeby otrząsnąć się ze znużenia, które wciąż odczuwałam.

Po paru minutach sekcja Kazimierzy wraz z Krysią były na miejscu.

- Sylwio, dobrze, że nas tutaj ściągnęłaś, gdyż nasz budynek otoczyli Ukraińcy. Gdy schodziliśmy do piwnic oni dobijali się do wejściowych drzwi. Napewno już tam wtargnęli i plądrują mieszkania - relacjonowała przerażona wyraźnie ~~Wiesława~~^{Jagode}.

- Co teraz z nami będzie? - zapytała żalnym głosem Iza.

- Nie martwcie się. Tutaj wam nic nie grozi. Siadajcie. Zaraz będziemy jeść śniadanie. Trzeba nabrać sił - uspakajałam dziewczęta, wskazując im miejsca przy stole. Elżbieta przyniosła tradycyjny makaron okraszony margaryną. Wszystkie zabrałyśmy się do jedzenia.

- Nie każesz nam chyba do końca Powstania siedzieć bezczynnie w tym mieszkaniu? - zapytała Elżunia z grymasem w głosie.

Koleżanki spojrzały na nią ze zgorzaniem, że tak odezwała się do mnie. Ja jednak odpowiedziałam jej spokojnie. - Zobaczymy Elżuniu, jaka będzie sytuacja.

11/44

Nie mogę narażać całej grupy na niechybną śmierć, ani też pozwolić na to, by przez nas ucierpieli wszyscy mieszkańcy tego domu. Jeśli natomiast nadarzy się okazja wydostania się z tej pułapki - napewno ją wykorzystam. Dalsze moje słowa zagłuszył przeraźliwy krzyk kobiety oraz jakiś ożywiony ruch na Nowym Zjeździe. Gdzieś blisko zgrzytneły hamulce nagle zatrzymanego samochodu. Podeszłam szybko do okna, dając znak ręką, by nikt poza mną się nie ruszał. Zobaczyłam, że na wiadukcie zatrzymały się dwa samochody ciężarowe z których wyskoczyli własowcy. W rękach trzymali karnistry. Podbiegli do sąsiedniej kamienicy i zaczęli oblewać ją benzyną. Po chwili w górę buchnął ognisty płomień.

- Pali się! - krzyknęłam mimo woli.

- Zobaczę, co się dzieje z mieszkańcami? - powiedziała Krystyna. Wybiegła z mieszkania. Pozostałe dziewczęta stały przerażone i bezradne wobec tragedii rozgrywającej się obok. Po krótkiej chwili Krystyna wróciła. Wyraźnie usłyszałyśmy skrzypnięcie drzwi wejściowych i odgłos jej lekkich kroków. Twarz jej tak zawsze spokojna wyrażała przerażenie.

- Własowcy wywlekli mieszkańców i pognali gdzieś w kierunku rynku Mariensztad. Tylko niewielka ilość ludzi zdołała przedostać się do naszej kamienicy piwnicami. Tych, co stawiali opór - mordowali na miejscu - powiedziała z męką w głosie.

Zaległo śmiertelne milczenie. Nagle Elżunia padła na kolana i drżącym głosem rozpoczęła modlitwę:

1145

- Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci, na wieki, wieków. Amen. Wszyscy trzykrotnie powtórzyliśmy pacierz za umarłych. Patrząc na ich młode zalane łzami twarzyczki, targnęło mną przez chwilę złe przeczucie. Pojęłam nagle grozę sytuacji. Co zrobić? Jak wyjść z tego cało? Naraz wzrok mój napotkał wpatrzone we mnie badawczo oczy Elżuni. Wytrzymałam to spojrzenie. Wstałam szybko i wyszłam do kuchni. Elżunie pobięła za mną. Nie mówiąc nic, chwyciła mnie za szyję i pocałowała w policzki. Natychmiast opanowałam się. Powróciłam do równowagi psychicznej. Postanowiłam czymś zająć dziewczęta, wiedząc, że praca najlepszą jest receptą na zmartwienia. Przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie, jeśli przećwiczę z nimi ratownictwo. Kazałam wszystkim powyciągać z toreb sanitarnych bandażę, igły, strzykawkę, łubki itp., żeby zająć się służbą sanitarną "na niby". W jednej chwili pokój zamienił się w punkt opatrunkowy. Pełno było rannych z zabandażowanymi kończynami, głowami itp.

- Sylwio! - zawołała Krysia. Chodź zobacz, jaki dziś jest duży ruch u Niemców. Ewakuacja osiągnęła chyba kulminacyjny punkt. Cały wiadukt zapchany jest wojskiem, wycofującym się z Pragi.

Podeszłam do okna i przyglądałam się tej ewakuacji.

- Widocznie Rusczy pędzą ich na naszą stronę. Może to dobry znak? Może dojdą wojska radzieckie i polskie do Pragi i przyjdą nam z pomocą? - powiedziałam.

- Bóg raczy wiedzieć - rzekła Krysia - co nas jeszcze czeka.

Cwidzenia zakończyłam przed obiadem. Potem dałam dziewczętom wolny czas. W mieszkaniu było bardzo gorąco, ale nie wolno było otwierać okien, więc mężczyźniśmy się tym upałem okropnie. Sąsiednia kamienica wciąż jeszcze się paliła i Niemcy nie pozwolili jej gasić. Na naszym strychu działał Komitet Obrony Przeciwpozarowej i pilnował, żeby ogień nie zaprószył się gdzieś na dachu i nie wzniecił pożaru. Komitet ten składał się z trzech starszych mężczyzn, którzy bardzo sumiennie wypełniali swoje zadanie. Pozostali mieszkańcy donosili im w razie potrzeby wodę. Na szczęście wodociągi oraz elektrownia wciąż jeszcze działały. Przed kolacją położyłam się spać. We śnie ujrzałam mamę. Była jak żywa. Uśmiechnęła się do mnie i prosiła żebym uważała na Jasia. Obudziłam się. Dziewczęta jadły już kolację. Smakowity zapach smażonej słoninki rozchodził się po wszystkich kątach. Poczulałam głód. - Macie dla mnie kaszę? - Chodź Sylwio, zjadaj! Kasza dawno już na ciebie czeka, lecz żal nam było ciebie budzić - powiedziała ^{Kazia} "Kasia", która tym razem miała dyżur w kuchni. Po posiłku kazałam dziewczętom iść spać. Dyżur nocny postanowiłam pełnić na zmianę z Krystyną. Koło północy wybrałam się na strych. Stamtąd obserwowałam tę małą uliczkę. Wszędzie panowała idealna wprost cisza. Czyżby Niemcy spali? Z bunkra, co kilka sekund zapalał się reflektor, a rażące jego światło przesuwało się wzdłuż jezdni, nie dochodząc jednak do chodniczka. Krystyna poczyniła poprzednio prawidłową obserwację

i wyciągnęła słuszny wniosek, że ta mała uliczka może wyprowadzić nas z matni. Przeczekałam na tym punkcie obserwacyjnym przez całą godzinę i stwierdziłam, że uliczka ta nie jest patrolowana przez Niemców. Wobec tego postanowiłam, że spróbujemy dzisiaj w nowy wyjść. Cały plan działania miałam już ułożony w wyobraźni i szybko wróciłam na kwaterę. Ledwo otworzyłam drzwi, usłyszałam szept Krystyny, która rozmawiała z ubraną już "Kazimierą".

WSROD SWOICH

- Obudźcie dziewczęta! Niedługo wychodzimy!. - zawołałam przyciszonym głosem.

Obie podbiegły do mnie i zaczęły mnie ścisnąć.

- Nie naróbcie hałasu, bo obudzicie całą kamienicę - dodałam uwalniając się z ich uścisków.

Po chwili w mieszkaniu powstał niesamowity ruch, ale wszystkie dziewczęta zachowywały wzorowy porządek i ciszę. Wczuły się doskonale w obecną sytuację. W moment były gotowe do wyjścia i otoczywszy mnie kołem czekały na dalsze rozkazy.

- Jestem przekonana, że nadszedł moment dogodny do wyjścia z tej pułapki, jednakże tego rodzaju przedsięwzięcie nie jest bezpieczne. Jesteście żołnierzami więc mówię wam otwarcie. W naszym wyjściu jest pewna doza ryzyka. Musimy przejść trzy metry od bunkra w którym siedzą Niemcy. Uliczka, którą będziemy szły jest przez nich oświetlana, ale światło reflektora nie dochodzi do końca chodnika, co będzie przez nas wykorzystane. Musimy tak iść, żeby nas nie zauważyli. Czy

chcecie ryzykować? Kto jest za wyjściem?

Wszystkie dłonie dziewczęce uniosły się w górę. Powiedziałam im, że ze względu na bezpieczeństwo najpierw pójdziemy trzy: Elżbieta, Krystyna i ja, później reszta. Jedna z nas wróci po was. W razie gdyby nie przyszła, pozostaniecie na miejscu.

- Czy nie możemy iść od razu z wami? - zapytała nieśmiało ^{Kazimiera} Wiesława.

- Nie możecie. To rozkaz, a od rozkazu nie ma odwołania - odpowiedziałam sucho. - Nałóżcie na buty skarpetki, żeby nie było słycheć waszych kroków. Opaski i legitymacje dobrze ukryjcie. Mam nadzieję, że za dwie godziny spotkamy się na Starym Mieście. Niech Bóg nas prowadzi - rzekłam na zakończenie.

- ^{Kazimiera} Wiesiu! Nie zabieraj z sobą noszy! - to zbyt kłopotliwe. Pamiętaj, teraz ty będziesz sama dowodziła swoim patrolem - rzekłam, całując ją na dowidzenia. Uściskałam także pozostałe dziewczęta. Zauważyłam, że są ogromnie przejęte tą nowiną, dotyczącą opuszczenia kwatery. Szczególnie podniecona była Elżbieta. Z zapalem szykowała swoją torbę sanitarną, nakładała na buty grube wełniane skarpety i potrzasała energicznie swoją kędzierzawą główką, tłumacząc coś Krystynie. Dałam im znak ręką, że trzeba wychodzić. Natychmiast przerwały rozmowę i wyszły wraz ze mną na klatkę schodową, gdzie było bardzo ciemno.

- Podaj mi rękę, bo zlecisz ze schodów - szepnęła Krystyna, pociągając mnie za sobą. Ja zaś z kolei trzymałam kurczowo Elżunię. Ponażu posuwaliśmy się w dół.

Wreszcie dotarłyśmy do drzwi wejściowych, które Krystyna cicho i sprawnie otworzyła. Udało się znakomicie. Krystyna przeżegnała się i wysliznęła się na podwórko. Szła cicho jak kotka. Po chwili jej drobna sylwetka mignęła tuż przy furtce ogrodowej i znalazła się tuż przy bunkrze. Nagle zastygła w bezruchu. Błysk reflektora sparaliżował jej wszystkie członki. Gdy od niej się odsunął odżyły. Obserwowałam ją z bijącym z trwogi sercem. Pomału przesuając się wzdłuż muru oddalała się coraz bardziej od bunkra. Podziwiałam jej zręczność i szybkość ruchów. Znikła wreszcie we wnęce bramy na rynku Mariensztad. Stojąca obok mnie Elżbieta poruszyła się niespokojnie. Popchnęłam ją lekko do przodu, dając sygnał do wyjścia. Tak się spieszyła, że ani się nawet nie obejrzała, lecz odrazu skoczyła do przodu. Gotowa na wszystko. Policzki jej pały, oczy świeciły jak gwiazdy. Chciała być już u swoich. Móc pomagać innym. Czuć się potrzebną, użyteczną. Dość miała bezczynności. Przez krótką chwilę widziałam jak sobie dzielnie radzi, jak odważnie wydostaje się na oświetloną ulicę i stoi trzy metry od bunkra, w którym siedzą Niemcy. Bałam się o nią. To jeszcze takie dziecko. Przykknęłam oczy i nasłuchiwałam. Łowiłam uchem każdy szmer, każdy najmniejszy nawet odgłos, ale wszędzie panowała cisza. Po chwili otworzyłam zaciśnięte powieki. Elżuni nie było już widać. Na mnie teraz czas. Poczułam na twarzy lekki powiew wiatru, a w nozdrza uderzył mnie zapach maciejki. Uprzytomniłam sobie nagle, że to jest przecież lato.

Zrobiło mi się jakoś lżej na duszy. Ruszyłam naprzód. Teraz na mnie kolej! Doszłam szybko do furtki. Była otwarta, więc wyjście na chodnik nie było trudne. Nagle błysk! Ku stopom pełźnie światło reflektora. Wije się u mych nóg jak jadowity gad. Krótki dreszcz, jak strzała przeleciał mi wzdłuż kręgosłupa. To strach dał znać o sobie. Wreszcie odchodzi światło, mija przerażenie. Odskakuję parę metrów od bunkra i znów nieruchomieję. Tym razem znoszę to znacznie lżej. Po tym skok i następna przerwa i tak wciąż aż do skutku. Wreszcie docieram do tej wnęki, gdzie czekają na mnie koleżanki. Uścisnęłyśmy sobie dłonie bez słów. Byłyśmy szczęśliwe, że najniebezpieczniejszy odcinek drogi mamy już poza sobą.

- Biegnijmy skokami przez rynek, a następnie schodami w górę na Krakowskie Przedmieście! - woła szeptem Krystyna.

Wysknęłyśmy się jedna po drugiej i wkrótce byłyśmy już na górze.

- Patrzcie, robaczki świetojańskie! - krzyknęła wesoło Elżunia.

- Nie drzyj się! - zgromiła ją Krystyna. To Niemcy. Strzelają fosforyzującymi kulami. Jak cię trafią to zobaczysz jak te robaczki gryzą. A teraz naprzód! Ruszyliśmy za nią biegiem, klucząc jak zające, uciekające przed myśliwymi. Noc była ciemna, bezgwiezdna, tylko lekki wiatr rozwiewał nam włosy. Kule bzykały nam koło uszu więc rękami przysłaniailiśmy głowy. Wreszcie dopadliśmy do wylotu ulicy Miodowej i stane-

11/51

tyśmy tuż przed potężną barykadą. Pierwszą naszą czynnością było wyciągnięcie ukrytych legitymacji i opasek. Dyszałymy jeszcze po forsownym biegu, trzęsłyśmy się po doznanych emocjach, ale byłyśmy szczęśliwe, że się udało, że dotarłyśmy do swoich. Pomątu dochodziłyśmy do siebie.

-Tutaj gdzieś musi być przejście ! -orzekła Krystyna, penetrując teren.Nagle usłyszałyśmy czyjeś kroki.

Ujrzałyśmy w świetle księżyca stalowy hełm potem wyłoniła się z za barykady cała sylwetka żołnierza w niemieckim mundurze.Zdrętwiałyśmy z wrażenia.

- Stój ! Kto idzie ?- zabrzmiał melodyjny , chłopięcy głos.

- Jezus, Maria ! Polak - wrzasnęła dziko Elżunia, rzucając się zdumionemu chłopakowi na szyję.Ucałowała go w oba policzki.Był wyraźnie zaskoczony.Takiego ataku nie przewidywał.My także przywitałyśmy go serdecznie. Po pierwszym porywie radości i powitania pokazałyśmy wartownikowi nasze dokumenty.Obejrzał je dokładnie. Nie pytał nas o hasło,gdyż wiedział, że go nie znamy. Przepuścił przez zamaskowane przejście i wskazał, gdzie możemy teraz spotkać porucznika Szczerbę.

- Krystyno, wracaj po sekcję Kazimiery.Miedługo zrobi się jasno.

Krystyna stała zamyślona i patrzyła gdzieś przed siebie. Szturchnęłam ją lekko w bok.

- Co z tobą ? - zapytałam

Drgnęła,jakby obudzona ze snu i spojrzała na mnie pytająco.

- Może jesteś zmęczona, to ja pójdę? - powiedziałam cicho.

Cóż za pomysł, przecież to ja jestem łączniczką - zaprotestowała żywo. Nie martw się. Zaraz je przypro-
wadzę na miejsce.

- Zachowaj wszelkie środki ostrożności. Gdyby przej-
ście było niebezpieczne, pozostaniecie na kwaterze. A
teraz w drogę!

Krystyna oddaliła się, a ja z Elżunią udałyśmy się na
Miodową.

Patrz, Sylwio! Wszędzie wiszą nasze polskie flagi -
entuzjasmowała się Elżunia.

- Jesteś już w wolnej Polsce po pięciu latach cięż-
kiej niewoli. Ach co za radość!

Żeby tylko z całej Warszawy udało się przegnać Niemców.
Nie wiemy, co się dzieje w innych dzielnicach? - west-
chnełam. Do kwatery porucznika Szczerby trafiłyśmy bez,
trudu. Właśnie został obudzony przez łączniczkę, która
przyniosła mu ważny meldunek. Gdy wychodziła z jego
pokoju poznałam w niej moją przyjaciółkę, Jagę. Ucało-
wałyśmy się serdecznie. Nie mogłyśmy z sobą porozma-
wiać, gdyż zostałyśmy wezwane z Elżunią przez porucz-
nika. Zameldowałam nasze przybycie, porucznik Szczerba
zerwał się z krzesła, podszedł do nas i po kolei nas
ucałował.

- Cieszę się, że was widzę, myślałem już, że się w cza-
sie powstania nie spotkamy. Nowy Zjazd jest przez Niem-
ców mocno pilnowany, to ważny punkt strategiczny. Posy-
łałem po was łączniczkę, ale nie dotarła. Nie było

możliwości innego kontaktu więc z was zrezygnowałem.

- Myślał pan porucznik, że nas Niemcy wykończyli - zażartowała Elżbieta.

- Tak źle, to nie myślałem, ale przypuszczałem, że Niemcy będą ewakuować ludność z Nowego Zjazdu. Pisdajcie, rozgoście się! Dam wam coś do zjedzenia - rzekł, wyraźnie zaaferowany naszym przybyciem. Z kuchni przyniósł nam tacę z jedzeniem oraz z butelką szampana.

- Nie ma chleba, ale za to są wspaniałe konserwy. Rozłożył na stole puszki z szynką, sardynkami, masłem.

- Czy to zdobycz wojenna? - zapytałam.

- Tak. Chłopcy zdobyli magazyn żywnościowe na Stawkach, no i stąd tyle pyszności - odpowiedział porucznik, otwierając puszkę scyzorykiem.

- Niech pan uważa, bo jeszcze poleje się niepotrzebnie krew powstańcza - zażartowała Elżunia.

- Aby uczcić wasz szczęśliwy powrót wypijemy szampana, a przy okazji wypijemy brüderschaft. ~~Żuk~~

Dokonaliśmy tej braterskiej ceremonii, wymieniając pocałunki i serdeczne uściski. Porucznik miał na imię Zenon. Przy smacznej kolacji opowiedziałyśmy szczegółowo o wszystkim, co działo się na Nowym Zjeździe, a Zenon informował nas, jak przebiegała akcja na Starym Mieście.

- Walka toczyła się zgodnie z planem, chłopcy działali sprawnie, niejednokrotnie wygrywając przez zaskoczenie. W wielu wypadkach Niemcy poddawali się po pierwszych strzałach, nie orientując się zupełnie w sytuacji. Dość łatwo udało nam się zdobyć Starą Prochownię,

fabrykę Quebraco, szkołę przy ul. Rybaki, oraz magazyny na Stawkach. Najcięższe walki toczyły się przy zdobywaniu Pałacu Blanka. Na szczęście oprócz naszej 12-tej kompanii, dowodzonej przez kpt. Leliwę, walczyły tam jeszcze inne oddziały powstańcze. Po silnym natarciu ze wszystkich stron Niemcy poddali się. Możecie sobie wyobrazić jaka to była radość, tym bardziej, że wzięto do niewoli sporo Niemców.

- A kto zawiesił naszą chorągiew na ruinach Zamku Królewskiego? - spytała Elżunia.

- Między innymi ppor. Zbigniew Witkowski z mojej kompanii

- odpowiedział Zenon z dumą w głosie.

- A jaka jest ogólna sytuacja, co się dzieje w innych dzielnicach? - zapytała.

- Niestety, nie wiemy, jesteśmy odcięci i otoczeni ze wszystkich stron. Stały kontakt utrzymujemy jedynie z naszym dowódcą porucznikiem Dzikim i dowódcą I Rejonu Mjr Rogiem. Znajdują się oni przy Placu Mirowskim. Dowodzenie z takiej odległości jest bardzo utrudnione. Lada dzień spodziewamy się, że przejdą do nas, chociaż nie jest to łatwe. Dalszą rozmowę przerwało dojście patrolu sanitarnego, który przyprowadziła Krysia. Przedstawiłam porucznikowi wszystkie dziewczęta, chwając przy tym dzielność Krystyny.

- Proszę o niej złożyć meldunek na piśmie, wystąpię o odznaczenie - powiedział przyglądając się łącznicce ciekawie. Patrol skierowała na wyznaczoną kwaterę na ulicę Franciszkańską, a sama z Elżbietą poszłyśmy odpoczywać do Lidii, której sekcja znajdowała się na

Starym Rynku w jednej z zabytkowych kamieniczek. Lidia oniewiażała ze zdziwienia na nasz widok. Powitała nas serdecznie i natychmiast zabrała się do szykowania pościeli. Opowiadała przy tym co przez te trzy dni naszej nieobecności udało jej się zdziałać. Podziwiałam jej zmysł organizacyjny oraz pracowitość. Byłam zdumiona, gdyż udało się jej nagromadzić duże zapasy żywności, pościeli, bielizny i rozmaitych sprzętów, niezbędnych do zorganizowania szpitala.

- Sylwio, ofiarność mieszkańców Starego Miasta nie ma granic. Ludzie na mój apel znoszą wszystko. Ja tylko segreguję i magazynuję. Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy mogli wyposażyć nowy szpital. Muszę ci się przyznać, że przez tę swoją zapobiegliwość naraziłam się porucznikowi Szczerbie. Był tutaj u mnie z интен-
dentem batalionu i krzyczał na mnie - rzekła ze łzami w oczach.

- Nic się nie martw. Od przybytku głowa nie boli - jak mówi nasze polskie przysłowie. Sprawę szpitala załatwię odgórnie z dowódcą batalionu. Niech tylko u nas się zjawi. Słowa moje uspokoiły całkowicie Lidie. Rozmawialiśmy jeszcze trochę o ostatnich wypadkach i przeżyciach i poszliśmy spać.

Nazajutrz od rana pracowałyśmy wraz z sekcją Lidii przy budowie barykady na wylocie ul. Senatorskiej. Koło południa przybiegła do nas Krystyna i dała znać, że pali się Apteka Wendego na Krakowskim Przedmieściu. Zrezygnowaliśmy więc z dalszej pracy przy barykadzie i pobiegliśmy tam, gdzie nasza pomoc, była bardziej

potrzebna. Koledzy gasili pożar, a my zabrałyśmy się do ratowania cennych leków i środków opatrunkowych, które były nam tak bardzo potrzebne. Kazałam dziewczętom ładować wszystkie medykamenty na rozłożone nosze, które następnie wynosiłyśmy w bezpieczne miejsce. Akcja trwała kilka godzin - osiągnęła jednak pozytywne rezultaty. Prawie wszystko udało nam się uratować od płomieni. Nałykaliśmy się przy tej robocie sporo dymu, ale buzie miałyśmy uśmiechnięte. Za to na kolację apetyty były doskonałe. Po zjedzeniu dwóch talerzy grochówki należało się trochę przejść, toteż Elżunia zaproponowała mi byśmy obleciały wszystkie nasze placówki.

- Ja was poprowadzę! - zawołała Jaga. Jest już ciemno. Jeszcze przez pomyłkę wpadniecie w ręce Niemców. Ruszyliśmy od razu w drogę. Wszędzie w miejscach zagrożonych wzniesione zostały barykady, broniące dostępu do naszych placówek na ulicy Bolesć, Rybaki, róg Bolesć i Mostowej, Bugaj i Bolesć, na ulicy Kościelnej a Rybakami oraz Wybrzeżem Gdańskim i przy szkole na ulicy Rybaki 32. Istnia warownia z barykad. Wszędzie ustawiono posterunki powstańcze. Przy każdym stanowisku znajdował się dyżurujący patrol sanitarny, składający się z dwóch noszowych i jednej sanitariuszki. Przy ulicy Rybaki 22 i 24 były tzw. placówki "Pekin" i "Madryt" oraz fabryka Quebrake, którą Niemcy w dniu ubiegłym spalili, a w której ruinach w dalszym ciągu stacjonowali nasi. Zaszłyśmy także do gmachu Prochowni. Wszędzie na tych placówkach panował ład, dyscyplina i doskonały nastój bojowy. Jak dotychczas wszystkie

natarcia niemieckie zostały odparte. Było jednak sporo rannych oraz dwóch zabitych. Dziewczęta z ogromnym przejęciem opowiadały mi jak udzielały rannym kolegom pomocy. Wracając z tego obchodu odwiedziliśmy jeszcze barykadę na rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia, ale i tutaj mimo zaciekłych walk nastrój był bardzo dobry. Obecnie panowała wszędzie cisza. Niemcy po rannych natarciach odpoczywali. Koledzy ten chwilowy odpoczynek wykorzystywali na umocnienie uszkodzonej gdzieś barykady. Wróciliśmy na kwaterę dość późno i od razu poszliśmy spać. Nazajutrz z samego rana wezwał mnie do siebie porucznik Szczerba. Siedział za biurkiem blady i wyraźnie przygnębiony.

- Co się stało, czemu jesteś nie w humorze? -zapytałam.

- Za długo przeciąga się powstanie. Mamy za mało broni i amunicji. Niemcy od świtu atakują nasze pozycje.

Przed chwilą miałem meldunek, że zbliżają się dwa czołgi na barykadę znajdującą się na ul. Koziej. Dowodzenie kompanią w takich okolicznościach jest ponad moje siły. Czy tu się bronić? Jak odierać ataki?

- O ile wiem dotychczas wszystkie natarcia Niemców są odpiwane, a sam mówisz, że porucznik Dzik dzisiaj do nas przybędzie, więc nie rozumiem czego się martwisz? Lepiej chodź ze mną na nasze placówki, od razu nabierzesz wiary w zwycięstwo.

- No to chodźmy! zawołał Zenon i chwyciwszy pas z pistoletem wyszedł wraz ze mną na zewnątrz. Pójdziemy chyba tak jak zawsze na Wybrzeże Gdańskie. Czy pamiętasz jak często chodziliśmy tą trasą omawiając sprawy

~~книжкикули?~~

konspiracyjne ?

-Oczywiście, że pamiętam.

Na ulicach pokazało się sporo mieszkańców. Przyglądano nam się ciekawie. Odnoszono z prawdziwą życzliwością i przyjaźnią, co podnosiło nas na duchu. Stwarzało miłą, ciepłą atmosferę. Jakiś starszy mężczyzna poczęstował nas papierosami, kobieta wetknęła mi do ręki torbę z pomidorami, ktoś jeszcze uściskał mi rękę. Dopiero, gdy zbliżyliśmy się do Wybrzeża Gdańskiego opustoszało. Tutaj strzelano. Z mostu kolejowego turkotał bez przerwy karabin maszynowy. Chcąc jak najszybciej dotrzeć do szkoły znajdującej się przy ulicy Rybaki, biegliśmy ulicą Kościelną. Nagle usłyszałam jęk a następnie wołanie o pomoc. Odwróciłam się. Zenon stał pochylony na środku jezdni i uciskał prawą dłoń z której kapła krew.

- Podnieś rękę do góry ! Leć do bramy, bo strzelają - krzyknęłam. Posłuchał mnie natychmiast. Dołączyłam do niego i zabrałam się do opatrywania rany. Stwierdziłam, że kula przeszła przez wskazujący palec na wylot.

- Masz dużo szczęścia. Tu nawet nie potrzeba lekarza. Zagoi się szybko.

- Dla mnie wojna się skończyła - rzekł słabym głosem. Nie mam zamiaru więcej narażać swego życia. Wracam na kwaterę.

Spojrzałam na niego z pogardą. Co się stało z tym dzielnym, odważnym porucznikiem Szczerbą z okresu okupacji. W konspiracji wykazywał tyle prężności, inicjatywy, a teraz zupełnie się załamował. On odszedł na Miodową ja pobiegłam na placówkę do szkoły. Przy wejściu natknęłam się na sanitariuszkę Jagodę. Była zdenerwowana. Miała zapłakane oczy.

- Co się stało ? - zapytałam

- Poległ nasz dowódca porucznik Rogoża. Otrzymał serię z broni maszynowej w brzuch. Zrobiłam mu morfinę, bo cierpiał nim skonał - dodała zgnębiona

- W ciągu tych paru dni mieliśmy już kilku rannych i zabitych - dodała "Katarzyna".

Słuchałam słów sanitariuszek zgnębiona. To było straszne, że gineło tylu wartościowych, młodych ludzi. Cóż jednak można było na to poradzić? - Wojna! To jedno słowo, tak okrutne- bezlitosne słowo - wyjaśniało wszystko. Rozumiałam ich smutek i zdenerwowanie. Utrata dobrego, wzorowego dowódcy - to wielka, niepowetowana strata dla żołnierzy, a jednocześnie zachwiania ich poczucia bezpieczeństwa. Porozmawiałam chwilę z załogą. Dałam szereg praktycznych rad i wskazówek sanitariuszkom i ruszyłam w dalszą drogę. Mimo trwającego natarcia wszędzie na placówkach panował dobry nastrój oraz wzorowy porządek. Ataki nieprzyjacielskie były dzielnie odpierane. Doszłam wreszcie do odcinka najbardziej w tym dniu zagrożonego - róg Koziej i Trębackiej. Tutaj barykadę atakowały czołgi. Postanowiłam zostać z dyżurującym na barykadzie punktem sanitarnym. Zdawałam sobie bowiem sprawę, że przy takim nasileniu natarcia nieprzyjacielskiego może być dużo rannych. Moje przewidywania potwierdziły się. Raz po razie zgłaszali się do nas poranieni żołnierze, ale były to początkowo lekkie drażnienia. Później, gdy zaczęły prażyć do nas czołgi było już ciężko rannych. Potem wezwano patrol do jednego z Powstańców. Pocisk z działa czołgu urwał mu pół twarzy. Sanitariuszki przyniosły go do mnie, gdyż nie wiedziały jak nałożyć mu opatrunek. Zrobiłam mu zastrzyk z morfiny. Twarz obmyłam wodą utlenioną i opatrzyłam delikatnie

gazą. Chciałam mu zrobić zastrzyk z surowicy przeciw-
tężcowej, ale stwierdziłam, że on już nie żyje.

- Połóżcie go z boku na noszach. Jak skończy się natar-
cie pochowamy go razem z innymi - powiedziałam ze smut-
kiem. Dziewczęta ustawiły nosze w bramie najbliższego
domu, gdzie leżało już kilku zabitych kolegów. On
również został przykryty panterką. Dopiero późnym
wieczorem wróciłam na kwaterę. Polegli koledzy zostali
pochowani z honorami wojskowymi.

Następny dzień był znów słoneczny i upalny. Wstałam
wczesnie i zaraz po żołnierskim śniadaniu wyruszyłam
na placówki. Na Krakowskim Przedmieściu już od świtu
wrzała zacięta walka. Niemcy atakowali czołgami oraz
oddziałami świetnie uzbrojonymi, a nasi bronili się
czyż mogli. W obronie brał udział między innymi pluton
ppor. Bazylego. Poznałam jego postać z daleka. Stał
wyprostowany pomiędzy swoimi chłopcami i coś im tłuma-
czył. Na jego ogorzałej od słońca twarzy malował się
spokój i powaga. Po chwili ukazało się koło niego
dwóch powstańców niosących skrzynkę wypełnioną butel-
kami z benzyną. Zatrzymali się koło porucznika, a on
dał im znać ręką, żeby rozdawali je kolegom. Czynie-
li to z wielką ostrożnością. Wkrótce skrzynka została
opróżniona. Gdy czołgi niemieckie przystąpiły do akcji
w powietrzu zatrząsało się od wybuchów, wszędzie czuć
było dym i zapach gruzu. Na rozkaz porucznika powstań-
cy zaczęli na czołgi rzucać butelki z benzyną. Rozsza-
lało się morze ognia. Przymknęłam oczy. Przeleciałam się
i chciałam się skryć za jakiś murek, czy bramę, gdy

nagle poczułam, że ktoś chwyta mnie za rękę. Otworzyłam oczy i ujrzałam Jagę.

- Sylwio, po tej stronie Krakowskiego Przedmieścia umiera twoja sanitariuszka! - krzyknęła.

- Co jej się stało?

- Wybuchła jej w rękę butelka z benzyną, którą chciała podać koledze.

- Jaguś zorganizuj mi nosze! Szybko! - krzyknęłam błagalnie. Po paru minutach biegłam już skulona przez jezdnię Krakowskiego Przedmieścia. Wystraszeni koledzy wstrzymali na chwilę ogień, jedynie od strony niemieckiej groziło mi niebezpieczeństwo. Biegłam szybko, zwinnie jak zajęc, klucząc po drodze, ale dla wprawnego strzelca byłam dobrym celem. Uzułam się jak tropiona zwierze na polowaniu. Kule bzykały mi koło uszu, ale żadna z nich nawet mnie nie drasnęła. Cud to, czy przeznaczenie? Trudno powiedzieć. Marzyłam, tylko żeby tylko dopaść do bramy. Zapierało mnie oddech ze zmęczenia. Serce waliło przyspieszonym rytmem. Wreszcie dopadłam do bramy. Zaczęłam kołatać. Walić pięściami. Krzyczeć - Otwierać! Mijały sekundy, które wydawały się być wiekiem. Rozpryskiwał się koło mnie rozłupywany przez kule tynk. Niemcy do mnie strzelali. Nareszcie coś zazgrzytało.

- Kto wali? - zapytał chłopięcy znajomy głos.

- Sylwia! Otwórzcie!

Brama otworzyła się. To przecież ten sam chłopak, który nas wpuścił na Stare miasto.

- Gdzie sanitariuszka, czy żyje? - zapytałam.

- Zabrali ją w ciężkim stanie do szpitala. Leży na Bługiej - poinformował mnie kolega.

- Czy bardzo cierpiała?

- Tak - odpowiedział krótko, nie patrząc mi w oczy - oparzenia były rozległe i głębokie. Nie mieliśmy morfiny, żeby znieczulić jej ból. Słuchałam jego słów ze ściśniętym sercem. Żal mi było tej młodej dziewczyny. Wiedziałam, ile ją jeszcze czeka cierpień, ile bólu przy zmianie opatrunków, a co gorsza jakie konsekwencje dają takie oparzenia na ciele. Nie znałam imienia tej sanitariuszki, której zdarzyło się to nieszczęście. Bałam się o nie zapytać. Dowiedziałam się później, że nie była to sanitariuszka z mojej drużyny. Po chwili nadszedł dowódca plutonu, który pełnił służbę w tej placówce. Był młodym, niewysokim mężczyzną o jasnych blond włosach i stalowych oczach.

- Panie podchorąży, melduję przybycie sanitariuszki "Sylwii" - zameldował wartownik, stojąc na baczność.

- Czołem! - wykrzyknął podchorąży, podając mi na przywitanie rękę.

- Co słychać na Starówce? - zapytał, przyglądając mi się ciekawie.

- Niemcy od świtu atakują. Oczy się zacięta walka na wszystkich naszych pozycjach. Nasi jednak są górą, mimo tego że Niemcy do wylki pchneli czołgi.

- U nas nie gorzej. Trzy razy odparliśmy już ataki piechoty niemieckiej - rzekł, częstując mnie papierosem.

- Dziękuję, nie palę - odpowiedziałam z uśmiechem.

- Chodźmy do dzwonnicy. Pokażę jak przystosowaliśmy tę starą wieżę ,żeby móc z niej atakować nieprzyjaciela. Poszliśmy przez niewielkie podwórko i wkrótce znaleźliśmy się w dzwonnicy. Początkowo nic nie widziałam. Po chwili wzrok przystosował się do ciemności, która tam panowała. Zobaczyłam dość oryginalny widok. Nie było oczywiście żadnego dzwonu. Niemcy wszystkie dzwony kościelne wywozili do Rzeszy, żeby przerobić je na armaty. Wieża była prostokątna o powierzchni 30 m² . Wzdłuż ścian powstańcy poustawiali prowizoryczne drabinki, które sięgały do niewielkich otworów strzelniczych wykutych w wieży. Stamtąd strzelali do Niemców. Nagle starymi murami wstrząsnął silny wybuch. Zrobiło się szaro od dymu i pyłu, który gryzł w oczy i krztusił.

-Panie podchorąży ! - krzyczał z góry chłopięcy głos Niemcy atakują człgami !

-Wszyscy na stanowiska !- wrzasnął dowódca. Szybko, zwinnie jak wiewiórka wdrapał się na wolną drabinkę. Wyciągnął z za pasa granat. Odbezpieczył go i rzucił przez małe okienko. Huknęło. Zatrzęsły się mury.

- Teraz walcie butelkami z benzyną! Koleżanko, podawaj butelki, tylko ostrożnie - zwrócił się do mnie. Chcąc nie chcąc zabrałam się do tej niebezpiecznej roboty. Stojące przed wieżą czołgi ostrzeliwały nas ze swych niewielkich działek, czyniąc nieznaczne wyrwy w ścianach naszego schronienia. Pył sypiący się ze starych ceieł wlaził do gardła i zmuszał mnie do kaszlu, co przeszkadzało w działaniu.

Wpadłam na dobry pomysł i lista wraz z nosem przewiązałam chusteczką. Nie mogłam naprawdę mówić, ale oddychało się lepiej.

Koledzy domagali się butelek z benzyną, ale te które były w wieży wyczerpały się. Zauważył to podchorąży. Zszedł z drabiny. Chwycił mnie za rękę i poprowadził w drugą stronę dzwonnicy gdzie w drewnianych skrzynkach stało

więcej butelek. Od tego ciągłego podawania i schylania się bolały mnie plecy i ręce. W pewnej chwili usłyszałam radosny okrzyk. To wołał jeden z kolegów:

- Dostał! Fionie! Niemcy wyskakują z płonącej maszyny!

- Walcie do nich z peemów! - krzyknął podchorąży.

Zaterkotały dwa ręczne pistolety maszynowe. Jeden kolega, chcąc dokładniej wykonać rozkaz, wychylił się nieco przez małe okienko. Załedwie strzelił serię, zachwiał się i zsunął po drabinie prosto w moje ręce. Dobrze, że akurat oddałam butelki innemu koledze. Chwyciłam go pod pachy i przeciągnęłam pod ścianę. Zauważyłam, że był ranny w głowę. Oczy miał nieprzytomne, twarz zlaną krwią. Rzucił się niespokojnie, bełkotał.

- Panie podchorąży! Potrzebuję pomocy! - krzyknęłam głośno, unosząc głowę do góry, żeby mnie lepiej usłyszał.

Zeskoczył z drabiny i podbiegł do mnie.

- Co z nim? - zapytał, spoglądając badawczo na niego.

- Złe! Odłamek tkwi w czasce. Trzebaby natychmiast odstawić go do szpitala - powiedziałam, oglądając ranę. Proszę przytrzymać głowę to założę jałowy opatrunek. Po zabandażowaniu głowy zrobiłam rannemu zastrzyk przeciw tężcowy.

- Teraz transport jest niemożliwy - rzekł z żalem w głosie, - może jak nadejdzie noc ...

- Rozumiem, ale tutaj każda minuta się liczy.

Ranny jęczał i rzucał się niespokojnie, rozrzucał ręce i nogi. - Zrobię mu zastrzyk z morfiny, to go trochę

uspokoi - powiedziałałam, wyciągając strzykawkę z torby sanitarnej. Po iniekcji pacjent ucichł i nieco się uspokoił. Oddech miał jednak nadal nierówny i przyspieszony. Dowódca popatrzył na niego ze współczuciem, pokręcił głową, wyrażając tym swoją troskę i odszedł. Przykucnęłam przy rannym i umoczywszy ligninę w wodzie zmywałam mu zakrzepłą krew z twarzy.

Siostró mamy rannego! - usłyszałam głos, wołający z drugiej strony wieży. Zerwałam się na nogi i pobiegłam w tym kierunku, skąd dochodziło wołanie.

Okazało się, że następny kolega otrzymał postrzał w prawe przedramię. Kula uszkodziła tętnicę, gdyż rana bardzo obficie krwawiła.

- Podnieś rękę w górę! - zawołałam i szybko wyciągnęłam z torby gumową opaskę uciskową, którą założyłam powyżej rany. Krwawienie ustąpiło.

- Czy ręka ocaleje? - pytał blady jak kreta młody chłopak.

Ręka zagoi się szybko, ale trzeba pójść do szpitala, żeby lekarz podwiązał naczynie.

- Przecież już nie krwawi.

- Nie krwawi, ponieważ założyłam opaskę uciskową, ale jak ją odwiążę, to znów krew polecą - tłumaczyłam koledze, zakładając mu opatrunek. Jemu również zrobiłam zastrzyk z surowicy przeciwwężscowej, dzięki zapasom które zrobiliśmy sobie z Apteki Wendego. Ledwo skończyłam unieruchomić temblakiem chorą rękę, gdy nadszedł podchorąży.

- Jak ranni? Czy nie lepiej będzie im na powietrzu?

Tutaj jest tyle pyłu i hałasu od tego strzelania, że uszy puchną. Lepiej stąd uciekać!

- Zgoda, ale proszę mi pomóc wynieść nosze z rannym kolegą.

- Dobra! Już się robi - odpowiedział ochodzo i razem ze mną przeniósł rannego w głowę na zewnątrz. Ten drugi udał się za nami. Poczułam na twarzy rześki powiew powietrza. Z przyjemnością odetchnęłam głęboko świeżym powietrzem. Na podwórku było przyjemnie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Spojrzałam na zegarek - dochodziła godzina dwudziesta. Jak ten czas szybko przeminął - pomyślałam. Postawiliśmy nosze tuż przy płocie. Fodchorąży wraz z lżej rannym usiedli na trawie i zaczęli palić papierosy.

- Przyniosę wody ze stróżówki! - powiedziałam i ruszyłam w kierunku bramy. Tam z lewej strony znajdował się mały domek, w którym kiedyś mieszkał stróż. Drzwi od stróżówki były otwarte, gdy weszłam do małej kuchni na spotkanie wyskoczył ku mnie mały, szary, wychudzony kotek. Patrzył wystraszonymi ślepkami na mnie, ale nie uciekał.

- Kici, kici! - zawołałam, wyciągając do niego rękę. Podbiegł z podniesionym do góry ogonkiem. Powąchał mój wskazujący palec. Zaczął go lizać swym ostrym jak szczotka języczkiem. Chwyciłam go na ręce. Nie wrywał się. Zaczął mruzczyć cichutko, wyrażając tym swoje zadowolenie. Schowałam go do kieszeni od panterki. Rozejrzałam się po kątach. Zajrzałam do szafek, kredensu, ale nic nie znalazłam do jedzenia.

11/67

Teraz dopiero poczułam jak bardzo jestem głodna. Po-
deszłam do zlewu i odkręciłam kran. Polała się czysta
woda. Napiłam się jej do syta. Napełniłam też wodą,
stojący obok dzbanek - będzie dla kolegów. Wróciłam
na podwórze, niosąc ostrożnie zdobyty napój, żeby nie
uronić ani kropelki. Podchorążego już nie zastałam
wrócił do wieży. Nieprzytomnemu koledze zrobiłam zimny
okład na głowę. Ten prosty zabieg pomógł mu, gdyż
otworzył oczy i spojrzał w koło zupełnie przytomnie.
Nachyliłam się nad nim i zapytałam jak się czuje, ale
on uniósł głowę, zaczął się rozglądać im opadł znów
na nosze. Zimny pot wystąpił mu na czoło, więc się
przestraszyłam, wówczas usłyszałam cichy szept:

- Gdzie jestem?.

- Jesteś wśród swych - odpowiedziałam ciepło, gła-
dząc go lekko po policzku. Wiedziałałam, że w żaden
sposób nie może sobie przypomnieć gdzie jest, co
tutaj robi, więc mu pomogłam.

- Byłeś w dzwonnicy. Strzelałeś do Niemców, oni też
do ciebie strzelali i zranili cię w głowę. Ot cała
zagadka. Kolega uśmiechnął się delikatnie, kiwnął
głową na znak, że zrozumiał, a potem zawołał :Pić!
Gdy ugasił pragnienie, natychmiast zasnął.

Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno i zimno.
Siedziałam na trawie skulona i trzęsłam się z zimna.
Chwilami zapadałam w sen. Przypomniałam sobie jednak
o tym drugim rannym. Trzeba mu koniecznie zwolnić
opaskę uciskową. Trzymanie jej zbyt długo, hamuje
krążenie, może wywołać martwicę. Zawołałam go.

Zaraz się zjawił, gdyż był niedaleko. Siedział na ławeczce koło stróżówki i gawędził z wartownikiem. Powiedziałam mu dlaczego go wzywam i przystąpiłam do dzieła.

- Czuję mrowki aż w końcu palcach - powiedział, gdy zwolniłam mu gumową opaskę.

- Krwawienie prawie ustąpiło - pocieszałam go. Teraz zrobię opatrunek uciskowy na samą ranę i może obejdzie się bez podwiązywania naczynia.

- Niech kolega teraz napije się wody. Jest tutaj w dzbanku. Gdy on pił wodę nadszedł nasz młody dowódca. Pytał jak się czujemy. Podziwiałam jego troskliwość, ale gdy mu się bliżej przyjrzałam zauważyłam wyraz głębokiej troski na twarzy. Zdałam mu krótką relację ze stanu zdrowia rannych i zapytałam, co dzieje się na polu walki?

- Niemcy chyba się wściekli, stale nas dzisiaj atakują. Bronimy się, ale tak szczerze mówiąc ostatkiem amunicji. Najpierw atakowali nas czołgami, ale nie udało się. Jeden czołg został spalony, drugi wycofał się, teraz rzucili na nas piechotę. Jeśli obrzucą bramę granatami, rozwalą ją szybko i co wtedy? Wtargnięcie ich tutaj na podwórze będzie dla nas prawdziwą tragedią. Do obrony zostało nam jedynie parę butelek z benzyną i trzy granaty. Czym teraz będziemy się bronić? Chłopcy od wczoraj prócz wody nie mieli nic w ustach. Nasi tam wyżej chyba zupełnie o nas zapomnieli - rzekł z goryczą. Zapanowało głuche milczenie. Podchorąży siedział na trawie i ćmił papierosa. Nagle zamiałczał kotek. Wylazł mi z kieszeni i jednym sussem

skoczył na kolana podchorążego.

- Co to? zdziwił się, ale uśmiech rozjaśnił mu twarz. Kotek wygiął grzbiet, zaczął się łasić, ocierać i wydawać kocie pomruki. Dowódca łaskotał go palcem pod łebkiem. Przyjaźń została przypieczętowana.

- Podobno z tej starej dzwonnicy prowadzą lochy aż do Zamku Królewskiego - powiedziałaś mi stąd, mi zowad.

- Lochy? Niezła myśl! - krzyknął, zrywając się na równe nogi. Chodźmy!

- Mam w torbie latarkę elektryczną. Może się przydać - powiedziałaś idąc krok w krok za nim.

Zejście do piwnicy znajdowało się pod kręconymi schodami, które prowadziły na samą górę do wieży, gdzie kiedyś znajdował się potężny dzwon. W piwnicy powiało chłodem i stęchlizną. Powietrze było przesiąknięte wilgocią. Zapaliłam latarkę i podałam ją memu towarzyszowi, który szedł pierwszy. Szliśmy pojedynczo, gdyż schody prowadzące w dół były bardzo wąskie. Dotarliśmy dość szybko do niewielkiej piwniczki, której ściany okazały się być wspaniałymi grobowcami. Świadczyły o tym liczne tablice pamiątkowe, piękne płaskorzeźby, oraz napisy w języku łacińskim. Młody dowódca oświetlał pilnie ściany, szukając wejścia do lochu, wreszcie je znalazł. Było dużo węższe, także musieliśmy się w nim posuwać znacznie wolniej mocno pochyleni. Tunel był wąski, widać dawno przez nikogo nie używany. Ściany jego były obrosłe mchem. Po paru metrach drogi znaleźliśmy się znów w piwnicy, tym razem znacznie większej. Podchorąży ponownie zabrał

się do obstukiwania ścian i szukania dalszego przejścia. W pewnej chwili usłyszałam jego radosny okrzyk:
- Jest!

W istocie było dalsze przejście do następnego tunelu, ale niestety zamurowane.

- Proszę posłuchać. Tam jest inny odgłos. To dowodzi, że dalej jest pusta przestrzeń, ale jak się do niej dostać?

Podchorąży walił jakimś znalezionym kamieniem, pięścią, ale bezskutecznie - mur nie ustępował.

- Wracamy! Szkoda czasu. Trzeba coś innego wymyślić.

Gdyby droga przez tunel była dostępna, posłałbym łącznika i tą drogą przysłaby do nas pomoc, a tak to "plajta". Wracaliśmy lochem w odwrotnym kierunku.

Szłam za nim nie odzywając się. Wiedziałam, że spotkał go zawód. Czułam się trochę winna, że nasunęłam tę właśnie propozycję, która nie zdała egzaminu. Z ulgą wydostaliśmy się na zewnątrz. Bez słowa wróciłam do swoich rannych, a on pozostał w dzwonnicy. Nadchodziła noc. Na wyiskrzonym gwiazdami niebie świecił księżyc. Obydwaj ranni spali, usiadłam przy nich na trawie i obserwowałam gwiazdy. Było mi smutno i ciężko na sercu. Czułam się osamotniona, lękałam się przyszłości. Nagle usłyszałam znajome kroki.

Jestem piekielnie zmęczony. Jeść mi się chce jak cholera! - rzekł podchorąży i usiadł obok mnie.

- Proszę, niech się pan poczęstuje - podałam mu na dłoni parę kostek cukru.

- Skąd taki rarytas? - zapytał i wziął jedną kostkę

do ust.

- Mama dała na drogę - powiedziałam, proszę zjeść wszystkie, ja jeszcze mam parę dla siebie.

Schrupaliśmy cukier ze smakiem, ale rozmowa nam się nie kleiła. Naokoło panowała dziwna cisza. Wreszcie przerwałam milczenie.

- Czy Niemcy zaprzestali już walki? - zapytałam.

- Coś knują, bo dotąd nie odstąpili od dzwonnicy.

Tym razem ja ich uprzedzę. Mam już pewien plan.

- Jaki może być plan, jeśli brak środków do działania?

- Zaraz koleżance wyłożę. Za chwilę ogłoszę alarm. Każę chłopakom narobić wiele hałasu. Będziemy w Niemców rzucać czym się da kamieniami, gruzami, butelkami.

Chodzi mi głównie o to, by nasi na "Starówce" usłyszeli ten rewetes. Wśród nocy każdy głos słychać znacznie głośniej, więc nas usłyszą i przypomną sobie o nas.

- Czy nie prościej byłoby wysłać łącznika?

- Nie da rady. Pilnuję - odpowiedział podchorąży, wstał i poszedł do wieży.

Po chwili wybiegli chłopcy i zaczęli zbierać kamienie.

Domysliłam się, że młody dowódca zaznajomił ich ze swoim zamiarem. Tak też było w istocie, gdyż po paru minutach rozległy się głośne okrzyki - Hura! Bij!

Zabij! Rezultaty tego prostego planu okazały się dla nas zbawienne. Rozpoczęła się ze strony Niemców bezładna strzelanina. Widocznie byli zaskoczeni naszym atakiem. Ten hałas obudził lżej rannego. Zerwał się i podbiegł do wieży zobaczyć, co się dzieje. Ranny w głowę znów był nieprzytomny, rzucał się, a nawet miał drgawki,

co bardzo mnie zaniepokoiło. Zmieniał mu na głowie zimny okład, ale tym razem nie to nie dało.

Powrócił tamten i zaczął mi opowiadać o tym, że nasi na "Starówce" zaatakowali Niemców od tamtej strony.

- Niemcy wycofują się. Zaraz będziemy wolni - relacjonował wyraźnie podniecony.

- To wspaniale. Odstawię was zaraz do szpitala.

- Czy ja uszę?

- Musisz. Nie ma innej rady - powiedziała stanowczo.

Ucieszyłam się bardzo wiadomościami, które przyniósł mi kolega, ale jeszcze mu niedowierzałam. To wszystko wydawało mi się zbyt bajkowe. Była to jednak prawda. Po chwili usłyszeliśmy walenie kolbami w bramę i głośne okrzyki: Otwierać! Swoi!

Wartownik nie otwierał. Czekał na wyraźny rozkaz dowódcy. Dopiero gdy przyszedł wezwany podchorąży i kazał mu wpuścić naszych - otworzył. Na podwórze wpadł ppor.

Zbyszek Witkowski wraz ze swoim plutonem. Wszyscy

uzbrojeni byli "po zęby". Witaliśmy ich jak wybawców.

Było dużo opowiadań i śmiechu, gdy podchorąży opowiadał jakiego podstęp użył, aby sprowadzić pomoc. Była też mowa o tunelu, który prowadzi do Zamku Królewskiego, a którego istnienie nie mogliśmy wykorzystać.

- Żeby tylko Niemcy, kiedyś nie wykorzystali tego połączenia, aby nas zaskoczyć - powiedział, zastanawiając się ppor. Zbyszek.

- Dość gadania! Wychodzimy! Ranni potrzebują opieki lekarskiej - powiedział energicznie podchorąży i szybko wyskoczyliśmy na Krakowskie Przedmieście. Niemców

nie było ani śladu, nawet ulica nie znajdowała się pod ostrzałem. Biegliśmy jednak szybko, bojąc się ze strony wroga zasadzki. Koledzy nie pozwolili mi dźwigać noszy więc biegłam za nimi jak mogłam najszybciej. Odprowadziłam rannych na ulicę Długą do szpitala wojskowego i oddałam w ręce dyżurującego lekarza. Na kwaterę dotarłam dopiero nad ranem. Zaspana Elżunia dała mi kawałek chleba, wina i puszkę konserw. Podzieliłam się zieloną wieprzowiną z kotkiem, który był tak wygłodzony, że aż trząsał się przy jedzeniu, co pobudzało do śmiechu Elżunię. Wzięła ona kotka pod swoją opiekę i obiecała zanieść do cioci, która mieszkała na Franciszkańskiej. Musiałam Elżuni wszystko opowiedzieć po kolei o tym, co przeżyłam w dzwonnicy św. Anny.

- Teraz spij - rozkazała mi moja przyjaciółka, ja sama dzisiaj zrobię obchód. Nie pozwolę nikomu ciebie budzić.

Poszłam za jej radą i natychmiast zasnąłam. Spałam parę godzin. Obudziłam się koło południa. Zaledwie wstałam zgłosiła się do mnie Jaga.

- Dobrze, że jesteś już z nami. Elżunia opowiadała mi o tym co przeżyłaś w dzwonnicy. Ta ranna sanitariuszka zmarła w szpitalu. Niepotrzebnie kazałam ci biec na Krakowskie Przedmieście. Bałam się o ciebie.

- Wszystko jest w porządku. Nie ma o czym mówić. Nie przejmuj się Jaguś - rzekłam, uśmiechając się do niej serdecznie.

- Masz coś do mnie?

- Porucznik Dzik chce ciebie poznać. Masz zaraz zameldować się w sztabie u Baryczków.

- To on jest już z nami! - wykrzyknęłam zdziwiona. Wyszliśmy razem na Stary Rynek i jeszcze chwilę rozmawialiśmy na dworze.

Dowódca batalionu zaraz po przedarciu się na Stare Miasto poczynił wiele zmian. Dowódcą 11 kompani został mianowany por. Bezyli, gdyż Szczerba nie nadawał się na to stanowisko. Zresztą jak wiesz został ranny w palec. Fpor. Sawicz z ochotników stworzył nową 12-tą kompanię i został mianowany jej dowódcą. Adiutantem por. Dzika jest przenięty porucznik "Brochwicz".

Wszystkie łączniczki nazywają go wujaszkiem tak sobie zdobył ich sympatię. Te kilka rzuconych przez Jagę informacji pozwoliło mi osądzić, że mamy energicznego dowódcę. Słyszałam już o nim wiele opinii, a przede wszystkim to, że jest wspaniałym człowiekiem. Byłam teraz ciekawa poznać go bliżej. Weszłam do kamieniczki Baryczków, na schodach spotkałam łączniczkę Nelę, którą znałam z okresu okupacji.

- Dowódca batalionu przyjdzie na pierwszym piętrze - powiedziała, zgadując moje myśli.

Kiwnęłam jej głową w podziękę za informację i pobiegłam we wskazane miejsce. Zameldowałam swoje przybycie dyżurującej łączniczce "Marysi". Po chwili znalazłam się w dużym stylowym pokoju, w którym przy dębowym staroświeckim biurku siedział młody jeszcze, choć lekko szpakowaty mężczyzna. Popatrzył na mnie swymi dużymi, piwnymi oczami i nic nie mówiąc wskazał mi k

krzesło, na którym natychmiast usiadłam. Wzruszyło mnie to spotkanie z człowiekiem, który był moim przełożonym i decydował o losie całego naszego batalionu. Rozmowa była krótka i rzeczowa. Dowiedziałam się, że będę teraz komendantką wszystkich sanitariuszek naszego batalionu. Moim bezpośrednim dowódcą będzie porucznik Dzik. Będę należała do jego sztabu i jemu jedynie podlegała. Nie dotyczyło to Elżuni, która miała w dalszym ciągu pełnić funkcję drużynowej przy kompanii por. Bazylego. Powiedziałam porucznikowi Dzikowi o zamiarze zorganizowania punktu szpitalnego dla rannych żołnierzy naszego batalionu. Poinformowałam go także o zapasach jakie porobiła Lidia. Wszystko pochwalił i zapewnił, że mogę liczyć na jego pomoc. Dał mi też wolną rękę w działaniu na rzecz szpitala. Odmeldowałam się zgodnie z regulaminem. Dowiedziałam się jeszcze, że mam się przenieść do Baryczków i przebywać w kwaterze razem z łączniczkami sztabowymi. Opuściłam szybko pokój i zbiegłam ze schodów o mało nie wpadłszy w ramiona starszego pana porucznika o niebieskich, łagodnych oczach. Był to jak się później dowiedziałam "wujaszek" - adiutant por. Dzika. Ustąpił mi oczywiście miejsca i powiedział kiwając głową: - Ach ci młodzi, zawsze się gdzieś spieszą". Bąknełam oczywiście - przepraszam - i znalazłam się na dworze. Chciałam jak najszybciej odnaleźć Elżunię, żeby z nią podzielić się nowinami. Nigdzie jej jednak nie mogłam znaleźć. Zabrałam więc ze starej kwatery koc, torbę sanitarną. Napisałam karteczkę do Lidii, gdzie teraz będę i ruszyłam

z powrotem do Baryczków. Łączniczki, które w większości doskonale znałam jeszcze z konspiracji zajmowały dużą salę na parterze. Spały wszystkie pokątem na podłodze. Nie było tutaj luksusowych tapczanów tak jak no Nowym Zjeździe, ale za to byli sami swoi, którzy dawali poczucie bezpieczeństwa i przyjaźń. Odnowiłam zaraz stare znajomości z "Jagódką" Ireną Szlaszewską/ z którą na codzień prawie spotykałam się w okresie okupacji i przyjaźniłam z całą jej rodziną, tak samo z "Dulką" - Hanką Bąkowską obecnie Hass, "Maryś" - Zofią Zarębą obecnie Okólską - żoną por. Dzika, "Helenką" - Natalią Adamik, która za niezwykłą odwagę została odznaczona Krzyżem Walecznych. "Kela" - Nela Barańska, a także "Żabą", która prowadziła dla nas stołówkę. Poznałam też sztabowych łączników: Mietka Mileckiego i Janusza Podkowę oraz kustosza Zygmunta Miechowskiego. On miał w batalionie specjalne zadanie - ochronę zabytków oraz wszelkich cennych eksponatów. Wykonywał swoje obowiązki z ogromnym zaangażowaniem. Często można było zobaczyć jak z pod zwałów gruzu, nie zwracając uwagi na ostrzał, niebezpieczeństwo, spokojnie wygrzebywał z ruin lub pogorzeliisk jakieś obrazy, książki czy inny sprzęt, który następnie pakował do odpowiednich skrzyń i gdzieś w piwnicach zakopywał w jemu tylko wiadomych miejscach. Szczególnie utkwiał mi w pamięci fakt, gdy brał udział w akcji przeciwpożarowej przy płonącej Katedrze św. Jana. Wynosił wówczas z płomieni cenne obrazy i sprzęt liturgiczny, chroniąc je przed zniszczeniem. Zygmunt był

przez wszystkich lubiany i ceniony. Może dlatego, że potrafił swoją pogodą ducha zarażać innych, a może zdobywał sympatię przez życzliwość jaką miał dla wszystkich. Zginął niestety tuż przed samą kapitulacją Powstania. Został ranny dnia 28 września w brzuch i po kilku godzinach męki skonał. Pogrzeb miał uroczysty, z honorami wojskowymi. Sam dowódca batalionu, przemawiał nad jego mogiłą, a my jego towarzysze i przyjaciele opakiwaliśmy jego odejście łzami. Ze względu na coraz bardziej zwiększającą się liczbę rannych żołnierzy postanowiłam energicznie zabrać się do zorganizowania naszego punktu szpitalnego. Lidia zaofiarowała mi swoją pomoc. Wyszukałyśmy w pobliżu maszyną piwnicę i tam urządziłyśmy mały szpital. Piwnica ta znajdowała się w wypalonym domu przy ulicy Freta 10. Wszystkie zebrane przez Lidie rzeczy i zapasy zostały przy pomocy kolegów tam przeniesione. Ona też zatroszczyła się o wyszukanie mi wśród ludności doskonałej pielęgniarki. Pamiętam tylko jej imię - Basia. Była to Żydówka, która z ogromnym poświęceniem i oddaniem opiekowała się rannymi powstańcami. Brakowało nam jeszcze lekarza. Wpadłam więc na pomysł, aby go poszukać także wśród mieszkańców zgromadzonych po piwnicach. Miałam szczęście, gdyż w którejś z kolejnych na moje zapytanie, czy nie ma pośród nich lekarza zgłosił się starszy pan w okularach i oznajmił? - Jestem lekarzem, ginekologiem. O co chodzi? - Jest nam potrzebny lekarz do punktu szpitalnego na Freta - wyjaśniłam. - Nie wiem, czy będę przydatny. Moja specjalność...

Nie dałam mu dokończyć. Byłam uradowana. Przyda się każdy lekarz. W tym szpitalu będą przebywać jedynie lżej ranni. Da pan radę, tym bardziej, że będzie do pomocy wykwalifikowana pielęgniarka.

Zgodził się. Mieliśmy z tego lekarza wielką pomoc, gdyż był to człowiek mądry, odważny i pełen poświęcenia. Miał przy sobie zestaw chirurgiczny, co dla szpitala było nadzwyczaj pożyteczne. Z biegiem czasu wprawił się i dokonywał małych zabiegów. Los nam wówczas sprzyjał. Mieliśmy duże zapasy leków i środków opatrunkowych, które zostały uratowane przed pożarem w Apteczce Wendego. Teraz można było z nich korzystać. Znajdowały się one w intendenturze batalionu. Korzystały z niego szpitale oraz wszystkie patrole sanitarne. Rannych stale przybywało, gdyż Niemcy wzmogli natarcia na Stare Miasto, stosując wszelką możliwą broń zagłady. Rosły mogiły poległych, a rannych przybywało coraz więcej. Sanitariuszki sprawowały się znakomicie. Ich zwinne ręce opatrywały rany, tamowały krwotoki, łagodziły ból. Noszowe uwijały się z transportem rannych, prosząc niejednokrotnie o pomoc ze strony ludności cywilnej, której nie odmawiano.

Zameldowałam porucznikowi Dzikowi o działalności szpitala. Ucieszyła go ta wiadomość, gdyż zawsze miał na uwadze dobro swoich podkomendnych.

Nazajutrz, dnia 6 sierpnia była niedziela. Od rana świeciło słońce. Zapowiadał się upalny, gorący dzień. Na naszych placówkach było spokojnie. Na kwaterach czyszczono broń i szykowano odzież na to, by wystroić

się odpowiednio na mającą się odbyć defiladę. Nasz batalion nie miał brać udziału w tym uroczystym przemarszu, ale szykował się do wzięcia udziału w uroczystej mszy świętej, która miała być odprawiona w kamienicy Książąt Mazowieckich na pierwszym piętrze. Nie wszyscy mogli się pomieścić w środku, więc wiele wojska, a także mieszkańców zgromadziło się na Rynku Starego Miasta, żeby uczestniczyć w modłach za Ukochaną Ojczyznę. Ksiądz odprawiał nabożeństwo bardzo uroczyście i miał piękne kazanie. Na zakończenie odśpiewaliśmy wszyscy - "Boże coś Polskę...." oraz "Rotę". Wiele osób płakało. Ja także nie mogłam powstrzymać łez, które spływały mi po policzkach. Nagle na niebie ukazał się samolot. Wszystkie głowy uniosły się w górę. Chwila ciszy i straszliwy ryk pikującej w dół maszyny. Tłum zakochał się niespokojnie. Potem nastąpił gwałtowny wybuch, wyrzuconej gdzieś niedaleko bomby. Niemiecki bombowiec znikł wysoko w chmurach, a ludzie spokojnie rozeszli się do domów.

TRAGICZNE DNI NA "STAROWCE"

W poniedziałek wstałyśmy z Elżunią bardzo wcześnie, żeby jeszcze przed śniadaniem zrobić przegląd naszych patroli. Spotkałyśmy się na Starym Rynku o szóstej rano i natychmiast ruszyłyśmy w drogę. Powietrze było świeże, chłodne. Słońce dopiero wychodziło z za chmur. Nie było jednak widać ptaków, nawet wróbli, odfrunęły gdzieś daleko od miejsca, gdzie stałe groziło im niebezpieczeństwo. Znikły też gołębie. Na barykadach panował spokój, więc nastrój był doskonały. Chłopcy żartowali, a sanitariuszki były uśmiechnięte. Tam i ówdzie zjadano żołnierskie śniadanie. Elżunia poszła jeszcze do "Pekinu" zaprowadzić tam nową przeszkoloną sanitariuszkę, a ja wróciłam na kwaterę, żeby się posilić. Ten przymusowy spacer pobudził mi apetyt. Zaledwie weszłam do pokoju, Jaga podszła do mnie i powiedziała:

- Szukano ciebie. Jest ranny.
- Skąd ranny? Od wczoraj przecież Niemcy jeszcze nie strzelali.
- To ranny, który przedarł się wraz ze swoją grupą z Banku Polskiego. Przeszli tam piekło. Zginęły pod grzazami cztery sanitariuszki.
- Gdzie on jest? Prowadź!

Chociaż było to w sąsiednim pokoju Jaga zaprowadziła mnie do niego. Był to młody porucznik, ubrany w przedwojenny mundur wojskowy. Siedział na fotelu i drzemał. Gdy weszłyśmy zbudził się i zerwał, uśmiechając się swymi szarymi oczami. Przedstawił się mi żartobliwie

- Porucznik "Marrot" do usług pani komendantki!

Spojrzałam na niego badawczo, nigdzie zranienia nie zauważyłam.

- Niech pan nie żartuje tylko powie, co panu jest, gdzie ta rana?

- Głupstwo. Małe oparzenie uda. Nie groźnego, tylko trochę się paskudzi i boli.

Proszę pokazać ranę - powiedziałam. Szybko zabrałam się do robienia opatrunku. Było to rozległe, dość groźne oparzenie. Przez dłuższy czas musiałam porucznikowi robić opatrunki, stąd nawiązała się między nami przyjaźń. Dowiedziałam się od niego szczegółów, dotyczących tragicznej śmierci sanitariuszek z 12 kompanii naszego batalionu. Wśród tych dziewcząt były moje dwie koleżanki ze szkoły pielęgniarskiej. Były to Halina Etninis i Aldona Bruner. Tej ostatniej matka mieszkała w Skolimowie, niedaleko Chylic i znała się dobrze z moją mamą. Toteż często jeździłyśmy razem do swoich kochanych mam tą samą trasą i rozmawiałyśmy całą drogę, stąd nasza bliższa znajomość, a później przyjaźń. Żał mi było tej rudowłosej przyjaciółki, z którą łączyło mnie wiele miłych wspomnień. Jej tragiczna śmierć była dla mnie ciężkim przeżyciem. Tego dnia koło dziewiątej rozpoczął się pierwszy nalot lotniczy, oraz obstrzał artyleryjski, skierowany na Stare Miasto. Stały mi w oczach dni wrześniowe, przeżyte także w Warszawie, tylko, że wtedy w nalotach uprzedzały nas wyjące syreny, a obrona przeciwlotnicza starała się niszczyć bombowce nieprzyjacielskie. Teraz nie było żadnej obrony. Niemieckie maszyny, naładowane pociskami pikowały tuż nad

dachami zabytkowych kamieniczek, burząc je i paląc bez litości. Buchnęły dymy pożarów, ziemia trzęsła się od wybuchów. Rozpaczliwe krzyki rannych i wystraszonych mieszkańców wołały o pomoc i ratunek. Zabrałam się energicznie do udzielania pomocy. Ręce mdlały mi od robienia opatrunków. Tu jakiejś kobiecie odłamek urwał rękę i trzeba było zatamować krwotok, tam dziecko wyciągnięto z płonącego domu i trzeba było opatrzyć rozległe oparzenia, a ile drobnych zranień i okaleczeń wymagało opatrunków. Kilka ciężkich zranień musiałam przekazać do szpitala na ulicę Bonifraterską, gdyż jedynie tam przyjmowano ludność cywilną. Trudno mi było zorganizować transport, gdyż droga do tego szpitala była niebezpieczna. Wreszcie zawsze kogoś ofiarnego znajdowałam. Byli to najczęściej starsi już wiekiem mężczyźni. Tutaj na podłodze, przykryci panterkami leżeli zabici koledzy, kapral "Marek" i strzelec "Waldemar". Spojrzałam na nich ze współczuciem.

- Nie udało się ich uratować. Ciała mieli poszarpane przez odłamki - powiedziała cichym, spokojnym głosem Lidia.

- Frażyli nas cały czas artylerią - dodała Blanka, bandażując zranioną rękę jednemu z kolegów.

- Dzisiaj wszędzie był silny obstrzał. Wielu ludzi zginęło i zostało rannych - rzekłam w zamyśleniu, przypominając sobie tych wszystkich, którym zakładałam przed kilkoma minutami opatrunki.

- Trzech rannych musiałyśmy odesłać do szpitala na Freta, gdyż wymagali natychmiastowej pomocy lekarskiej.

-Dobrze, że mamy swój szpital-powiedziała Lidia.

-To twoja zasługa.Nagromadziłaś tyle pościeli i niezbędnych przedmiotów, nadających się do użytku szpitalnego, że trzeba było to wykorzystać.

Sanitariuszki jeszcze dość długo opatrywały rannych i poparzonych.Przyglądałam się ich pracy.Byłam z nich zadowolona, gdyż doskonale sobie radziły.Wracając od Lidii wstąpiłam na Freta.Chciałam zorientować się jak działa ten mały szpitalik, który ze względu na bezpieczeństwo urządziłyśmy w piwnicy rozwalnej kamienicy.Przywitałam się z doktorem i siostrą Basią, którzy właśnie jedli kolację.Chcieli mnie ugościć, ale podziękowałam, wypłam jedynie trochę czerwonego wina.

-Jak sobie radzicie, czy macie jakieś potrzeby? -zapytałam

-Prosimy o przydział koszul.Podobno w magazynie jest ich pod dostatkiem -odpowiedziała pielęgniarka.

-Myślę, że siostrze przydałaby się jakaś pomoc- dodał doktor.

-Rozumiem.Jutro wszystko załatwię.Z samego rana wpadnę do naszego kwatermistrzostwa a później przyprowadzę dwie dziewczęta, które się kiedyś do mnie zgłaszały.Mam ich adresy.Nie mają one żadnego przeszkolenia sanitarnego, ale są młode i chętne do każdej roboty.Napewno się przydadzą.Mam jeszcze jedną kobietę, która straciła pod gruzami całą rodzinę.Jest strasznie załamana.Chce poświęcić się pracy przy chorych, żeby nie myśleć o swoim nieszczęściu.

- Liczymy na tę pomoc - powiedziała siostra Basia i doktor.

Wracając ze szpitala spotkałam Zenona. Nie byłam zadowolona z jego widoku, ale nie wypadało udawać, że go nie widzę. Straciłam do niego zaufanie jako do dowódcy, zawiódł moje oczekiwania. W czasie okupacji był taki czynny, odważny, a teraz załamał się, nie był zdolny do podejmowania decyzji, do walki. Przywitał się ze mną jak zawsze serdecznie.

- Jak tam palec? - zapytałam przez grzeczność, chociaż dobrze wiedziałam, że to było jedynie drobne draśnięcie.

- Dziękuję, goi się pomału - odpowiedział, pokazując mi obandażowany wskazujący palec. Co u ciebie słychać?

- Jestem zabiegana. Rannych coraz więcej, a miejsc w szpitalu nie przybywa - rzekłam wymijająco.

- Chcesz pewno zorganizować nowy szpital dla naszego batalionu. Mogę ci w tym pomóc. Mam znajomą siostrzyczkę u Sakramentek. One mają tu zakon niedaleko, możemy zaraz tam pójść.

Zgodziłam się. Okazało się, że pomysł Zenona był dobry. Zakonnice nie tylko zgodziły się dać nam piwnicę na szpital, ale obiecały wyposażyc ją w łóżka, materace, pościel i bieliznę oraz dać rannym żpłnierzom całodziennę wyżywienie. Jedynie obsługa chorych miała być nasza, gdyż był to zakon zamknięty i nie wolno było siostrom stykać się z ludźmi. Wszystko zostało omówione z Matką Przełożoną. Uzgodniliśmy, że szpital będzie oddany do użytku za pięć dni. Ten czas był potrzebny zakonnicom do przygotowania wszystkiego. Ogromnie zadowolona

pobiegłam na kwaterę podzielić się tą wiadomością z porucznikiem ^Dzikim, ale nie zastałam go, gdyż był na odprawie u pułkownika Wachnowskiego.

- Nie ma porucznika Dzika. Gdy wróci z pewnością powie nam coś ważnego - powiedziała Maryś, uśmiechając się do mnie życzliwie.

- Co nam mu przekazać?

- Powiedz, że szykuje się dla nas drugi punkt szpitalny i że będą go wyposażać zakonnice.

- Dobrze, powtórzę, napewno się ucieszy - powiedziała Maryś

- Czy widziałaś może porucznika Zarębę? - zapytałam.

- Nie widziałam, ale słyszałam jak nasz dowódca polecał mu pójść do szkoły na ulicę Rybaki. Tam było dzisiaj gorąco, a Zaręba jest naszym kronikarzem, wyjaśniła.

- Kronikarz - pomyślałam, to nawet do niego pasuje. Wiedziałam, że przed wojną śpiewał w chórze "Juranda".

Ma podobno piękny baryton, czy kiedyś go usłyszę?

Poszłam do naszej kwatery i położyłam się na rozłożonym kocu. Spałyśmy już teraz pokotem w piwnicy bezpośrednio na ziemi. Leżałam i oczy kleiły mi się ze zmęczenia. Nagle weszła Jaga. Była także wykończona dzisiejszym ciężkim dniem. Usiadła na brzegu mego posłania.

- Jaguś, co z tobą? Jesteś taka blada?

- Cały dzień latałam z meldunkami tam i z powrotem, a nad głową krążyły te przekłete samoloty. Myślałam, że mnie wykończą. Strzelali z karabinów maszynowych prosto do ludzi, którzy uykali przed nimi jak zające. Istne,

piekło. Potem jeszcze zaczęło się jakby przesuwanie szaf i gwałtowne wybuchy pocisków artyleryjskich. Nie wiadomo było, gdzie się skryć, wszędzie pełno dymu, prochu, odłamków i ognia. Padłam na ziemię. Leżałam jak martwa, oczekując kiedy mnie zasypie walący się dom. Potem jakoś odgrzebałam się i pędziłam dalej do następnego wybuchu. Istny taniec ze śmiercią. Gdy dotarłam na barykadę przy Miodowej natknęłam się na trupy. Na ziemi leżało kilku zabitych kolegów. Sanitariuszki opatrywały rannych, a dwie noszowe dźwigały na noszach ciężko rannego kapitana "Lawinę".

- W jakim był stanie?

- "Ogrywał" - powiedziała Jaga. Nie wiem, czy doniosły go żywego do szpitala na Długą.

- Pójdę na Długą. Dowiem się wszystkiego.

- Nie pójdę z tobą. Muszę trochę odpocząć - usprawiedliwiała się Jaga.

Po chwili byłam już w szpitalu na Długiej. Pełno było tutaj rannych, którzy zajmowali wszystkie wolne miejsca i leżeli dosłownie wszędzie. Lekarze bez przerwy na zmianę dokonywali zabiegów operacyjnych. Pracowali bez wytchnienia, z ogromnym poświęceniem, bo rannych przybywało coraz więcej i więcej, a okaleczenia były nieraz bardzo skomplikowane. Na korytarzu spotkałam koleżankę ze szkoły pielęgniarzkiej, która pomogła mi zdobyć potrzebne informacje, dotyczące kapitana Lawiny, a także porucznika Zbyszka Witkowskiego. Ten ostatni po podwiązaniu tętnicy i wyjęciu odłamka został wypuszczony do swojego plutonu. Gorzej sprawa wyglądała z kapitanem.

Uziera. Nie było dla niego ratunku.

- Ma uszkodzony mięsień sercowy. Lekarze nie mogli go operować. Skazany jest na śmierć - relacjonowała mi koleżanka.

Wróciłam na kwaterę bardzo zgnębiona i potwornie zmęczona. Tam czekał na mnie porucznik Zaręba.

- Szukałaś mnie, czy masz zmartwienie?

- Zmartwień mam dużo, ale ty nie możesz mi pomóc - odpowiedziałam z westchnieniem.

- Na frasunek najlepszy jest trunek - usiłował zażartować Marian. Wyciągnął z kieszeni płaszcza koniak i nalewał mi odrobinę do szklanki.

- Twoje zdrowie. Na pohybel zmartwieniom! - zawołał i wypił do dna. Poszłam za jego przykładem. Zakręciło mi się w głowie, ale zrobiło mi się odrazu raźniej.

- Teraz mów co cię trapi. Może będę mógł pomóc? - rzekł serdecznie, obejmując mnie ramieniem.

Spojrzałam mu z wdzięcznością w oczy i uśmiechnęłam się. Jego szczerą twarz o nieco zapadniętych policzkach wyrażała dziwny spokój i opanowanie. Wzruszona byłam w głębi serca jego obecnością i dotykiem jego rąk.

- Nie masz takiej władzy, żebyś mógł powstrzymać naloty samolotów i natarcia artyleryjskie Niemców - powiedziałam żartobliwie.

- Dość masz już wojowania - powiedział, wierz mi moja droga, że ja też. Musisz jednak być jeszcze bardziej odporna na to, co się dzieje i co się jeszcze może zdarzyć. Musisz w sobie znaleźć tę moc przetrwania i nie przejmować się tak wszystkim dokoła.

- Ja znajdę jeszcze w sobie dość siły, żeby wytrwać do końca i wcale nie dopuszczam do siebie złych, pesymistycznych myśli, ale dzisiaj tyle było rannych, tyle cierpienia, to mnie boli, a najbardziej żal mi rannych dzieci.

- Jestem realistą - powiedział Marian i nie potrafię się oszukiwać. Jeśli nie otrzymamy pomocy i Niemcy nie zaprzestaną natarcia z ziemi i powietrza to Powstanie długo się nie utrzyma. Jeszcze parę tysięcy pocisków zwali się na Stare Miasto i pozostanie z niego kupa gruzu. Zniszczą nam dopływ wody, magazyny żywności i będzie głód.

- Nie mów tak, proszę - spojrzałam na niego błagalnie, lecz on mówił dalej.

- Przegramy to Powstanie, ale nie przegramy wojny. Niemcy są teraz w trudnej sytuacji, walczą już na dwóch frontach. Są ustawicznie bombardowani. Flota ich została wykończona, wojsko stopniowo się demoralizuje. Przyjaciele - opuszczają. Jedynie jeszcze Japonia jest im wierna. My tę wojnę wygramy - to pewne, ale nie wiem, czy przeżyjemy. Wszystko jest w ręku Boga. Czekają nas jeszcze ciężkie chwile, ale ja będę przy tobie, pomogę ci. Możesz zawsze liczyć na moją pomoc. - Marian zamilkł i uśmiechnął się znów do mnie przyjaźnie. Te słowa, ten uśmiech wywarły na mnie wstrząsające wrażenie. Czyżbym go kochała? Byłam zdumiona tym nowym odkryciem, ale ukryłam go głęboko w moim sercu.

Nazajutrz z samego rana wstąpiłam do kwatermistrzostwa żeby postarać się o przydział koszul dla szpitala. Nie

zastałam ppor. Wasilewskiego, ale ppor Żaka, który załatwił moją sprawę od ręki. Później niejednokrotnie zwracałam się do tego jakże miłego i sympatycznego porucznika, żeby mi załatwił to lub owo dla szpitala, czy też dla moich patroli sanitarnych - nigdy nie odmówił mi pomocy. Znany był przez wszystkich z dobroci serca i uczynności. Miał przy tym "złote ręce" do robót stolarskich. Gdy przyszły dla nas ciężkie dni i zginęło dużo kolegów i koleżanek nigdy nie odmówił, gdy zwracano się do niego z prośbą o zrobienie trumny. Dzięki niemu wszystkie sanitariuszki i łączniczki, które poniosły śmierć chowane były w trumnach zrobionych przez niego. Zniosłam do szpitala koszule i przyprowadziłam obiecaną pomoc dla siostry Basi.

Znów minęło kilka bardzo ciężkich dni podobnych do siebie, wypełnionych nieustającymi nalotami, pożarami, oraz ostrzałami artyleryjskimi. Ludzie przestali wogóle pokazywać się na ulicach zawałonych gruzami. Nikt nie usiłował już ich oczyszczać z tych zwałów cegieł i kamieni. Chodziło się górą. Niemcy nadal atakowali nasze barykady piechotą, czołgami oraz nowo zastosowaną bronią: gołatami i miotaczami ognia. Była to potworna wprost broń, siejąca wokół śmierć i ciężkie okaleczenia. Chłopcy i dziewczęta trzymali się jednak bardzo dzielnie. Ataki były zawsze odpierane i Niemcom nie udało się odebrać nam żadnej bronionej pozycji. Szpital na Freta był tak zapełniony, że siostra Basia zdecydowała się na zlikwidowanie łóżek, gdyż w ten sposób zyskiwało się więcej miejsc na rozłożone materace. Siostry Sakramentki

dotrzymały terminu, oddały nam swoją obszerną piwnicę całkowicie przygotowaną do przyjmowania chorych. Porucznik Dzik ogromnie się tym ucieszył i zezwolił, by tam odnoszono teraz naszych rannych, tym bardziej, że opieka lekarska była zapewniona. Nie miałam do tego szpitala żadnej wykwalifikowanej pielęgniarki, ale przydzieliłam do niego dwie sanitariuszki i sama postanowiłam opiekować się rannymi. W szybkim czasie szpital ten zaczął funkcjonować. Działalność jego trwała jednak bardzo krótko, bo zaledwie trzy dni. Jakież było moje zdumienie, a jednocześnie rozpacz, gdy przyszłam na kolejny dyżur i zastałam w miejscu zakonu jedno wielkie pogorzelisko. Dym, gorąco, zamieszanie i płacz sióstr zakonnych przeraził mnie. Chciałam pędzić do piwnic, żeby zobaczyć co ze szpitalem, rannymi, ale mnie zatrzymano.

- Niech pani tam nie idzie! Wszystko się jeszcze pali! - powiedział cichy głos spod zasłoniętej welonem twarzy.

- Siostrze Przekczono! - zawołałam, co z rannymi?

- Przeniesiono ich na Freta. Proszę się nie martwić - odpowiedział mi ten sam głos. Gdy zakon zaczął się palić przybiegli Powstańcy, żeby nas ratować. Brak wody udaremnił tę akcję, ale uratowali oni część naszego dobytku oraz ewakuowali wszystkich rannych z piwnicy.

- A co będzie z zakonem? - zapytałam.

- Schronimy się chwilowo w Kościele św. Jacka, a potem zobaczymy. Bóg jest miłosierny i nas nie opuści. - powiedziała siostra i skłoniwszy głowę pożegnała się.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedziałam.

- Na wieki wieków. Amen - odpowiedziała siostra i wolnym

krokiem odeszła.

Stałam jeszcze chwilę i patrzyłam na dogasający ogień, potem ruszyłam na Frata. Chciałam zobaczyć tych ewakuowanych rannych. Tymczasem na niebie pokazały się samoloty. Zaczęłam więc biec, żeby zdążyć przed bombardowaniem i skryć się w szpitalu. Doktor i siostra Basia robili obchód chorych, więc usiadłam na ławeczce i czekałam aż skończą. Patrzyłam na nasz szpital i martwiłam się, że tak bardzo jest teraz ciasno, że warunki sanitarne ogromnie się pogorszyły, że zaczyna brakować środków opatrunkowych, żywności, a co gorsza wody.

Wodociągi dawno już przestały działać. Po wodę chodziło się w nocy do studni i czekało po parę godzin, żeby zdobyć choć trochę do picia. Po obchodzie siostra zajęła się chorymi, a doktor podszedł do mnie i przywitał się.

- Co z rannymi od Sakramentek? - zapytałam.

- W porządku. Jakoś ich upchnęliśmy w tym tłoku. Czy może pani nam dostarczyć więcej materiału opatrunkowego, bo już nam się kończy.

- Jeśli tylko będzie w magazynie batalionu to zaraz przyniosę lub prześlę przez łączniczkę - powiedziałam, a jak sprawuje się ta pomoc?

- Wszystkie trzy pomocnice pracują doskonale, a te dwie sanitariuszki od zakonnicy odeszłam do pani, bo nie lubię mieć za dużo kręcących się dziewczyn - tutaj jest za ciasno.

Na tym skończyła się moja wizyta w szpitalu. Jeszcze w tym samym dniu dostarczyłam doktorowi trochę środków opatrunkowych, ale było tego nie za wiele.

Przez kilka dni nie widziałam Elżuni, a chciałam jej pogratulować Krzyża Walecznych, który miała otrzymać wraz z Krystyną i Ryszardą. Dowiedziałam się od porucznika Dzika, że wnioski o ich odznaczenie poszły już do naczelnego dowództwa i napewno będą zatwierdzone. Byłam dumna, że ich przełożeni docenili to i wytypowali do wysokiego odznaczenia wojskowego. Wreszcie udało mi się zastać Elżunię w Pekinie, była to jedna z naszych placówek na Wybrzeżu Gdańskim. Rozmowa nasza była krótka, gdyż Elżunia wraz ze swoimi sanitariuszkami opatrywała rannych. Działo się to wszystko pod silnym ostrzałem artyleryjskim. Pełno było w powietrzu dymu i pyłu. Szepnęłam jej tylko na ucho radosną nowinę i uściśniłam jej drobną rękę. Odpowiedziała mi promiennym wprost uśmiechem. Zauważyłam, że była wzruszona. Ruszyłam dalej. Na Krakowskim Przedmieściu szalał ogień, nasi chłopcy rzucali butelkami na atakujące czołgi. Grały nasze nieliczne pistolety maszynowe, ale duch bojowy porywał wszystkich i parł naprzód do walki nie bacząc na niebezpieczeństwo. Było dużo rannych i zabitych. Włączyłam się do akcji sanitarnej. Opatrywałam rany, tamowałam sikałą z ran krew. Organizowałam transport ciężko rannych do szpitali. Gdy pod wieczór wróciłam na kwatery byłam pół żywa ze zmęczenia. Czekala na mnie Krystyna z meldunkiem od patrolu Basi. Na karteczce była napisana krótka wiadomość o zranieniu dwóch sanitariuszek "Erazmy" i "Jadwigi".

- Co z rannymi? - zapytałam.

- Są w szpitalu na Długiej. Będą żyły -meldowała -Krystyna
- Bogu dzięki !Wracajmy na kwatery. Padam ze zmęczenia. Cześć!
Tęj nocy spałam dobrze. Obudziłam się wypoczęta. Łączniczki
już dawno wybiegły z meldunkami, więc ja też ruszyłam się
z miejsca. Trzeba było jak codzień obieć wszystkie nasze pla-
cówki. Postanowiłam zacząć od szpitala. Za ledwie wyszłam na Sta-
ry Rynek rozpoczął się nalot lotniczy. Niemieckie sztukaszy z
gwizdem pikowały tuż nad dachami zabytkowych kamieniczek,
które w większości były już uszkodzone. Gwałtowne wybuchy bomb
rumor rozpadających się domów, strzelanina z broni pokładowej
zatrzymały mnie na miejscu. Stałam skulona we wnęce najbliższego
domu. Krztusiłam się od unoszącego się wokół pyłu. Po paru minu-
tach uciszyło się. Samoloty znikły w chmurach. Pozostało jednak
ogromne zniszczenie. Wytrzeptałam szybko zdiętą z siebie panterkę.
Wytarłam chusteczką twarz, oczy i ręce. Ruszyłam na Freta, ale
tam po niedawnym bombardowaniu z uliczki zrobiło się ogromne
rumowisko. Z wielkim trudem posuwałam się naprzód, Nagle usłysza-
łam znany dobrze zgrzyt " szafy ". Ledwo udało mi się wbiec
na najbliższe podwórko, gdy powietrzem szarpnął pierwszy wybuch
pocisku artyleryjskiego. Rzuciło mną gdzieś daleko. Padłam
na ziemię, zasłaniając obiema rękami głowę, na którą leciały
deski, cegły i piach. Hałas wybuchów zamienia się nagle w silne
bicie dzwonów a potem już nic... Straciłam przytomność.
Nie wiem jak długo to trwało. Ocknęłam się. Ktoś woła pomocy.
Chcę się podnieść. Nie mogę. Coś mnie obezwładnia. Trzyma jakby
w kleszczach. Zrywam się. Muszę iść na ratunek. Opadam bezsilnie.
Nagle uświadamiam sobie, że to ja wciąż krzyczę, że to ja wołam
o pomoc. Milknę. Jestem zdumiona. Co się ze mną dzieje? Wraca
przytomność. Usiłuję się poruszyć. Nie mogę. Orientuję się, że
jestem zasypana. Nie mogę jednak sobie przypomnieć dlaczego?
Strach zjeżył mi włosy. Co teraz ze mną będzie? Poczulałam w ustach

coś słodkiego. Przestraszyłam się, domyślając się, że jest to krew. Jestem ranna i zasypana, jeśli mnie nie odkopią zginę- pomyślałam przerażona.

Zebrałam więc siły i zaczęłam wzywać pomocy głośno, coraz głośniejszym głosem, żeby mnie usłyszano. Coraz bardziej było mi duszno. Oddech stał się krótki, szybki. Słabiałam coraz bardziej. Popadałam w omdlenie. To już koniec - myślałam zrozpaczona. Nikt mnie nie usłyszy, to się uduszę. Nagle usłyszałam na górze nade mną jakiś ruch. Momentalnie wróciły mi siły. Zaczęłam krzyczeć i wołać pomocy. Dopiero teraz zrozumiałam jak bardzo chcę żyć. Po chwili zapanowała znów cisza, a więc nie usłyszeli mego wołania. Popadłam w rozpacz. Opuściły mnie siły. Czułam znów duszność i silne pulsowanie w skroniach. Ogarnął mnie paniczny wprost lęk. Jak długo będę konać, ile godzin, dni? Będę miała straszną śmierć pod tymi gruzami. Staralam się myśleć o czymś innym, o domu, mamie, rodzeństwie, ale nie mogłam. Groza sytuacji stawała mi wciąż przed oczami. Nagle usłyszałam znów jakieś hałasy. Potem wyraźniej już dochodziły mnie uderzenia kilofów. Czy ktoś mnie odkopuje? Może będę uratowana

- Tutaj jestem!-wołałam ostatkiem sił.

Nie wiem, jak długo trwało to odgruzowywanie. Wydawało mi się, że bardzo długo. Wreszcie odkopano mnie głowę. Była tak umazana krwią i pyłem, że nikt mnie nie poznał, ale ja poznałam kolegów. Wróciła mi całkowicie świadomość i pamięć ostatnich wydarzeń. Jednym z kolegów był ten ranny w rękę z dzwonnicy, krzyknęłam do niego i wów-

czas mnie poznał.

- To Sylwia. Dajcie jej łyk wina - to jej pomcze! - krzyknął. Podano mi manierkę, ale nie mogłam jej chwycić rękami, gdyż były jeszcze pod gruzami. Przełknęłam dwa łyki i poczułam ciepło rozchodzące się po całym ciele. Odkopywanie poszło teraz bardzo sprawnie. Po chwili znalazłam się na noszach, gdyż o własnych siłach nie mogłam stać.

- Zanieście mnie na Freta, to bardzo blisko - szepnęłam. Doktor i siostra Basia bardzo serdecznie zajęli się moją osobą.

- Tu ją połóżcie, na stole opatrunkowym! Muszę ją całą obejrzeć - wołał doktor. Po oględzinach lekarskich okazało się, że nie mam poważnych obrażeń ciała. Rana na głowie została zeszyta, zmiążdżone kości prawego śródreńcza unieruchomione deseczką. Od pewnego czasu brak było już nawet gipsu. Siostra kazała mi się położyć do łóżka, na którym dopiero co skonał młody powstaniec. Był ranny w brzuch i nie było dla niego ratunku. Pościeli oczywiście nie zmieniono, bo nie było zapasowej, a o praniu brudnej przy braku wody i środków piorących mowy nie było. Byłam jednak tak osłabiona, że położyłam się na to brudne, cuchnące posłanie bez oporów. Teraz dopiero poczułam się źle. Bolał mnie cały kręgosłup, głowa i wszystkie mięśnie. Dobrze, że miałam przy sobie swoją torbę sanitarną, więc sięgnęłam do niej po środek znieczulający. Za ledwie przymknęłam oczy usłyszałam czyjś znajomy głos. To był Marian. Dałam mu znać zdrową ręką, gdzie leżę i zaraz podszedł do mnie.

- Co z tobą? zapytał cicho. Był wyraźnie wystraszony.

- Drobiazg - usiłowałam go odrazu uspokoić. Trochę mnie zasypało, ale żyję i nic mi nie jest.

- A głowa? Dlaczego zabandażowana?

- Mam już zeszytą. Było skaleczenie, ale kość cała. Mam też złamanie kości prawego śródrečza, ale rękę doktor unieruchomił deseczką. Nie musisz się martwić o moje zdrowie, wszystko będzie w najlepszym porządku.

- Chwała Bogu, że to nie poważnego, bo powiedziano mi, że masz strzaskaną czaszkę. Możesz sobie wyobrazić jak się przeraziłem.

Chciałam się śmiać, ale tak mnie bolała głowa, że nie mogłam, więc tylko się lekko uśmiechnęłam.

- Zostanę na noc, żeby cię pielęgnować - powiedział. Mam już pozwolenie od naszego dowódcy, który także się o ciebie martwi. Wszystkie dziewczęta przesyłają ci pozdrowienia i życzą zdrowia.

- Jak wrócisz do nich to podziękuj im za pamięć o mnie i powiedz, że niedługo znów będę z nimi.

Dobrze, że został, gdyż noc miałam bardzo ciężką. Mączyły mnie torsje, bolała głowa. Nie miałam siły żeby się poruszać na pościeli. Czułam jednak, że stale znajduję się pod opieką. Ktoś przeciera mi mokrą chustką twarz. Może to Marian, a może mama łagodzi mi ból, przynosi ulgę. Zasypiam. Następnym dniu w którym odzyskuję pełną świadomość, to niedziela. Otwieram oczy i widzę Mariana. Zasnął, siedząc na ziemi koło mego posłania. Twarz miał bladą, zmęczoną. Widać wyczuł, że patrzę na niego, bo obudził się i zapytał troskliwie:

- Czy lepiej ci kochanie?

- Tak, prawie dobrze, tylko głowa mi ciąży jakby ważyła sto kilo.

- Pójdę po wodę, usyjesz się, a potem zrobię ci zimny okład to ci pomoże.

Marian wyszedł na dwór, a ja rozejrzałam się ciekawie po sali. Dwie sanitariuszki oraz siostra Basia robiły ciężko rannym poraną toaletę. Jedna z dziewcząt trzymała miskę z wodą, a siostra z tą drugą sanitariuszką myły pacjentom twarz i ręce umoczoną w wodzie szmatką. Potem prześcielały im łóżka, a raczej posłania. Na sali panował ożywiony ruch. Wszyscy lżej ranni myli się i szykowali do uczestniczenia we mszy świętej, która miała się odbyć o godzinie dziewiątej. Szykowano na prędkę prowizoryczny ołtarz.

Wrócił Marian, niosąc ze sobą całe wiaderko wody.

- Skąd tyle wody? - zapytała siostra Basia i natychmiast zaczerpnęła parę kubków dla potrzeb szpitala.

- Proszę niech siostra bierze, jeszcze raz przyniosę - powiedział ze śmiechem. Przy studni nie było dużej kolejki.

Umyłam się w czystej wodzie. Marian zrobił mi duży okład z zimnej wody na głowę i zrobiło mi się znacznie lepiej.

Wkrótce nadszedł ksiądz i rozpoczęła się msza święta.

Ksiądz udzielił wszystkim rannym "absolucji" i rozdał komunię świętą. W pewnej chwili, gdy msza miała się już ku końcowi Marian wstał i zaśpiewał "Ave Maria".

Głos miał piękny, że słuchałam go zupełnie oszołomiona.

Wszystkie spojrzenia rannych, skierowane było w jego stronę. Na twarzach było widać prawdziwe wzruszenie. Po nabożeństwie ksiądz podszedł do nas i podziękował Marianowi za tę miłą niespodziankę.

Nie było mi dane długo cieszyć się obecnością Mariana, gdyż po śniadaniu, składającym się z talerza zupy grochowej musiał iść z powrotem do sztabu naszego batalionu. - Przyjdę, gdy tylko będę mógł. Bądź zdrowa! - ucałował moją zdrową dłoń, spojrzał mi gorąco w oczy i odszedł. Gdy poszedł zrobiło mi się bardzo smutno i źle. Minęły trzy długie niespokojne dni. Nasiliło się bombardowanie "Starówki", mury piwnicy trzęsły się od wybuchów. Kilkakrotnie myśleliśmy, że w nas trafiła bomba, gdyż w piwnicy zrobiło się ciemno od sypiącego się w koło tynku. Hałas był tak donośny, że ranni rękami zatykali uszy, ksztusili się od dymu i prochu. Wpadali w panikę, ale Doktor i siostra Basia umieli wszystkich utrzymać w dyscyplinie i spokoju. Po nalocie lżej ranni i cały personel zabrali się do robienia porządków. Chciałam im pomóc, ale byłam tak osłabiona, że przy trzepaniu koców zemdlałam i musieli mnie cucić. Doktor kazał mi jeszcze leżeć. Leżałam więc i martwiłam się o Mariana. Najgorsze myśli przychodziły mi do głowy. Raz widziałam go martwego, to znów ciężko rannego. Brak wiadomości dręczył mnie nieustannie.

K A N A Ł Y

Nadszedł dzień 30 sierpnia 44 roku. Od samego rana dochodziły do zła niepokojące wieści. Jedni mówili o kapitulacji Starówki, drudzy o konieczności przebicia się na Śródmieście a jeszcze inni o ewakuacji wojska przez kanały. Trudno się było w tym wszystkim połapać, jednakże odczuwano się niepokój, który później zamienił się w panikę. Koro południa zaczął się ruch. Lżej ranni opuszczali szpital. Przyszli po nich koledzy i wyciągali z barzógów. Siostra Basia usiłowała ich zatrzymać, ale bezskutecznie.

Widząc, jak dwóch powstańców ciągnie bezwładnego kolegę na kocu po podłodze, krzyknęła zrozpaczona :

-Zostawcie go! On krwawi. Ma przestrzelone jelita !

Ranny odwraca ku niej bladą jak prześcieradło twarz i szepcze

- Wolę umrzeć z nimi.

Poszli. Zaraz po nich przybiegli inni .Oni też zabierali swoich rannych. Szpital opustoszał. Pozostało tylko kilku takich ,którzy dogorywali.

Doktor, Basia i ja przyglądaliśmy się tym scenom ze smutkiem i rezygnacją. Czuliśmy, że powstanie na Starym Mieście upada. Nie wiedziałam co mam zrobić ze sobą. Byłam psychicznie kompletnie załamana. Świadoma naszej strasznej klęski, usiłowałam siebie pocieszyć, że jeszcze nie wszystko stracone, że tam w Śródmieściu jeszcze walczą, że może jeszcze dotrze do nas pomoc z za Wisły .Sklaniałam głowę w poduszkę a jednocześnie nie odrywałam oczu od drzwi , licząc na to , że Marian po mnie przyjdzie. Wnet go ujrzałam. Przywitałam go lekkim uśmiechem. Podał mi rękę i pomógł zwlec się z pośłania.

-Czy dasz radę iść ze mną ? zapytał. Skinęłam głową.

Poszliśmy pożegnać się z siostrą Basią i doktorem. Byli zajęci przy robieniu opatrunku ciężko rannemu.

- My zostajemy. Rannych nie zostawimy bez opieki - mówił gdy żegnałam się z nim dziękując za opiekę.

- Niech was Bóg ma w swojej opiece - rzekłam, całując się z siostrą Basią. Zauważyłam niepokój w jej oczach i bladość na wychudłych od nadmiernej pracy policzkach. Żal ścisnął mi serce. Lubiłam tę dzielną dziewczynę i podziwiałam jej ofiarność z jaką pielęgnowała tych młodych poharatanych chłopaków. Wiedziałam, że się boi. Jest Żydówką. Postarałam się dla niej o lewe dokumenty, ale jej uroda, oczy, nos zdradzały semickie pochodzenie. Niemcy dla Żydów byli bezwzględni. Mordowali ich bezlitośnie. Chciałam jej jeszcze coś powiedzieć, szepnąć słowo otuchy, ale Marian pociągnął mnie energicznie za rękę.

- Chodźmy! Czekają na nas!

Opuszczałam szpital smutna i zatrwożona. Martwiłam się o życie tych, co tam zostali. Oni wszyscy zginą. Niemcy ich zamordują. Cóż dla nich znaczy prawo międzynarodowe. Nie honorują żadnych umów a nas powstańców uważają za bandytów. Nie wiem kiedy znaleźliśmy na ulicy Freta, ale to już nie była ulica, lecz rumowisko. Ogrom zniszczenia przeraził mnie. Byłam zdruzgotana. To już koniec. Brnęliśmy po gruzach krok po kroku. Marian ciągnął mnie za rękę. Wreszcie doczłapałiśmy się do Starego Rynku, ale tutaj było to samo ruiny i zgliszcza. Dom Fukiera spłonął całkowicie, z Baryczków pozostały ruiny, a reszta zażytkowych kamieniczek zdruzgotana. Stare Miasto przestało istnieć.

- Czy w dowództwie jeszcze kto żyje? - zapytałam przerażona

- Piwnice u Baryczków mają mocne fundamenty, wytrzymały

bombardowanie. Nikomu "włosa z głowy nie spadł" - powiedział jak zawsze żartobliwie.

Zatrzymałam się na chwilę i rozejrzałam się w koło.

Targnęła mną myśl boleśnie - Stare Miasto przestało istnieć. Pozostały szkielety domów, pogorzeliśka i

gruzy. W milczeniu zeszedliśmy do piwnicy. Tutaj nie było widać żadnego zniszczenia, jedynie wejście było zawalone gruzem, ale go uprzątnięto i umożliwiono dojście.

Na kwaterze wrzało jak w ulu. Dziewczęta szykowały się do wyjścia. Na mój widok przerwały pakowanie i powitały jak kogoś bliskiego. Poczułam się odrazu jak w rodzinie. Opowiadałam im o wszystkim, co mnie spotkało i co działo się w szpitalu. Wszystkie przejęły się bardzo losem doktora i siostry Basi. Mariana z nami nie było. Został wezwany na odprawę do kapitana Dzika /nasz dowódca awansował/.

- Ja już powiedziałam wszystko, a teraz wy mówcie, co tutaj się działo?

- Niedobrze - powiedziała zgnębiona Maryś. Codzienne bombardowania i ostrzał artylerii kompletnie zrujnowały Stare Miasto. Zginęło na placówkach dużo kolegów, a także dużo zostało rannych, wśród nich także ppor. Kawicz - dowódca 12 kompanii. Obecnie dowodzi nią ppor. Alfons Pieczarek, także doskonały dowódca. Zginął dowódca kompanii por. Oppeneheim, a także wielu jego żołnierzy.

- Co teraz z nami będzie? - zapytałam.

- Przedzieramy się na Śródmieście! - powiedziała Jaga, zaraz po odprawie dowiemy się szczegółów.

Dalszą rozmowę przerwało nam wejście Mietka, który

dzisiaj pełnił służbę przy sztabie.

- Wszystkie łączniczki do kapitała! - krzyknął.

- Zaraz się zacznie bieg z meldunkami - powiedziała Hanka i pierwsza wybiegła z kwatery.

Po chwili zostałam sama i wówczas wszedł on. Zrobiło mi się tak jakoś ciepło koło serca. Wskazałam mu ręką krzesło, więc usiadł koło mnie.

- Dziś o północy wychodzimy. Tak się złożyło, że nie dostałem żadnego zadania. Będę szedł z całym sztabem, a więc będziemy razem - powiedział Marian. - Porucznik Bazyli wraz ze swoją kompanią będzie ochraniał nasze przejście, gdyż został przydzielony do oddziałów szturmowych.

- Czy to się aby uda?

- Powinno się udać, gdyż w tym samym czasie oddziały ze Środmięcia będą się przebijać do nas. Zresztą nie możemy już dłużej bronić się na Starym Mieście. Niemcy wszystko nam zniszczyli. Nie mamy już amunicji, wody ani też żywności. Ludność też głoduje. Są wypadki czerwonki. Może wybuchnąć epidemia. Poddać się nie ~~zależy~~ chcemy, a tam mamy szansę na dalszą walkę. Do wieczora mamy jeszcze trochę czasu, połóż się i odpocznij. Ja wracam do sztabu. Mam dyżur, ale przed zachodem słońca zgłoszę się do ciebie i będziemy razem. Wstaaliśmy oboje, popatrzyliśmy sobie w oczy. Ukryłam twarz na piersiach Mariana i przytuliłam się do niego mocno. On ujął moją obandażowaną głowę w swoje ręce i pocałował mnie w usta.

- Kocham cię Basiu, Basienko !....

11/103

Świat zawirował mi przed oczami. Wydawało mi się, że lecę gdzieś w otchłań, radosna, szczęśliwa i bezpieczna. Nagle powraca rzeczywistość. Uścisk rozluźnia się. On odchodzi, ale wiem, że mnie kocha i jest mi tak dobrze jak nigdy w życiu. Posłuchałam rady Mariana i położyłam się spać. Obudziłam się tuż przed wyjściem naszego sztabu. Jaga i Marian chwycili mnie pod ręce i ruszyliśmy w kierunku Placu Krasiańskich. Ciężka to była droga, pełna nierówności i dołów. Przebicie miało nastąpić u wylotu ulicy Bielańskiej. Mieliśmy więc iść prosto na Hale Mirowskie. Każde zgrupowanie miało wyznaczony swój punkt wyjścia i tam czekało na sygnał, żeby ruszyć dalej. Noc była jasna, gwieździsta. Księżyc oświetlał nam drogę jak zapalona w górze latarnia. Szłam wraz z innymi, ale czułam się coraz bardziej osłabiona. Zimny pot rosił moje czoło. Gdyby nie pomoc przyjaciół osunęłabym się na ziemię i nie szła dalej. Oni jednak trzymali mnie mocno z obu stron i ciągnęli naprzód ze sobą. Byli to oczywiście Marian i Jaga. Przykro mi było, że sprawiam im tyle kłopotu, ale jednocześnie wdzięczna za udzieloną pomoc. Po drodze zaczęli do nas dołączać mieszkańcy, także robiło się coraz ciasniej i ciasniej. Wkrótce wytworzył się niesamowity wprost tłok. Nie pomogła interwencja żandarmerii, która nie mogła sobie poradzić z napierającą ze wszystkich stron ludnością, uciekającą ze "Starówki". Mowy nie było o tym by w takim tłumie można było się poruszać i posuwać naprzód. Staliśmy więc w miejscu, ściśnięci jak przysłowiowe "śledzie w beczce" nie mogąc poruszać ni ręką ni

11/104

nogą, narażeni na ogromne niebezpieczeństwo ze strony wroga. Bolała mnie głowa, skronie silnie pulsowały, ale nie skarżyłam się, bo wszyscy cierpieli. Wokoło szalała strzelanina, nad głową zapalały się kolorowe rakie- ty wystrzeliwane przez Niemców i wisiały nad naszymi głó- wami jak lampiony. Słychać było głosy naszych dowódców, którzy dawali rozkazy żołnierzom z oddziałów szturmowych. Wrzała zaciekle bitwa tuż koło nas, a my staliśmy bez- czynnie zbici w jedną wielką gromadę jak bezbronne owce, garniące ę się jedno do drugich przed napaścią wilka. Nagle ktoś krzyknął: - Czołgi!

Tłum zafalował. Tu i ówdzie słychać było przeraźliwe krzyki kobiet. Powstała panika. Ludzie usiłowali wracać z powrotem na Stare Miasto. My także otrzymaliśmy rozkaz odwrotu. Zaczeliśmy się ze wszystkimi wycofywać. To było okropne. Kto upadł - ginął rozdeptywany przez innych. Marian kureczowo trzymał mnie za rękę, Jaga gdzieś zgu- biła się w tłoku.

- Kieruj się w lewo - krzyknął i ciągnął mnie za soba w kierunku najbliższej uliczki, na której było nieco luźniej. Wreszcie z trudem udało nam się przepchnąć przez tłum ludzi i znaleźć się na wolnej przestrzeni. Odetchnęliśmy głęboko z ulgą.

- Zostawię cię, gdzieś w rozwalonym domu, a sam pójdę do Baryczków dowiedzieć się, co będziemy robić dalej.

Bałam się zostać sama, ale nie oponowałam. Ruszyliśmy naprzód i weszliśmy na jakieś zawalone gruzami podwórko.

- Patrz, tutaj jest garaż! - zawołałam zdziwiona, bo

był cały niezniszczony.

Marian podszedł do niego, obejrzał, usiłował otworzyć, ale nadaremno. Drzwi były zamknięte. Pchnął je z całej siły ramieniem. Otworzyły się z trzaskiem. Weszliśmy do niego pomału, rozglądając się ciekawie. Panował tu półmrok, bo na dworze zaczęło już świtać i światło docho-
dziło przez niedomknięte drzwi.

- Połóż się, odpocznij. Niedługo do ciebie wrócę - powiedział rozkładając na ziemi swój wojskowy płaszcz. Wypełniłam jego polecenie bez słowa. Byłam wyczerpana, więc chętnie się położyłam. Zostałam sama. Usiłowałam zasnąć, ale lęk o najbliższą przyszłość odpędzał mi sen z powiek. Co teraz będzie z nami. Przypomniałam sobie, o tym co mówili koledzy siostrze Basi zabierając rannych, że oni będą ewakuowani kanałami. Jest więc ratunek, my także możemy iść kanałami do Śródmieścia i dalej walczyć z Niemcami. A może wiaz jest już w rękach niemieckich? Ta myśl zaczęła mnie dręczyć. Co wtedy? Nagle usłyszałam kroki. Czyżby wracał już tak prędko Marian? A może to jakiś zbłąkany Niemiec? Zdrętwiałam na moment, a potem pomału wstałam i stanęłam za drzwiami. Jeśli wejdzie - to mnie nie zobaczy odrazu. Kroki coraz bardziej zbliżały się, a mnie coraz gwałtowniej waliło serce, nagle usłyszałam cichy, znajomy głos:
- Nie bój się - to ja.

On wszedł, a ja padłam mu w ramiona i tuląc się do niego szepnęłam - Kocham cię.

Ogarnął mnie ramionami i całował oczy, usta ...

Ogarnął mnie szal radości. Na chwilę zapomniałam

o strasznej rzeczywistości. Czułam się szczęśliwa, szeptałam mu wprost do ucha najczulsze słowa miłości. Nagle hałas i krzyk w języku niemieckim: - Halt! Potem strzał jeden, drugi, czyjeś szybkie kroki, a raczej bieg. Serce zamarło mi z trwogi. Uścisk rozluźnił się. Staliśmy bez ruchu, wpatrzeni w drzwi. Niemcy obszukiwali podwórko. Coś głośno ~~rzekli~~ mówili. Nareszcie klnąc odeszli. Odetchnęliśmy z ulgą.

- Idziemy stąd - powiedział Marian krótko.

Zabraliśmy szybko rzeczy i pomału, rozglądając się wokoło poszliśmy w kierunku Starego Rynku. Na dworze było już zupełnie jasno.

- Co u naszych - zapytałam.

- Są na Krzywym Kole. Tam idziemy - powiedział, skręcając w lewo.

Szłam za nim, rozglądając się w około z niepokojem. Tyle zniszczeń, same gruzy i zwaliska. W powietrzu unosił się zapach spalenizny i gnijących ciał. Z trudem dobrnęliśmy na miejsce.

- To tutaj! - zawołał Marian i pociągnął mnie za rękę do jakiejś rozwalonej bramy. Weszliśmy na duże podwórze. Przed wejściem do ocalałej oficyny stał Mietek - łącznik sztabowy. Przywitaliśmy się i Marian zapytał:

- Gdzie jest nasz kapitan?

- Na odprawie u mjr. Roga.

- Jakie zapadły decyzje?

- Wszystkie oddziały powstańcze przechodzą kanałami do Środmieścia. Już od świtu trwa ewakuacja. Podobno nasze zgrupowanie będzie opuszczało "Starówkę" dopiero jutro.

~~xxxxxxx~~

- To niedobrze. Jeszcze nie zdążymy i dostaniemy się w ręce Niemców - powiedziała wyraźnie wystraszona.
- Taki otrzymaliśmy rozkaz od pułkownika Wachowskiego i nie na to nie poradzimy - odpowiedział mi Mietek. Poszłam na kwaterę, a Marian pozostał na podwórzu z łącznikiem. W sztabie panowała cisza. Wszyscy po kątach spali lub odpoczywali. Na ich bladych twarzach było widać zmęczenie. Podeszłam do Jagi, która pełniła dyżur. Uściskałam ją i podziękowałam za wczorajszą pomoc.
- Tłum niestety nas rozdzielił. Straciłam cię z oczu - usprawiedliwiała się przede mną.
- Jaguś, nic mi się nie stało. Był ze mną cały czas Marian. A co tutaj się dzieje? Czy są ranni, zabici?
- Niestety jest dużo rannych i zabitych, a wśród nich twoje trzy sanitariuszki: Bladyna Gruszkówna, Jolanta Murzyn i Halina Wolańska.
- Wszystkie z 12 kompanii porucznika Pieczyraka - to bardzo smutna wiadomość - powiedziała zgnębiona.
- Porucznik Bazyli został ciężko ranny w płuca i rękę. Sanitariuszki założyły mu opatrunki, ale chłopcy nie pozwolili odnieść go do szpitala na Długą. Gdzieś ukryli go wśród ludności cywilnej. Uważali, że tak będzie bezpieczniej.
- Obawiam się, że on bez pomocy lekarskiej umrze. Szkoda mi tego naprawdę dzielnego i wspaniałego człowieka - rzekłam ze smutkiem.
- A co z Elżbietą?
- Mówią, że Elżbieta wraz z plutonem Napoleona przebili

się Bielańską do naszych.

- Oby to była prawda.

- Jeśli uda przejść się nam kanałami do Śródmieścia, to się dowiemy - powiedziała Jaga.

Wiadomość o ocaleniu Elżuni pocieszyła mnie nieco, ale jeszcze nie miałam pewności, czy jest ona prawdziwa.

Później, gdy już byliśmy na ulicy Wspólnej dowiedziałam się, że jednak Elżunia wraz z Napoleonem zaginęli.

Dzień 1 września 44 roku był dla nas szczególnie trudny do przetrwania. Po powrocie kapitana Dzika z odprawy dowiedzieliśmy się ostatecznie, że zaczniemy wychodzić dopiero nazajutrz koło południa, trzeba więc było czekać jeszcze tych kilkanaście godzin w zagrożeniu, ponieważ Niemcy pomalu już zaczęli wkraczać na Stare Miasto.

W związku z tym ustał ostrzał artyleryjski, ale zjawilo się masę "gołębiarzy" /strzelcy wyborowi/, którzy polowali na ludzi, ukazujących się na ulicy. W dalszym ciągu też nadlatywały samoloty, ale nie były to już bombowce tylko myśliwce, które również strzelali do każdego, kto ośmielił się z piwnicy, czy kryjówki wynurzyć głowę.

Noc nie przyniosła nam odpoczynku, gdyż Niemcy atakowali nasze stanowiska, które w dalszym ciągu w większości pozostawały jeszcze w naszych rękach. Łączniczki biegały z meldunkami, kapitan całą noc czuwał i wydawał rozmaite komendy i rozkazy. Kilka domów za nami byli już Niemcy i słyszeliśmy nawet ich rozmowy i śmiechy. Byliśmy głodni, chciało nam się pić, ale staraliśmy się zapanować nad tymi słabościami, tym bardziej, że żyliśmy nadzieją, że niedługo stąd odejdziemy, że znów będziemy mogli

walczyć, by pomścić nasze krzywdy, śmierć naszych przyjaciół i bliskich. Nadszedł oczekiwany poranek, który zapowiadał znów piękny słoneczny dzień. Kapitan Dzik od rana pouczał nas jak mamy zachowywać się w kanale. Na jego ogorzałej twarzy widać było głęboką troskę i zadumanie. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią z potu swe udręczone czoło.

- Pamiętajcie o bezwzględnej dyscyplinie i zachowaniu spokoju. Wład jest bez przerwy atakowany przez nieprzyjaciela i dojście do niego jest niebezpieczne. Będziemy tam dochodzić po dwie osoby, żeby nie stwarzać tłoku. W kanale należy zachować bezwzględną ciszę. Nie wolno kaszleć, ani kichać, szczególnie, gdy będziemy przechodzić przez studzienki, które mają wyloty na ulicę. Nie wiadomo dokładnie, które z nich są już opanowane przez Niemców.

Słuchaliśmy tych wyjaśnień z uwagą i czekaliśmy niecierpliwie na rozkaz wymarszu. Mineła niespokojna noc, gdyż stale koło nas krążyli Niemcy. Nie mieliśmy przy sobie broni, ani też amunicji. Wszystko jeszcze przed przebieciem trzeba było oddać oddziałom szturmowym. Świadomość kompletnej bezbronności nękała nas wszystkich do rana. Gdy weszło słońce i zrobiło się jasno, poczuliśmy się znacznie bezpieczniej, chociaż sytuacja wciąż była groźna. Dwa domy dalej grasowali już Niemcy. Słychać było ich groźne nawoływanie. Mariana z nami nie było. Zaraz po odprowadzeniu mnie na Krzywe Koło otrzymał od kapitana Dzika rozkaz. Miał opiekować się jednym z plutonów por. Bazylego. Wpadł do mnie na chwilę, żeby się

pożegnać.

- Gdzie mam cię szukać po wojnie? - zapytał, całując moje ręce.

- U mamy w Chylicach! Mam jednak nadzieję, że zobaczymy się jeszcze w Śródmieściu - powiedziała, tłumiąc ciskające mi się do oczu łzy. Oszło mi to, że przyszedł, a jednocześnie zabolalo, że już odchodzi, być może na zawsze...

- Uważaj na siebie! - zawołałam.

On uśmiechnął się do mnie tak beznadziejnie smutno, tak jakby przeczuwał, że spotka go coś złego.

Odwrociłam się w inną stronę, żeby nie patrzeć jak odchodzi. Czułam ogromne zmęczenie i dziwną pustkę. Owładnęła mnie kompletna obojętność co się ze mną stanie. Będę stąd musiała odejść bez niego.

Następnego dnia koło dziesiątej dobiegli do nas łącznik i podał kapitanowi Dzikowi rozkaz wymarszu. Natychmiast ruszyliśmy w drogę. Szliśmy gęsiego jeden za drugim, zachowując bezwzględną ciszę. W pewnej chwili na niebie ukazały się samoloty. Raz po razie padały cicho komendy: - Lotnik! Kryj się!

Wówczas rozpraszaliśmy się dookoła, szukając schronienia, gdzie popadło w gruzach. Wreszcie doszliśmy do Placu Krasieńskich, ale tu przywitał nas huragan ognia. Cały plac był pod silnym ostrzałem karabinów maszynowych oraz granatników. Nadleciały też messerschmity, które pikując tuż nad ziemią strzelały z broni pokładowej wprost do powstańców. Ziemia koło wjazdu zasłana była trupami. Kapitan Dzik rozkazał nam wszystkim ukryć się

dobrze w pobliskich ruinach, co też uczyniliśmy i czekać na łącznika, który miał naszą grupę przeprowadzić przez kanał. Czekanie to było dla nas prawdziwą męczarnią.

Słońce prażyło niemilosiernie. Chciało nam się pić.

Byliśmy kompletnie wyczerpani i tak słabi, że trudno było nam poruszać ręką czy nogą. Nie mieliśmy nic w ustach od trzech dni, ale najgorzej męczył nas upał. Leżeliśmy na tych twardych gruzach, przytulając się do rozgrzanych od słońca cegieł i obserwowaliśmy z niepokojem niebo, na którym raz po razie ukazywały się zniewidzione samoloty. Ziemia ~~wybuchła~~ dygotała od wybuchających w około pocisków, sypały się żelazne, śmiercionośne odłamki, a my leżeliśmy bezwładnie, tłumiąc w sobie uczucie lęku i przerażenia. Kiedy to się wreszcie skończy? Byłam jak odrętwiała. Bolała mnie głowa. Pić, pić ... wołały spieczone i obrzękłe wargi.

- Sylwio, co tobie? - usłyszałam przyjacielski głos Jagi.

- Nie nie. Czy ja coś wołałam? To chyba przez sen - odpowiadam i ściskam podaną mi dłoń.

- Szykujcie się do wyjścia! - zawołał kapitan Dzik, biegnie po nas łącznik.

Wieść przeleciała jak błyskawica. Wszyscy zerwali się na nogi.

- Chodźcie! - usłyszałam energiczny głos łącznika.

Ktoś mocno pociągnął mnie za rękę. Biegliśmy wszyscy w rozsypce, a ja z łącznikiem na przodzie. Teraz dopiero zaczął się istny taniec ze śmiercią. Prażono do nas ze wszystkich stron, a my pędziliśmy naprzód jak stado spłoszonej zwierzyny. W tym momencie stuknął tuż koło mnie

strzał. Padł łącznik i pociągnął mnie za sobą na ziemię. Nie żył. Leżałam przez chwilę koło niego. Sprawdziłam co mu jest, gdy stwierdziłam, że skonał, podczołgałam się do wjazdu i nie namyślając się skoczyłam w dół. Skok udał się mimo dwumetrowej głębokości. W studzience czekało kilka osób.

- Gdzie łącznik? - ktoś zapytał.

- Nie żyje - odpowiedziałam. Kto nas teraz poprowadzi? zapytałam.

- Ruszajcie! Nie wolno blokować przejść! - zawołał żandarm Barrego. Droga jest oznakowana. Sami traficie. Jaga podeszła do mnie, pytając się, czy nie zostałam zraniona, gdyż zauważyła mój upadek. Gdy dowiedziała się że nic mi się nie stało chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Zaczęliśmy pojedynczo wchodzić do rur kanalizacyjnych. Był to bardzo nieprzyjemny moment. Trzeba było jednak zanurzyć się w tej śmierdzącej kąpieli, nie było innego wyjścia. Zawahałam się na małą chwilkę, ale przewyciężyłam wstręt i wsunęłam się do środka. Przedemną szła Jaga, za mną Nela, Myszka, Maryś i inni. Kapitan Dzik pozostał jeszcze na Placu Krasieńskich, będzie szedł do Śródmieścia z ostatnią grupą naszego batalionu. Pewnie Marian będzie szedł razem z nimi. Woda ściekowa sięgała nam do pasa. Chlupotała pod stopami zmacona ciecz, wydająca przykry, gnijący zapach. Panował tutaj chłód. Było spokojnie i na pozór bezpiecznie. Po tym piekle, który przeżyliśmy przez ostatnie godziny, wydawało nam się, że znaleźliśmy się w innym świecie. Starłam się chwycić powietrze ustami, żeby nie czuć wstrętnego zapachu,

który wzbudzał obrzydzenie, pobudzał do odruchów wymiotnych. Gdy doszliśmy do następnej studzienki wzmożyliśmy ostrożność. - Cisza! Cisza! - podawano sobie z ust to ust to jedno słowo. Stąpaliśmy wolniej, każdy miał się na baczności, żeby nie kaszleć. Szliśmy znacznie wolniej, żeby nie było słychać tego chlupotania poruszanej przez nasze nogi wody. Wejście do następnej rury miało znacznie mniejszą średnicę, to też marsz stał się teraz znacznie utrudniony. Trzeba było posuwać się w pozycji przysiadu. Było to niewygodne i wkrótce byliśmy tym wykończeni. Ustawać w drodze nie było wolno, to tamowało ruch, trzeba więc było pchać się ostatkiem sił, byle naprzód. Pot spływał mi po twarzy i plecach. Oddech stał się krótki i chrapliwy. Kiedy będzie kres tej męki? Od ciągłego przykurczu bolały mnie wszystkie mięśnie, a szczególnie łydki. Czułam się fatalnie. Wola widząc, że ustaję i słabną popychała mnie do przodu. Nareszcie doszliśmy znów do studzienki, gdzie można było wstać, rozprostować zbolale członki i chwilę odpocząć. Przyniosło to ulgę. Odpoczynek trwał jednak parę sekund. Trzeba było znów maszerować dalej. Teraz na szczęście rury były nieco szersze, można więc było w nich swobodniej się poruszać. Po czterech godzinach dotarliśmy do celu. Z ogromną ulgą i radością usłyszeliśmy wołanie tych, co byli przed nami - Wlaz! Byłam już u kresu wytrzymałości, lecz to słowo na nowo dodało mi sił. Za chwilę będę wśród swoich. Jaga idąca przede mną już chwyciła się klamry i wspina się do góry. Przed wyjściem patrzy w dół i woła do mnie: - Zaczekaj! Zaraz ciebie wyciągną!

Po chwili leci do mnie spuszczone z góry gruba linka, którą obwiązuję się mocno w pasie.

- Ciągnijcie !- wołam głośno, żeby usłyszeli. Windują mnie pomału w górę. Za sekundę jestem wśród swoich. To koleżanki i koledzy ze śródmieścia przyszli nam z pomocą. Widzę uśmiechnięte twarze dwóch sanitariuszek, które proponują mi pomoc szpitalną. Pomagają odwiązać linkę, zmieniają opatrunek na głowie. - Do szpitala nie potrzeba. To drobne zranienia. Jestem jedynie bardzo zmęczona, brudna i cuchnąca .

-Zaraz zaprowadzimy was na przygotowane kwatery. Tam się umyjecie, odpoczniecie - mówią prawie jednocześnie.

Po chwili, gdy już zebrały się wszystkie sanitariuszki i łączniczki naszego batalionu, zostałyśmy odprowadzone do siostr zakonnych na ulicę Okólnik 11. Szłyśmy wolno, podtrzymując się wzajemnie rękami. Zdziwieni i przerażeni mieszkańcy Powśla patrzyli na nas jak na dziwne stwory nie z tego świata od których szedł odór padliny. My zaś wółprzutomne ze szczęścia, że znów widzimy normalne miasto niezniszczone domy, z szybami w oknach oraz całych i zdrowych ludzi, cieszymy się. W serca nasze wstępuje nowa nadzieja " Jeszcze Polska nie zginęła ..."

Zakonnice przyjęły nas serdecznie. Natychmiast zabrały się do roboty. Poszły w ruch szczotki, mydła, gorąca woda , a nawet nafta. Trudno było oczyścić nasze wycieńczone i wysmarowane ciała. Ubrania zostały zabrane do odwszawienia i uprania. Po kąpieli ubrano nas w długie białe lniane koszule. Pierwszy raz od dwudziestu osmiu dni poszłyśmy spać do czystej,

białej pościeli. Na kolację zjadłyśmy po dużej misce kaszy i wypiliśmy bardzo dużo ciepłej herbaty z ziółek mięty. Wydawało mi się, że jestem w raju i że usługują mi anioły, a były to tylko siostrzyczki zakonne, które z całym poświęceniem i oddaniem zatroszczyły się o to, byśmy znalazły u nich namiastkę domu rodzinnego. Sama Matka Przełożona zajrzała do nas wieczorem, żeby zapytać ~~xię~~ jak się czujemy, ale odpowiedziało jej tylko chóralne chrapanie, więc cichutko odeszła zadowolona i uśmiechnięta. Spałyśmy podobno dwanaście godzin. Dopiero przed ósmą siostry obudziły nas na wspaniałe śniadanie, składające się z talerza mannej kaszy. Po śniadaniu wszystkie dziewczęta poszły wysłuchać mszy świętej, ja natomiast pobiegłam do wjazdu dowiedzieć się, czy wszystkie nasze kompanie i plutony zdołały przejść już kanałami i gdzie są zakwaterowani. Postanowiłam jak najszybciej odnaleźć Mariana i dowiedzieć się czy szczęśliwie przeprowadził swoją grupę.

- Wczoraj do późnych godzin wieczornych ewakuacja jeszcze trwała, ale od północy wszystko się urwało. Podobno Niemcy opanowali wjazd. Działy się tam straszne sceny. Niemcy wyciągali naszych z kanałów i rozstrzeliwali na miejscu. Nielicznym udało się jedynie umknąć w dal i przedostać do nas. Oni nam to wszystko opowiadali - mówił jeden z kolegów ze Śródmieścia, który pełnił wartę przy wjeździe na ulicy Wareckiej.

- Pilnujemy tutaj wjazdu, ale nikt już do nas nie wychodzi - dodał drugi.

Słuchałam tych słów z przerażeniem. Może wśród tych

znajduje się Marian. Serce załomotało mi z bólu. Odwróciłam się i odeszłam w kierunku Powiśla. Martwiłam się bardzo o życie mego kochanego mężczyzny. Teraz poczułam jak bardzo jest mi bliski i drogi.

-Boże ocal go. Ratusj! Nie daj mu zginąć - modliłam się gorąco z całego serca. Nagła jakiś spokój spłynął mi do duszy i nadzieja przywróciła równowagę psychiczną. Po co ja rozpaczam? Nie wiem jeszcze nic złego o nim, a już wyobrażam sobie najgorsze. Postanowiłam natychmiast iść do kapitana Dzikiego i zapytać się jego o Mariana. Tego rodzaju decyzja odrazu dodała mi otuchy. W sztabie który także znajdował się na ulicy Okólnik, ale parę domów dalej od naszej kwatery, wrzało. Kapitan Dzik jak zawsze czynny miał odprawę ze swoimi pozostałymi przy życiu oficerami.

- Co słyhać? - zapytałam Maryś, która pełniła dyżur łączniczki przy sztabie.

- Szykujemy się do obrony Powiśla. Od jutra wszyscy dołączą się do placówek obronnych Powiśla. W tej chwili jest ważna odprawa dowódców kompanii na której omawiane są szczegóły obrony - wyjaśniła.

- Czy wszyscy nasi zdążyli przedostać się kanałami na Warechą?

- Nie wszyscy - powiedziała Maryś i spojrzała na mnie ze współczuciem.

Nic nie mówiąc szybko opuściłam pokój. Biegłam przed siebie ze ściśniętym sercem. Łzy zalewały mi oczy.

Nagle usłyszałam czyjeś wołanie: Basiu!

Stanęłam jak wryta. Przede mną stała matka Ireny Porzezińskiej

zińskiej, mojej przyjaciółki. Była w żałobie, więc nie śmiałam o nic pytać.

- Irena umiera! A jej siostra Marysia nie żyje! - krzyknęła i padła mi w ramiona. Szlochała. Głaskałam ją lekko po plecach i włosach. Nic nie mówiłam, bo cóż można mówić, gdy kogoś spotyka tak wielkie nieszczęście. Po chwili uspokoiła się nieco, spojrzała na mnie, na moją zabandażowaną głowę i rękę i zapytała:

Co z tobą?

Nic poważnego. Już się goi. Gdzie jest Irena?

- U zakonnic na Tamce. Nie chodź tam teraz. Ona jest nieprzytomna. Kona. Miała założone oleje święte.

- Gdzie ją tak urządzili?

- Została ranna w czasie akcji, gdy udzielała pomocy rannym żołnierzom. Niemcy rzucili w nich granatem. Odłamek trafił ją w twarz. Straciła oko. Marysia zaś została ciężko ranna w brzuch, gdy biegła z ważnym meldunkiem. Skonała w mękach. Po zranieniu żyła tylko parę godzin.

- To straszne - szepnęłam cicho, patrząc na umęczoną i bladą jak papier twarz matki.

- Idę do mojej córuchny. Będę z nią do ostatka, a ty wracaj do siebie. Ucałowałyśmy się i ruszyłam na swoją kwaterę. Byłam zgnębiona

11/118

CHWILA ODDECHU I NOWE ZMAGANIA

Pod wieczór przyszła do mnie Jaga i kazała natychmiast wstać i iść razem na ulicę Radną 4.

- To rozkaz kapitana Dzika - rzekła z tajemniczym uśmiechem.

- Znam ten adres doskonale. Tam mieszka mama "Jagódki"

- powiedziałałam zrywając się z posłania.

Wyszliśmy na ulicę. Było już chłodno. Słońce dawno znajdowało się za chmurami. Niebo było w tym miejscu czerwone jak krew.

- Bywałaś u państwa Hillerów w czasie okupacji?

Tak, robiłam zastrzyki pani Hillerowej, stąd nasza przyjaźń. Irena tzn "Jagódka" była moją łączniczką i widywałam się z nią po linii służbowej.

Dotarliśmy na miejsce bardzo szybko, gdyż Jaga ja zawsze prowadziła mnie przez skróty. Drzwi otworzyła nam pani domu. Ucieszyła się na nasz widok, a mnie przywitała tak serdecznie jakbym należała do jej rodziny. Poprosiła nas do pokoju, gdzie przy skromnie zastawionym stole siedzieli już wszyscy, tzn sztab z łącznikami. Usiadliśmy na wskazanym przez gospodynię miejscu. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach prawdziwej kawy. Zapach ten przypominał mi natychmiast rodzinny dom i rodziców, którzy po obiedzie lubili wypić sobie "małą czarną".

- Irenko, podaj kieliszki do wina! - powiedziała pani domu.

- To będzie wino? - zdziwił się porucznik Brochwicz i spojrzał pytająco na gospodynię, patrząc na nią swymi ~~głębokimi~~ jasno niebieskimi oczami.

- Będzie! Własnej roboty!

Wszyscy pomrukiem wyrazili swój zachwyt. Irenka podała wszystkim duże kolorowe kieliszki. Matka jej usiadła razem z nami...

- Może pan rozleje to wino? - zwróciła się do porucznika Brochwicza, który wykonał jej polecenie z ogromnym namaszczeniem.

- Zdrowie bohaterskiego batalionu kapitana Dzika - wzniosła toast pani Hiller.

- Zdrowie uroczej i miłej gospodyni! - zawołał, zawsze kurtuazyjny wobec kobiet porucznik Brochwicz. Wszyscy dołączyli się do toastów. Wino było znakomite, ale kawa jeszcze lepsza. Atmosfera spotkania stała się swobodniejsza. Rozwiązały się wszystkim języki. Mówiono przede wszystkim o przeżyciach związanych ze Starym Miastem. Padły nazwy uliczek: Kościelnej, Bolesć, Rybaki, a także nazwy placówek: szkoła przy ul. Rybaki, "Madryt", "Pekin" "Quebraco", "Stara Prochownia". Były to zasadnicze punkty oparu, które powierzono naszemu batalionowi do obrony. Wspominano ciekawsze akcje, żałowano tych, co polegli, myślano ze współczuciem o tych, którym nie udało się przejść kanałami. Słuchałam wszystkiego w napięciu, ale nie miałam chęci do zabierania głosu. Byłam zbyt przygnębiona rozłąką z Marianem, niepokojem o zdrowie mojej przyjaciółki Ireny Porzezińskiej, a także brakiem wiadomości o najbliższej rodzinie. Rozmowa przy stole przeszła na tematy bardziej ogólne, zaczęto mówić na tematy polityczne. Armia Radziecka wraz z Ludowym Wojskiem Polskim przerwały obronę niemiecką na rzece Narwi i Wiśle i są

już blisko Pragi. Jeśli przyjdą nam z pomocą, los Powstania będzie przesądzony. Niemcy wycofują się z Warszawy. Na terenie Rzeszy trwały nieustanne bombardowania dokonywane przez Aliantów. Nastąpił przewrót antyfaszystowski w Rumunii, Bułgarii. Wybuchło powstanie w Słowacji. Nastąpiło wyzwolenie Paryża. Niemcy ponosili klęskę po klęsce. Tyle optymistycznych wiadomości ze świata, tyle wydarzeń mówiących o tym, że panowanie Hitlera dobiega końca. Na zakończenie dyskusji zabrał głos dowódca. Powiedział, że jest dumny ze swoich żołnierzy, a jednocześnie zaszczycony iż mógł uczestniczyć w walce z Niemcami. Będziemy walczyć do końca, od jutra obejmujemy nowe placówki, a więc: Za zwycięstwo!

- Za zwycięstwo! - wznieśliśmy toast.

Podobało mi się to przemówienie kapitana Dzika. Mówił prosto, rzeczowo, po żołniersku. Był bardzo szanowany i lubiany przez wszystkich swoich podkomendnych. Miał w sobie dar dowodzenia. Był zawsze poważny, zrównoważony a jednocześnie promieniował wiarą w zwycięstwo, siłą przetrwania. Tak być powinno - musimy wierzyć w zwycięstwo, nie załamywać się, walczyć do ostatka. Słuszność jest po naszej stronie i my musimy mieć wolę zwycięstwa. Czułam się ogromnie zespólona z tutaj zebranymi koleżankami i kolegami, zespólona wspólnymi wspomnieniami, wspólnym losem i jednakowym celem działania. Pójdę z nimi do końca, na śmierć lub życie, nie opuszczę ich. Z dalszych rozmyślań ocknął mnie głos Maryś.

- A może byśmy zaśpiewali?

Rzucone hasło spotkało się z natychmiastowym odezwem.

Popłynęły tęskne partyzanckie melodie: "Hej chłopcy bagnet na broń", "Rozszumiały się wierzby płaczące", "Marsz Mokotowa", "Czerwone maki pod Monte Casiano".

Spięwali wszyscy, jak kto potrafił, ale najpiękniej śpiewał Mietek Milecki. On dyrygował tym mało zgranym chórem. Na "Starówce" nie było czasu na śpiewanie.

Wieczór ten głęboko utkwiał mi w pamięci. Był to wieczór wspomnień, a zarazem nowych nadziei.

Następnego dnia na Powiślu zrobiło się gorąco. Od rana Niemcy przystąpili do natarcia z ziemi i powietrza.

Zupełnie tak samo jak na Starym Mieście. Ginęli ludzie.

Znów pełno było rannych, wzywających pomocy. Trzeba było udzielać jej na lewo i prawo, nie bacząc na trwający przez cały czas nalot lotniczy. Zbombardowano konserwatorium, gdzie kwaterował pluton por. Witkowskiego. Wszyscy znaleźli śmierć pod gruzami. Wielka to była strata i boleść dla całego batalionu. Kapitan Dzik zarządził alarm, gdyż sytuacja nasza na Powiślu zaczynała być groźna.

Łączniczki znów biegały z meldunkami, nie bacząc na silny wstrząs. Rozkazy musiały dotrzeć na czas do poszczególnych kompanii, plutonów. Poleciałam sanitariuszkom dołączyć do swoich plutonów. Walka rozpoczynała się od nowa. Koło południa cały nasz batalion otrzymał rozkaz natychmiastowego wycofania się do Śródmieścia. Nie było to łatwe. Nad głowami latały bez przerwy "sztukasy" ostrzeliwując nas z broni pokładowej. Dochodziły nas zewsząd smutne wieści, że Powiśle zostało zajęte przez Niemców. Byłam tą wiadomością wstrząśnięta. Nie rozumiałam dlaczego kazano nam się wycofać, mogliśmy jeszcze bronić tej dzielnicy.

Nasz batalion początkowo skierowano na ulicę Wspólną 15. Tam w pięciopiętrowej kamienicy rozlokowaliśmy się, by zebrać siły do dalszego działania. Nasz dowódca kapitan Dzik zwołał odprawę ocalałych oficerów swojego batalionu i rozdzielił im zadania bojowe. Część naszych oddziałów dostała przydział do obrony barykad na Śródmieściu, reszta, składająca się z najlepiej uzbrojonych żołnierzy została wysłana do obrony górnego Czerniakowa. W ten sam sposób zostały rozdzielone patrole sanitarne, które stale trzymały się swoich plutonów. Jeden z patrolów 12 kompanii, który pozostał na Śródmieściu i kwatrował na ulicy Wspólnej 15 został w dniu 5 września zbombardowany. Przez kamienicę przeleciał pocisk artyleryjski-niewypał i zabił trzy sanitariuszki: "Basię"-Elżbietę Kowalczyk, Renę Lipną /pseudonim/ oraz Katarzynę Gruszkę /pseudonim/. Porucznik Żak zrobił trzy trumny i ciała dziewcząt zostały pochowane z honorami. Ze względu na zniszczenie naszej kwatery na Wspólnej, nasz sztab przeniósł się na ulicę Wilczą 14. Wszystkie pozostałe przy życiu sanitariuszki otrzymały kwatery przy swoich plutonach, tak że nie miałam z nimi prawie wcale kontaktu. Kapitan Dzik życzył sobie, żeby była cały czas przy sztabie. W dalszym ciągu nie miałam żadnych wiadomości o Elżbiecie i Marianie. Obawiałam się najgorszego, że oboje nie żyją. Wkrótce znów spotkałam mnie cios - zginęła tragicznie Jaga - Jadwiga Zielińska, z którą łączyła mnie serdeczna przyjaźń. Biegła wraz z Mietkiem Mileckim, żeby przekazać naszym placówką ważny rozkaz. Na rogu Hożej i Kruczej był silny

ostrzał granatnika niemieckiego. Obie ulice nie były osłonięte barykadą. Przejście tamtędy było więc ogromnie utrudnione i niebezpieczne. Jaga zginęła od razu, rażona odłamkiem prosto w serce. Mietek został ciężko ranny w klatkę piersiową i nogę. O ich ranieniu dali nam znać mieszkańcy. Maryś pierwsza przyniosła nam tę tragiczną wiadomość i nie tracąc głowy, zabrała kilku kolegów, żeby przynieśli na kwaterę rannych. Natychmiast zabrałam się do udzielenia im pomocy. Z przerażeniem i rozpaczą stwierdziłam, że Jaga nie żyje, więc zabrałam się do ratowania Mietka. Stwierdziłam, że ma krwotok wewnętrzny. Podejrzywałam, że odłamek tkwi w płucu, co też stwierdziło zdjęcie rtg. gdy odnieśliśmy go do szpitala. Lekarze od razu przystąpili do zabiegu operacyjnego. Operacja się udała. Wyjęto mu także odłamek tkwiący w nodze. Życie Mietka zostało uratowane, chociaż stan jego był ciężki. Przez całą noc pełniłam przy nim dyżur. Rano musiałam wracać do sztabu, więc zostawiłam go pod opieką personelu szpitalnego. Odwiedzaliśmy Mietka do momentu kapitulacji. Z dnia na dzień stan jego zdrowia znacznie się poprawiał.

Pogrzeb Jagi odbył się nazajutrz. Znow z pomocą przyszedł nam porucznik Zak i przygotował dla naszej bohaterkiej łączniczki piękną trumnę. Ubrałyśmy Jagę w granatowy kostium - ten k w którym ją poznałam. Umalowaliśmy jej delikatnie usta i policzki. Wyglądała ślicznie, tak jakby spała. To dziwne, ale Jaga przeczuwała swoją śmierć, gdyż kiedyś w rozmowie podała mi adres swoich rodziców, prosząc, by jak zginie powiadomić ich o tym.

Dotrzymałam danego jej wówczas słowa. Odnalazłam rodziców i przekazałam im smutną wiadomość.

K A P I T U L A C J A

Niemcy teraz całe swoje siły skierowali na dzielnice, które się jeszcze broniły: Czerniaków, Mokotów, Żoliborz i Śródmieście. Rozpoczęło się więc ostrzeliwanie artyleryjskie oraz bombardowanie tych dzielnic, a potem ataki czołgów, goliatów no i piechoty niemieckiej. Kontakt utrzymywaliśmy jedynie z górnym Czerniakowem, pozostałe dzielnice walczyły osamotnione. Na niebie ukazały się rosyjskie helikoptery oraz zagrzmiały z drugiej strony Wisły artyleria sowiecka. Nowe nadzieje wstąpiły w nasze serca. Mówiono już o zbliżającej się pomocy ze strony Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego. Żywnością było coraz gorzej. Jadaliśmy obecnie gotowane żyto okraszone czasem margaryną. Brak też było wody, którą zdobywało się nocą, stojąc w długich kolejkach. Nie wolno było się myć, wodę używaliśmy jedynie do picia. Martwiłam się o siostrę Krysię, gdyż ludzie opowiadali mi straszne historie o własowcach, którzy znęcali się nad mieszkańcami Ochoty, napastując przede wszystkim młode dziewczęta. O bracie Janku, walczącym na Mokotowie też nie miałam żadnych wiadomości.

Ciągłe i systematyczne niszczenia miasta nie złamało jeszcze ducha walki. Na barykadach wciąż odpierano ataki wroga. Bohaterstwo młodych chłopców i dziewcząt stało się czymś oczywistym, ale ofiary krwi i młodego życia były coraz większe. Pomoc ze wschodu nie nadchodziła.

Wśród mieszkańców zaczęto mówić o ewentualnej kapitu-

11/25

lacji o czym nie chcieli słyszeć Powstańcy. Z górnego Czerniakowa przychodziły coraz bardziej tragiczne meldunki. Mówiono też o możliwości przedarcia się kolegów z Mokotowa do Śródmieścia kanałami. Może spotkam Jasia? Praga została już uwolniona od Niemców. Naszym udało się nawiązać łączność radiową z LWP - stacjonującym po tamtej stronie Wisły. Niemcy wysadzili wszystkie mosty na Wiśle. Dokonywane przez LWP próby forsowania Wisły spełzły na niczym. Niemcy bez przerwy trzymali rzekę pod silnym ostrzałem z broni maszynowej. Były duże ofiary wśród żołnierzy, którzy chcieli przyjść nam z pomocą. Uświadomiliśmy wówczas sobie, że pomoc tak bardzo przez nas oczekiwana nie nadejdzie. Los Powstania został więc przesądzony. Warunki sanitarne i życiowe mieszkańców były katastrofalne. Groził wybuch epidemii czerwonki, która już zaczęła atakować ludzi. Ostatnie dni września były okresem bolesnym, gdyż dowództwo A.K. zaczęło pertraktować z władzami niemieckimi w sprawie kapitulacji. 29 września kapitan Dzik został nagle wezwany do majora Roga. Przeczuliśmy, że to wezwanie jest związane z kapitulacją. Tak też było. Kapitan Dzik wrócił z odprawy ogromnie zalanany. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Potem nasz dowódca puścił w ruch wszystkich łączników z rozkazami. Nazajutrz rano zebrałiśmy się na apelu, zwołanego dla całego naszego batalionu. Gdy tak stanęliśmy zwarci w swoich kompaniach, plutonach, z przerażeniem stwierdziliśmy jak mało nas zostało przy życiu. Na 38 sanitariuszek ocalało zaledwie 19, z tego 13 zostało zabitych, a 6 ciężko rannych. Kapitan Dzik wygłosił krótkie przemówienie

do nas, dziękując za trud, odwagę, ofiarność i pełnienie obowiązku wobec Ojczyzny. Zaskutkiem, walecznym zostały przyznane odpowiednie odznaczenia. Śmierć poległych uczciliśmy trzyminutową ciszą. Kapitan Dzik odczytał ostatni rozkaz naczelnego wodza generała Bora-Komorowskiego. Kapitulacja podpisana, będziemy traktowani jak regularne wojsko. Czeka nas więc niewola niemiecka. Na zakończenie odśpiewaliśmy: " Jeszcze Polaka nie zginęła póki my żyjemy " oraz Rotę. Staliśmy na baczność, śpiewaliśmy złączeniym od łez głosami a w sercach odczuwaliśmy ból i ogromny smutek. Byliśmy zawiedzeni. Trudno pogodzić się z tak straszną rzeczywistością.

Z Warszawy wyszliśmy 5 października. Niemcy najpierw wyprowadzili z miasta ludność i rannych. Przez te parę dni usiłowałam dowiedzieć się cze oś o moich najbliższych lecz nadaremno. Nie znalazłam też żadne o Słacu Elżuni i Mariana. Udzikam się, że może pozostali na starym mieście i stamtąd Niemcy wywieśli ich do Łeszy. Jak się później okazało moje przypuszczenia okazały się słuszne. Z Mariannem spotkałam się w 46 roku a Elżunię odnalazłam dopiero po 40 latach. Nie dałam o. Zmieniła nazwisko, gdyż wyszła zamaż i zamieszkała w Bytomiu nie szukając kontaktu z naszym batalionem, które o dowódca i żołnierze spotykali się rok w rok w Kościele św. Jacka w rocznicę Wybuchu Powstania Warszawskiego.

Człkam wraz ze wszystkimi do niewoli niemieckiej, ale gdy zapadł zmrok i Niemcy byli mniej czujni udało mi się wykroczyć z szeregu i dać nura w kapustę, która jeszcze nie była uprawiana z pola. Po jakimś czasie to samo uczynił łączniczka Hela. Po odczekaniu kilku godzin w polu, gdy odeszły już do Ożarowa ostatnie oddziały powstańcze wysłaliśmy ze swoich kryjówek i ukryliśmy się w stogu siana. Noc upłynęła nam spokojnie a o świcie wyruszyliśmy w drogę w kierunku Błonia, gdzie mieszkała matka Heli. Tam powitała nas ona z otwartymi rami. Zrobiła nam gorącą kąpiel, nakarmiła kaszą z mlekiem a ubranie na ze uprawia. Spaliśmy przez cały dzień jak zabite. Nazajutrz rano trzeba było natychmiast o uciec to miasteczko. Niemcy rewidowali wszystkie domy, szukając Warszawiaków. Właśnie tam na drodze

dochołek cieleba i ruszyły my do Łowicza, gdzie miałam przyjaciółkę Basię Perzynę. Wiedziałam, że ona nam pomoże.

Porada była typowo jesienią. Padał deszcz. Było chłodno. Mogło być zaledwie parę stopni powyżej zera, ale w marszu nie odczuwaliśmy zimna, mimo, że byliśmy lekko ubrani. Humory nam dopisywały toteż idąc śpiewaliśmy powstańcze piosenki. Ani zdażyliśmy się spostrzec, gdy doszliśmy do Sochaczewa. Tutaj od razu natknęliśmy się na patrol niemiecki. SS-mani szli zwartym szeregiem wzdłuż całej jezdnii. Zatrzymali nas. Żądali dokumentów.

- Pokaż im tylko legitymację służbową z pracy - szeptałam do przełożonej wyraźnie koleżanki. Wiedziałam, że pracowała ona w Zakładzie RTG na Hożej.

Sama też podałam legitymację ze Szpitala Dziesięcero na Słiskiej gdzie pracowałam jako pielęgniarka.

- chwester? - zapytał dowódca patrolu, przyglądając mi się ciekawie.

- Tak - odpowiedziałam mu z uśmiechem, chociaż byłam przerażona tym niespodziewanym spotkaniem.

- Wo gestu?

- Idziemy do mamy. Mutter - dodałam po niemiecku, mieszka w Łowiczu.

- Basist weit! Sie müssen fahren mit Zug.

- Nie, potrząsnęłam głową. My chcemy iść pieszo.

Zrozumiał mnie i zaśmiał się.

- Owidarschen! - zawołał i kazał nas przepuścić.

Byliśmy zdumione jego uprzejmością i radośnie ruszyliśmy naprzód.

Przeszliśmy już bez przeszkód to niewielkie miasteczko i znów znalazliśmy się na szosie. Ale szersze mówiąc byliśmy już bardzo zmęczone. Leli zatrzymała się. Wyciągnęła z torby flaszkę z herbatą i łykała dużymi haustami.

- Daj mi pociągnąć - poprosiłam wyciągając do niej rękę.

- Pij, ale zostaw jeszcze trochę na później - powiedziała do mnie z uśmiechem.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Deszcz przestał padać i światło się coraz jaśniej. Po obu stronach drogi ciągnął się las. Mgła żółkła i poprzez chmury zaczęło się przecierać słońce. Poruszył się nieznaczny wiatr i strzępywał krople deszczu z zielonych gałązek starych świerków. Z głębi lasu wyruszały się w rozmaitych kolorach żółci i czerwieni dęby, brzozy oraz krzewy. Wyglądało to prześlicznie. Pachniało zgniłymi liśćmi i wilgotną ziemią.

przeszliśmy już ze dwadzieścia kilometrów nie robiąc żadnego odpoczynku. Słońce już dawno schowało się za chmury. Zapadał z zmrok. Wiadomo, październik więc dzień jest krótki. Zjadliśmy wyznaczoną na dziś porcję chleba. Teraz pozostało nam dokarmić się zebraną na polu marchwią.

-Gdzie będziemy nocować? - zapytała Nel

-Jak się uda to w najbliższej wsi, jeśli się nie uda to w sianie - nie w stogu. Po twarzy Nel przebiegł błysk lekkiego uśmiechu. Lidac przypomniała sobie, gdy ostatnim razem przed znalezieniem dobrego noclegu w sianie miałyśmy zabawną przygodę. Ze względu na bezpieczeństwo chciałyśmy spać na górze stogu. Dzwignęłam Nel do góry. Ona zarzuciła swój pasek na sterczący w środku stogu kij i była na miejscu. Gorzej było ze mną, gdyż nie miał mnie kto pomóc na dole. Nel podała mi swój pasek i trzymając się jedną ręką kija, drugą ciągnęła mnie w górę. No i stało się. Kij się złamał a my obie runęłyśmy dwa metry wdół. Dobrzy, że tylko potłukłyśmy sobie pupki. Musiałyśmy w końcu przespać się w wydłubanej na dole diurze.

Doszłyśmy wreszcie do wsi. Rozmawiałyśmy nawet z samym sołtysem ale jak pokazałyśmy nasze legitymacje. Odmówił pomocy.

-Jesteście z Warszawy. Nie możemy was przenocować. Niemcy każą zgłaszać wszystkich Warszawiaków do Gminy, stamtąd zabiera ich Gestapo. Kto nie dopełni tego rozporządzenia będzie ukarany. Ta noc była bardzo zimna. Znow zaczął padać deszcz. Zakopałyśmy się w sianie, ale nie mogłyśmy zasnąć dygocząc z zimna. O świcie ruszyłyśmy w dalszą drogę. Do Nowicza miałyśmy jeszcze 30 km. Bolały nas wszystkie mięśnie i stawy także dużo trudniej było nam maszerować. Na drogę zaopatrzyłyśmy się w marchew zebraną z pola, którą chrupałyśmy jak zgłodniałe króliki.

Na szosie było pusto dopiero, gdy uszłyśmy 5 km zobaczyłyśmy wóz drabiniasty naładowany sianem.

- Gospodarzu! - zawołałam, możecie nas trochę podwieźć?

-Wsiadajcie! Jadę niezbyt daleko, ale chętnie was zawiozę. Nie pytał nas o nic z czego byłyśmy zadowolone. Położyłyśmy się na stercie siana i natychmiast usnęłyśmy jak zabite.

-Panienci złaćcie. Skręcam na prawo - usłyszałam lekko zachrypnięty głos młodego mężczyzny.

11/125

Zeskoczyliśmy z wozu. Podziękowaliśmy za przysługę i wypoczęte ruszyliśmy w dalszą drogę. Do Nowicza dotarliśmy bez przygód koło północy. Miasteczko było pogrążone w ciemności, gdyż dalej obowiązywało zaciemnianie. Adres znałam, gdyż utrzymywałam korespondencje z moją przyjaciółką, ale ni dy nie byłam w Nowiczu. Wiedziałam, że mąż Basi Tadeusz jest lekarzem, zaś jego ojciec kierownikiem szkoły.

- Wierujmy się w stronę rynku, stamtąd łatwiej się trafi - przejęła inicjatywę Nela, czując się zażół łaczniczką.

Krótko znalazłyśmy się na rynku. Na środku placu ustawione były szbieniece z wisielcami. Widok był potworny. Dobrze, że było ciemno i nie widziałam twarzy tych pomordowanych Rodaków. Wśród nich był nawet ksiądz. Łoże, co za okrucieństwo. Chciałoby się prosić Boga o litość nad nami. Kiedy wreszcie będzie koniec z tą przekłętą wojną?

- Pomódźmy się - szeptała Nela. Omówiliśmy pacierz i modlitwę za zmarłych i cięło o ruszyc się dalej. Nela trafiła do szkoły bez trudu. Wyszłam się naprzód i zadzwoniłam trzy razy. Drzwi otworzyła nam matka Tadeusza. Poznała mnie chociaż widziałyśmy tylko jeden raz na weselu Basi. Wpuściła nas do środka. Obudził się cały dom. Były żywe i gorące przywitania. Natychmiast przygotowano nam gorącą kąpiel i wsparta kolację. Mimo zmęczenia przeczuliśmy resztę nocy do rana. Oczywiście musiałyśmy dokładnie opowiedzieć o tym, co działo się w Warszawie. Oni zaś opowiadali o swojej działalności konspiracyjnej w AK na terenie swego miasta.

Tadeusz przed wyjściem do pracy zakrat nasze kenkarty i obiecał załatwić wsteczne zameldowanie a także znaleźć pracę. Byłam ogromnie wdzięczna rodzinie państwa Perzynów za okazanie nam serdeczności i pomocy.

Już od następnego dnia objęłam stanowisko pielęgniarki w Ambulatorium RGO / Rady Główniej Opiekuńczej/, gdzie oprócz pensji otrzymywałam także bezpłatny obiad. Nela po tygodniu wróciła do Bronia.

Napisalam list do mamy, ale długo czekałam na odpowiedź, która nadeszła tuż przed świętami. Była to karta pocztowa, a na niej kilka słów ale bardzo ważnych. Dowiedziałam się, że wszyscy żyją i czekają na mój powrót. Wypowiedziałam natychmiast pracę w Ambulatorium i podziękowałam państwu Perzynom za pomoc i gościnę. Nie zatrzymywali mnie, gdyż rozumieli, że chcę święta spędzić wśród najbliższych.

Nadszedł dzień 24 grudnia koło trzeciej nad ranem Tadeusz zapukał do mego pokoju.

-Basiu, wstawaj. Za godzinę musimy być na dworcu.

W parę minut później siedzieliśmy przy śniadaniu przy którym uczestniczyła tylko jeszcze moja przyjaciółka.

Włożyłam ci do torby trochę jedzenia. Nie wiadomo kiedy dotrzesz do domu. Przez noc napadało dużo śniegu, zasy py mogą utrudzić podróż - mówiła Basia, popijając gorące mleko.

- Martwię się, że nie udało mi się załatwić zezwolenia na jazdę pociągiem do Milanówka ale umówiłem się ze znajomym maszynistą, że pozwoli ci jechać na platformie przed parowozem. Pomogę ci tam wejść, gdy pociąg będzie stał przy sygnale. Będziesz jechała wojskowym transportem niemieckim więc będziesz musiała wysiąść przed dworcem Milanówka. Maszynista specjalnie dla ciebie zatrzyma pociąg, wtedy skacz. - informował mnie wyraźnie zafrasowany Tadeusz.

-Kie się nie martw. Dam sobie radę.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Parę minut po czwartej jechałam już pociągiem do miejsca przeznaczenia. Byłam szczęśliwa. Przypuszczałam, że najgorsze mam już poza sobą. Nie przewidziałam jednak tego, że jazda ona odkrytym wagonie przy temperaturze -10 stopni C stanie się dla mnie udręką. Nie pomogło tupanie nogami, uderzanie rękami pleców, rozcieranie zrabiających z zimna palców. Uzułam, że pomakam zamarzam. Szron zakleił mi powieki i usta dygotałam z ogarniającego mnie chłodu. Wiatr przewikał do szpiku kości. Na szczęście podróż nie trwała długo. Pociąg stanął pod sygnalem więc wyskoczyłam. Jakiś czas przeleżałam w śniegu, bojąc się, by nie spostrzegli mnie niemcy. Dopiero, gdy pociąg oddalił się na bezpieczną odległość wstałam. Otrzepałam się ze śniegu i wymachując rękami, nogami i głową dla rozgrzewki puściłam się biegiem naprzód. Pomakam czułam, że krew zaczyna we mnie lepiej krążyć. Przystanąłam, zajrzałam do torby. Chwyciłam przy otowaną kanapkę i zjadłam ją z apetytem. Popiłam łykiem wódki co bardzo poprawiło moje samopoczucie. Do Chylic miałam około 30 kilometrów. Szłam polami o drogę pytając napotkanych chłopów. Wróz zelżał. Padał śnieg. Nie robiłam żadnych przystanków, pożywiałam się w trakcie marszu, gdyż chciałam zdążyć do domu na wiliję.

11/131

Koło awudzie tej byłam już blisko Piaseczna, ale ominęłam je bojąc się spotkać Niemców. Poszłam polami na skróty, ale droga była uciążliwa. Padało dużo śniegu. Idąc raz po raz zapadałam się w zasy śnieżne, z których z trudem się wygrzebywałam. Ostry wiatr ze śniegiem siekły mi po twarzy, tamując oddech. Walczyłam z żywiołem, byłam już u kresu sił. A do domu było już bardzo niedaleko. Wyciągnęłam z torby flaszkę z wódką i wypić kilka łyków. Pomogło. Znowu ruszyłam naprzód. Dochodziłam wreszcie do wsi i dalej szłam wydeptaną przez ludzi ścieżką. Do jakiś czas stawałam, żeby odocząkać. Wiatr ustał. Śnieg przestał padać, ale noc była ciemna. Oni już napewno siedzą przy stole wigilijnym. Mama dzieli się tradycyjnie ze wszystkimi opłatkiem. Biegnę słowa życzeń, serdeczności i wiary w lepszą przyszłość. Przemykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem z nimi a nogi moje mazerują dalej, coraz dalej. Idę jak automat. Nagle słyszę wyrażenie słowa kolency, nawet rozpoznaję głosy. - "Dzisiaj w Betlejem wesola nowina, że Panna Czysta porodziła Syna" To śpiewa moja rodzina, a więc jestem w domu. Biegnę przez znajome podwórko i dopadam do drzwi - są otwarte. Widac na mnie czekali. Wołam: - Mamo! momentalnie wszyscy mnie otaczają, a mama tuląc mnie do swych wychudzonych piersi płacze. Potem wpadam w objęcia siostry Krysi i brata Jasia. Wiadamy do słomnie zastawionego stołu. W rogu pokoju stoi pięknie przystrojona choinka. Popijając czerwony barzeczyk i zjadając znakomite paczeczki z grzybami słucham opowiadań me o rodzeństwa o tym jak przeżyli Powstanie. Krysia mówiła o tragicznych przeżyciach na Ochocie, gdzie Ukraińcy gwałcili kobiety, podpalali domy, roztrzeliwali młodych mężczyzn a wreszcie tych co jeszcze żyli pędzili przez zieleńiak do Pruszkowa, gdzie znajdował się przejściowy obóz skąd po odpowiedniej selekcji Niemcy wywozili Polaków do Rzeszy na przymusowe roboty, lub do obozów koncentracyjnych. Jedynie chorych, starych i dzieci rozwożono po wsiach Generalnej Gubernii. Moja siostra była wyznaczona na przymusowe roboty, ale w momencie, gdy ruszał pociąg wyskoczyła z wagonu. Udało się. Strzelano do niej, ale nietrafiono. W Pruszkowie trzy dni przeczekała u swojej przyjaciółki Sławy a potem pieszo wróciła do Chylic. Jasio walczył na Mokotowie aż do jego kapitulacji. W czasie akcji został ranny w nogę. W czasie ewakuacji szpitala w którym leżałam znajomy gospodarz, którego Niemcy zmusili do transportowania rannych na dworzec ukrył brata w sianie pod siedzeniem. Po zakończeniu pracy odwiózł Jasia do domu.

Mama odkarmiła i doprowadziła go do zdrowia. Kula pozostała gdzieś w mięśniach lewego uda, ale rana zagoiła się. Brat mógł chodzić o lasce zupełnie dobrze. Czekaliśmy go jeszcze w przyszłości operacja, ale tymczasem było to niemożliwe ze względu na bezpieczeństwo. Skończyliśmy właśnie jeść kolację, gdy ktoś zastukał do drzwi.

- Nie ruszajcie się ! Ja otworzę - zawołała mama i wybiegła z pokoju. Nastukiwaliśmy wystraszeni. "oże Niemcy ? Jednak okazało się, że to kierownik szkoły ze Skolimowa. Z twarzy jego można było odczytać, że stało się coś złego. Minęło kilka sekund zanim do nas przemówił. Jasno postawił swoją sytuację. Stuchaliśmy w napięciu. Przed chwilą Gestapo aresztowało jego brata, który także pracował w podziemiu w szeregach AK. Na strychu w szkole jest ukryta broń, amunicja, powielacz, stacja krótkofalowa i radio. Trzeba natychmiast uprzątnąć te rzeczy. Bieży na naszą pomoc. Zrozumieliśmy, że nie wolno nam było odmówić. Bez słowa zaczęliśmy się ubierać. Ja zabierałem z sobą torbę sanitarną w której znajdowała się strzykawka oraz na głowę włożyłem biały czepik z czarną opaską, żeby z daleka było widoczne, że jestem pielęgniarzem. Mama wyciągnęła ze szuflki sanki i cztery worki. Musieliśmy szybko wychodzić. Dochodziła godzina druga nad ranem a do Skolimowa mieliśmy 3 km drogi przez las.

- Pójdę z panem przodem. Gdy nas zatrzymają, powiem, że dziecko wasze jest chore i muszę zrobić mu zastrzyk. Oni - tu wskazałam na rodziców będą szli za nami i w razie niebezpieczeństwa ukryją się w krzakach. Kierownik kiwnął głową, co miało znaczyć, że godzi się na wszystko.

Mama, gdy wychodziliśmy pożegnała nas, robiąc nad naszymi głowami znak krzyża.

Muszyliśmy zwąwać naprzód, zgodnie z planem. Gdy byliśmy już w lesie usłyszeliśmy rozmowy i śpiewy w języku niemieckim.

- Szybciej - szepnął kierownik wyraźnie zdezwoniony.

Ja i Kryśka skoczyli w pobliże zarośla. Przed nami ukazało się kilku Niemców.

- To wrnacht. Nic nam nie zrobią - pocieszyłam swego towarzysza. Tak też było. Przeszli koło nas zupełnie spokojnie. Byli nieco poddoci.

Wkrótce wszyscy znaleźli się na miejscu. Krysia została na ulicy przed szkołą, wypatrując wkoło, czy nie nadchodzi niebezpieczeństwo. Sygnałem zagrożenia miało być zapalenie przez nią papierosa. Żona kierownika obserwowała jej zachowanie przez okno. W razie pojawienia się obcej osoby na drodze, miałam natychmiast wejść na strych i wstrzymać akcję uprzątkowania. Pan Klimczak i Jaś szybko uporali się z robotą. Wkrótce ciągnęliśmy na sankach cztery mocno wypchane worki.

- Ukryjemy je w lesie, gdzie mam przygotowaną skrytkę - powiedział kierownik i kazał nam skręcić w głąb lasu. Tu w jednym zamastowanym rowie strzeleckim, pozostałym jeszcze z okresu walk wrześniowych 39 roku skryliśmy nasz ładunek. Jaś zostawił dla siebie radio oraz pistolet.

Do domu wróciliśmy bez przygód. Mama podczas naszej nieobecności uprzątnęła pokój i kuchnię oraz przygotowała dla nas wygodne spanie. Odroczywalismy do późnych godzin popołudniowych. Był z nami pan Klimczak, gdyż obawiał się powrotu Gestapowców. Martwił się bardzo o swego brata, wiedząc, że aresztowali go nie bez powodu. Po paru dniach otrzymaliśmy od niego wiadomość / krypta/, że leży w szpitalu w Piasecznie.

- Najpierw go skatowali, a teraz kurują, by znów go dalej więzić. Czeka już na niego miejsce w obozie koncentracyjnym - powiedział zgnębiony Klimczak.

- Odbijemy go! - zawołał Jaś, mamy przecież pistolety i amunicję. Po dokładnym rozpracowaniu całej akcji odbili więźnia. Personel szpitalny oraz pilnującego granatowego policjanta związali i zakneblowali żeby nie narazić ich na represje. Znajomy gospodarz z Chylic przewiózł chorego w bezpieczne miejsce, gdzie przeleżał do momentu wyzwolenia naszych terenów od okupanta.

18 stycznia 45 roku żona zabrała go do domu, jednakże po torturach, które przeszedł w Gestapo nigdy nie doszedł do pełnego zdrowia.

Do wiosny przebywałam wraz z rodzeństwem w Chylicach. Robiliśmy wyprawy do Warszawy, żeby zobaczyć co się tam dzieje, ale wracaliśmy zgnębieni - same ruiny i zgliszcza.

11/134
Bydgoszcz, 4 kwietnia 2001.

Wystąpienie nad Grobem.

Stojmy tu nad otwartą jésurę mogiłá Barbary Parfiénowicz z domu Krok - Paszkowskiej nr. w 1923.

Matká jej byta Helena Ewelina ze Swicimskica a Ojcem gen. Henryk Krok - Paszkowski.

Ná wiem dla czego, ale z chétopiszech lat, gdy dwudziestu jésur do Szkoły Powojskowej utkwili mi w pamieci obrach z podróznika historii, na którym bylo widac goties w terenie na ciwicu miach dwa miodolych jésur msiécyzn w skromnych mundurach strzeleckich w charakterystycznym na kapiach gón ludu polskiego - maciejónkach.

Jednym z nich byl Józef Piłsudski, a drugim Henryk Krok - Paszkowski...

Wie przynio mi wówczas do glosy, ze bylo, kiedy regnat nad grobem jego walczoną cétką.

Nasze drogi skrzyżowały się 6 września 1939 gdy jako harcerka na punkcie PCK pełniła służbę na dworcu Gdanskim w Warszawie, a ja jako świédo wyłatający rzemieślnik, pracownik Zakł.

dom zbrojeniowych opuszczając Warszawę przez ten dworec w transporcie ewakuacyjnym na wieś.

Przyszła noc oluściła, trzeba było dalej żyć, rosnąć i rozwijać się, nasza Droga Żywa była wszędzie nie tylko u matki w Chylicach pod Piasecznem. Pracowała jako higienistka w sierocinicy prowadzonym przez Radę Główną Opiekunów w Konstancinie. Pracowała do 3 letniej choroby przewlekłej PCP na ul. Smolnej, jednocześnie pracując tam.

Przez kontakty karcerne dostała do kompiracji, przynęca użyta na noc karcerzysty Ewy Gruskiej 2 stycznia 1942. Przesła szkolenie wojskowe i instrukcyjne organizowane przez Wojskową Świecę Kobiet.

Z więzienia na swój zowół została instruktorką sanitarną. W maju 1943. została zkontaktowana z ppor. Zenonem Szczębną z batalionem zgrupowania „Róg”. Poznawała topografię przynięgo terenu walki zbrojnej, zajmowała się holportażem prasy i broni.

W lipcu 1944. pierwsze kontakty z el-cami plutonu batalionu por. „Dziła” (Tadeusz Okulski).

Z fedną z swoich szkoleń otrzymała wiadomości wykreślenia na ul. Nowy Świat iwi przy wiadukcie mostu Kierbednia.

W dniu wybuchu powstania wskutek rozwoju walki została oddzielona od swoloty.

Nana Doga Zmarła w 1951. wysła zamasi
za Włocławca Barfienowicea i wraz z nim prze-
mieszka się do Bydgoszczy. Tu urodziła się córka
Maria i syn Piotr. Przeważa pracę zawodową
i przez 5 lat wychowywała dzieci.

W sumie razem z okresem warszawskim pracow-
ła w Ślubie Zdrowia 32 lata na różnych stano-
wiskach pracy i społecznie w organizacjach puleg-
niarskich Województwa Pomorskiego.

W 1976. z uwagi na stan zdrowia przeszła na
emeryturę, ale do dnia śmierci przewodniczą Komisji
Rewizyjnej w naszym Sądzie Własności Warszawskim
żołnierscy Armii Krajowej.

Trochę w tak krótkim wystąpieniu określi-
cały ogrom pracy i walki jaką podejmowała
i prowadziła w swym zakresie czynnym i pracow-
tym życiu, które nie ograniczało jej różnych
upokorzeń i bólów.

Teraz kilka słów do następnych pokoleń,
jeśli będziecie mieli w swym życiu trudne okre-
sy i nie będziecie wiedzieli jak postępować, to
przyjdzie tu nad ten grób i zastanówcie się
i pomyślcie jak Ona by to robiła, bo nad

Ta dzielna już wtedy młoda kobieta dopiero w nocy 3 sierpnia została wraz z podkomendnymi wyrwana się z okrycia i dotrzeć do wlotu na ul. Młodowskiej, do naszych barykad.

Po przeobrażeniu druzyną awansowała do miana komendantki wszystkich sanitariuszek i łącznic batalionu str. „Dziła”, który 6 sierpnia 1944. liczył już 340 żołnierzy.

Organizowała dwa punkty szpitalne: jeden przy ul. Fręta w piwnicy ebrownego domu, a drugi w podziemiach klatki siostr zakonnic.

Środki opatrunkowe i medykamenty wyroszono z ptornących aptek, 23 sierpnia została ranna i ranniana, ogółem rannych było 4 sanitariuszek a zabitych i zaginionych kobiet razem 14 kobiet.

Po kapitulacji w drodze do Ożarowa została wyrwana się z niewoli i zbicie do Łowicza i enia praca w RGO, a potem do 1951r. praca w szpitalach warszawskich.

Brat Józef absolwent szkoły Kadetów we lwowu walczył od początku wojny, potem w konspiracji. Zginął w 1944r. na Majakombu. Drugi brat Józef został uwięziony w „wywaliu” w 1945r. i dzięki pomocy naszej Drogiej Zmarłej udało się zbicie na Zachód, a z tego powodu matka Helena była więziona przez UB.

naszym krajem krajem, równie sąpy i od nas
 tyłko zależy, czy obronimy się, bo nie poległ się
 nie jest raz na równe dawane, ale trzeba o nią
 walczyć rozumem i siłą, On to umiała robić
 i robiła!

Teraz przesła na Wierzoną Wartę,
 niech Ci się Polska i Pomorska Ziemia
 lekka będzie - spoczywaj w Bogu!

Chwała Trójcy Pańskiej!

Z. Gwidziński

prawdopodobny Strażnik Wawrzynowski
 żołnierz Armii Krajowej.

Teraz jeszcze z upamiętnieniem p. prof. p. p. k.
 Armii Krajowej Elżbiety Zawackiej emsarskiej
 przedcennej Wojskowej Straży Kobiet, prowadzącej
 w Toruniu Fundację Archiwum Pomorskiej Armii
 Krajowej obejmującej także walki Kobiet Polskich
 na wszystkich frontach II wojny światowej
 składam Rodzinie naszej zmarłej wyrazy
 współczucia i łączę się z Wami w bólu po
 stracie tak dzielnej i ofiarnej siostry, żony,
 Matki i Babcie,
 niech pamięć o niej nie zgaśnie
 w dobrych potomkach.

Z. G.

IV Korespondencja
- listy z lat 1997-2000.



FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

Toruń, dnia 4.04. 2000r.

Kopia

2. dz. 468 / HSK / 2000

Pani Barbara Parfienowicz
ul. Chodkiewicza 15m.24
85 -065 Bydgoszcz

Szanowna, Droga Pani,

Bardzo dziękuję za tak szybki odzew na moją prośbę.

W imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej i całego zespołu dokumentalistek Archiwum WSK bardzo dziękuję za podjęty wysiłek w poszukiwaniu adresu Pani Haliny Poliszewskiej. Cieszę się z nawiązanego kontaktu z Panią. Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku będzie okazja zapoznać się bliżej.

Za zdjęcie również Pani dziękuję. W Pani teczce osobowej znajdują się opracowane przez Panią bardzo obszerne i ważne dla nas *Wspomnienia*. Byłabym jednak niezmiernie Pani wdzięczna gdyby zechciała Pani również sporządzić relację opisową, ale w oparciu o załączony schemat. Jest to ważne dla naszego archiwum ze względu na przyszłe badania statystyczne.

Jeszcze raz za wszystko Pani bardzo dziękuję i zapraszam do dalszej z nami współpracy.

Z wyrazami szacunku i pozdrowieniami od całego Zespołu

Anna Rojewska
Anna Rojewska

Dokumentalistka Archiwum WSK
przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

zał.:

1/ Schemat relacji WSK

Zdzisław Goździewicz

Bydgoszcz, 14 kwietnia 2001.

85-613 Bydgoszcz
Złotym Armii Krajowej
Patrolu Pywernyjskiego -
• Obwód Pułtowski

KIC
Wpłynęło dnia 19.04.
Ldz. 1942 POM 2001

Wielce Szanowna Pani Profesor
pułkownik Armii Krajowej
w Toruniu

Raport.

✓ Polecenie Pani Profesor wypełniłem, nad grobem
mojej zmarłej siostrzyce WSK Barbary Partymowicz
w Pani imieniu przegnatem, treści mojego wystąpienia
zatem, był tam nasz setender, zaangażowany
kapłanista, który odegrał hymn Wojska Polskiego nad
otwartą mogiłą, a potem altowną dumką żołnierską
z cokolaki, a z jego zaprowadzeniem przeszli rozchodzić.

Pan ptk. W. Zawadzki medał warty żołnierską
i merblistów. Było bardzo dużo uczestników pogrzebu
i mieli sto kwiatów i wieżonek, przemawiał też
nasz siostrze dr. St. Krasneli.

W czasie mojej ostatniej bytności w Toruniu
2 kwietnia b.r. i w kontakcie z Panią dostatek
instrukcję dobrego postępowania, co oczywiście w tym
kierunku napisaniem na rzece p. Prezes, a Pani
Profesor pragnę teraz wyfałszować procyfny moich
to zadbanien w Związku Odwaga Bydgoszcz.

stymatem, skłonion go odprawiliście, próbował za-
crepić się u nas w Bydgoszczy, ale ostrzeżeniem p. H.
Niemborskiego i więcej się już u nas nie prokował.

Dalej będą się starać stawić Fundacji
w miarę moich coraz bardziej malejących możliwości
i nie odstrasza mnie Pani Profesor wypowiedź
iżdamia, no bo dowiedzia ma obowiązki iżdać
od czterech miesięcy nie to jest cześć możliwości,
bo inaczej nigdy nie osiągnęlibyśmy żadnego
związku, a osiągnięcia Fundacji Archiwum
i naszym wielkim zwycięstwem nad nieprzyjacielem.

Zawsze gotów do służby

Z. Godkowiński



dn. 29.03.2000

Bratowmo Pauli Amia!

Wpłynęło dnia 4.4. ^{RWE II. Eoj.}
Ldz. 743 | WSK | 2000

Bratko serdecznie dziękuję za miłą kartkę
i tyle serdecznych słów, dotychczas mojej
skromnej osoby. Żałuję bardzo, że mi nie mogłam
uczestniczyć w obchodach 94. Urodzin pani
profesor Elżbiety Zawadzkiej ale ostatnio mam
dużo kłopoty ze zdrowiem. Jestem bardzo słaba
i ledwo chodzę z laską. Pozdrawiam p. Profesor, że
ona była żywotnym źródłem energii mimo poważny
wiek. Proszę mi, że mi mogły nie dowieść
o pani Halinie Poliszewskiej. Obiekt z moich
koleienców z AKami. Też ze Zw. Powstańców
Warszawskich o niej nie wiem. Nie ma też
jej nazwiska w książce telefonicznej.

Zgodnie z prośbą przesyłam moje zdjęcia
z roku 1968. Życzę przyjemności utrzymywania

kontakt z Fundacji Archiwum Pomorskiego
Armii Krajowej, ale niestety jestem niepełny
I grupy wojennej i mam bardzo słabe zdrowie
Proszę ode mnie bardzo serdecznie pozdronić
Panią Profesor Elżbietę Zandę oraz Panią
Ellenę. Konkretnie do nich nie sięgam.
Z okazji zbliżającego się Święta Wielkanocy
i Pani moją serdecznie życząc
Prześląm wiele serdeczności. Pani
oraz całej rodzinie Archiwum
z pozdrowieniem

Bertrice Tarpięcówna

P.S. Dziękuję za przesłane uwagi
dotyczące Pani Profesor

Wielce Szanowna Pani,

Dziękujemy serdecznie za przekazany dar pierniczki. Oficjalne podziękowanie będzie umieszczone w Biuletynie Fundacji.

Dzięki takim ofiarodawcom jak Pani, możemy nadal kontynuować naszą działalność archiwalną i wydawniczą. Wkrótce będzie wydana książka „Służba Polek na froncie II wojny światowej cz. 3”

W dniu 20 marca br. p. prof. E. Zawacka obchodziła Urodziny. Wysyłamy Pani życzenia z tej miłej uroczystości.

Pragniemy aby nasze kontakty były trwałe i przyjazne. W Archiwum WSK ma Pani teżkę osobową o numerze inwentarza 263/WSK. Pani relacja z działalności konspiracyjnej w AK Warszawa jest interesująca. Wskazujące są wspomnienia. Prosimy Panią o przysłanie zdjęcia. Zdjęcie może być z okresu po wojnie. Nadal nie znamy adresu p. Haliny Poliszewskiej. Z Londynu sprwadziła się do Bydgoszczy. Oczekujemy wiadomości od Szanownej Pani.

Z wyrazami głębokiego szacunku
Anna Rojewska
Dokumentalistka Archiwum WSK

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
fax/☎ (0-56) 65-22-186
Konto: WBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0

Adres 402/WSK/2000



Szanowna Pani

Barbara Parfenoncz

ul. Chodkiewicza 15/24

8 5 - 0 6 5 Bydgoszcz

Wszystkiego Najlepszego



lot. M. Sopotowska, A. Huficka-Hauck

dn. 10.06.58

Wspaniale i Droga Pani Profesor!
Serdecznie dziękuję za miły list i za
zdrowienie. Srebrak s.p. Pani dla mi. Polisa-
głej, ale koleżanki od razu by przypomniała
nie o tej Rodzime nie widzę. Oboje
Woliamy z Rarostwami być z mi.
Wspieraniem: ciekawość ma odpowiedź.
O. Coś być widzieć z mi. mi. mi.

Crak. B. Parfianska
ul. Chodlińska 15/21
85 0 65 Bydgoszcz

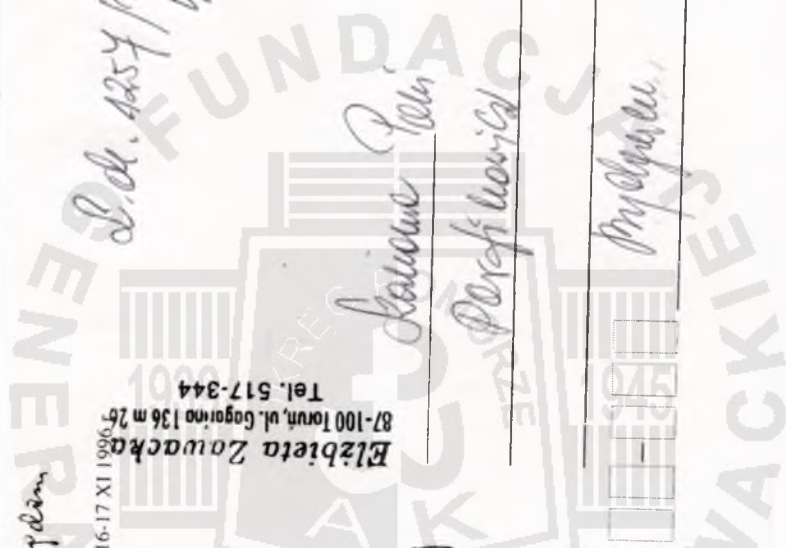
Srebrak s.p. Pani Profesor



do Pani
W. Pani Profesor
Eliżeta Łowicka
ul. Gagarina 130-26
87-100 Toruń

zapytac' o rodzinę
M. Rebecka

S. de. 4257 / wkle / 98
4.06



Elzbieta Zawacka
87-100 Toruń, ul. Gogolina 136 m 26
Tel. 517-344

Jej bracia Bolesław i Bogdan
Fundacja Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
VI Sesja Naukowa - Zjazd Kombatantek, Toruń 16-17 XI 1996
"Polki w wojnie 1939-1945"

Toruń 3/vi 98

Szanowne Drogo Pani,
Czy Pani mogła by mi pomóc
nie wśród znajomych, czy ktoś
przyjacielom mi zwa Patry-
scuskich, walczy z Niemcami z
Bydgoszczą w czasie okupacji w Warszawie
w tym w itki. Maria ps. "Mamyki"
wypie zame do Ravensbrück.
Bardzo mi zależy na jej relacji
lub relacji o niej. Serdecznie pozdrawiam
Elzbieta Zawacka

Przepraszam

7. VII 38
Leuke Partienowicz - Bydgoszcz

Stranovna i Druge Paui Profesori.

Serdicno drizhuju za misli Kerthuzi ponužo
o mnii i jednocrisni premerom, ie do-
piero tener odpisuju. Trvalo to dlatego tak
dlugo, gduji zgodnie z Paui polecenim
Suelistam sledu sp. "ellonyti" Palisardziej.
Koleizanti i Kowensbruchi odpisali mnii,
ie taliej osoby nie znaly. Bylo jeszcze to
trudnoie, ie one mela z soby normalnaly
i postugiwaly si numeracii a nie imionami,
czy pseudonimami. W samej Bydgoszczy wilek
z moich znajomych rdrennych bydgoszczank
nie znal taliej rodziny. Przylo mi, ie nie
nie moglam pamiec. Ilom nadziej, ie
Paui ze zdrowiem czuji si dobrze, jeli
zarne jst pełne zycie i energii. Z
moim zdrowiem nie jst dobrze a

Uzrytkiemu jist inna celowca: žle
Styoz, žle u dze, mam czyste nepedore
migotani predsionis, a tere mentis,
klopoty krogiewow. Co' gorne woq'le ni
moys mrie chodric (rowzianie tztuicel
o moyed) ete dno' jui 2 mienice ni
wyhodry. Na ruszei mam dobrez allei,
ktory is mng opidauzi. elulismy ostatnis
diwo emocij, gdyi wan umu Tomson l 19
zdesat matus (z uprozniemien) oner
eysemim do S. G. H. o Warkoni.
W sztyho pomto mu g'edho, elemymy
ny bardo deneroweli, žebz moq' delej
dy uoyzi: zdohye dobry zowod. Drugi
umule Jakub l. 19 (syn c'orki) jist jui
ne 11 wolem prwe w U. S. A. Od
wnisnie 18 fedria jui ne žiħi zoreħat
gohzi Uerelnie etmeduile go Akademiku
(pomocnik administrator) i jednocis niu
Uezp. r. Serdecnie pozdrivam Barbar

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
☎ (0-56) 65-22-186
Konto: WBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0

Ldc 1545/NSU/88



Elżbieta Zawacka
87-100 Toruń, ul. Gagarina 136 m 26
Tel. 517-344

Barbara Parfenowicz

Barbara Parfenowicz
Parfenowicz

W. Chodkiewicz 22 15/24

8 5 0 6 5

BYDGOSZCZ

Jomni 20 vii 98

Štanovne Pani,

Pris postórně wapravi po-
sanku wany Polisredky, P. zra
Kucerynske z Wawranu, która
jij wówner posankuže podade
mi teraz, ze najstary brat
Merytki maš náperno na
imni dedu a mieraše bystris
w Al Wojtke Polskugo.

Wroci ta wtkarówně pom-
u ich odnawěc

Ležy serdecne po-
zdrówně - tak mi jist
pomykro, ze z kombabantka
m by dly wšim mam zu-
peřme nikdy kontakt
Srbu te Zlwanu

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 271-86
87-100 TORUŃ

Toruń, 12 10 1997

Memoriał Gen. Marii Wittek

Lok. 1453/100X/97

Szanowne Pani

Barbara Parfenowicz

Bydgoszcz ul. Chodkiewicza 15/24

Kopia

Archiwum Fundacji APAK dziękuje za nadesłaną dnia 8 10 1997
do zbiorów Dzieku WSK relację, (dotyczącą Pani służby wojennej.
cenna materiały)

Z wyrazami szacunku i pozdrowieniem
z Zawsze

Przewodnicząca Memoriału

Szanowne Drodze Pani Barbaro,
Przyjmuję Pani bardzo dobre materiały relacyjne - za-
czytujemy z nowych stron ostatecznych.
Miejsce 3 z tytułu relacji musi być dać do kontroli
poprawiania; po uzyskaniu materiału napisany jest do
relatorów celem poprawek i autorzy zapy-
Do p. Zofii Sierpianki i p. Lucy Kroszwickiej napisaliśmy
o wypełnieniu. Wzajemnie miłego zapytania
veru!

U wte!

- mentu (lub ich krewo)

Pam Barbara, Szeregotna goweca dzykny Pam ze panno
kel Maria Kerwotowej (jaka ni ciest, ze Pam ni dypny jasnity)
pny wyprawnama kart mas wiskowych wypisanym z Pam
pnykny kruzki.

Byty by my bardzo wdyncne ze dabni kart mas wiskow
mduge z jakij kolwiei kowbatawta lub ich zmynonych
zygocych i zmastych. Jwi Pam wie jak wypisac te kart
- kazde mowoko nie odobni lny kartce a Pam mowoko
jako informatowka.

Bardzo serdecznie Pam g pozdrawiam, zycze
podysu ma zdrowie i peser nar dzykny
Zlute Zawsze

tel. 8211611

Prz
AFIENOWICZ

BARBARA

BYDGOSKA

UŁATA • 2010 ul. *ul. [illegible]*

WBIC - 16.2.2000

du. 2. 05. 87 r

05. 05. 92

7091 WSK 192

Wielce szanowne Pani!

L.dz.

Dziękuję Pani za przesłany sprawozdanie
z pracy Serż - Ujda. Jest doskonałe
opracowane. Je temu myślę z ichm o s. p.
Annie Robakowej, która była specjalnym
ekspertem i bohaterką postacie z ówczesnego
Postania a także doskonałym korespondentem.
Kierownik o której Pani pisała nie udradziła.
Przepraszam że mi nie udało się udradzić o
dziatelnosci w „Memoriata gen. Alleni Wittke”
ale stan moje zdrowie jest zły (I gr. inwe-
liditor) i dnie dolegliwości ze strony serca
(niegotanie przewlekłe) nie pozwala mi na
podjęcie i wykonanie dziatelnosci.
Przepraszam Pani wyrazy szczere i iżre
dnie zdrowia i w

Łączę serdeczne pozdrowienia
Barbara Parsienowicz

Parfianowski Barbara dn. 17.06.97

Wpłynęło dnia 23.VI.97

Ldz. 9981 wst 197

Szanowne Pani Profesor!

Dziękuję za miłą kartkę z dn. 18.05
Przepraszam, że tak długo mi odpis-
ywałam, ale miałam gości z Korady
i durówkę. Niestety nie mogłam
zapisać danych o moim sześ-
cioranku i jego imieniu, bo się
wzrosły po Świeci.
Przepraszam Pani moje kłopoty do
dyspozycji.

Łgas serdecznie pozdrawiam
i wyrazy szacunku

Barbara

do teściu.

Wpłynęło dnia 10.10.97
Ldz. (1479) WSK197

dn. 8. październik 57

Drożne Pani Profesor!

Przepraszam, że tak długo nie odzywałam się
ale przechodziłam gripę i trudno mi było
wrócić się do pisania. Przenyłam swój życiowy
opis relacje kolejarzy. Wyśłałam każdej z
nich Schemat Relacji W.S.K., ale niestety
mi się one niepiśmiennie zgodzić z nimi.

Wobec tego wyśłałam Pani Listy Kobiet ze ^{Focus to}
Zw. Powstańców Warszawskich Kolei w Bydgoszczy ^{nie konty}
niestety mi pełną, gdyż mi mogłam się ^{int.}
doprosić kolejarzy o odpowiedź. Chciałoby
ponownie z tego okresu. Przepraszam, że
mi mogą braci udzielać w spotkaniach
w Toruniu, ale jestem już bardzo słabym
mem I grupy inwalidztwa i trudno mi
podróżować. Proszę o wybaczenie.

Łgocę wyprawy rocznik i podróży
Barbara Parfienowicz

Toruń, 1997.09.30

Ldz.1453/WSK/97

Pani
Barbara Parfienowicz
ul.Chodkiewicza 15/24
85-065 Bydgoszcz

Szanowna Drogo Pani,

Dziękuję serdecznie za cenną przesyłkę z danymi biograficznymi żołnierzy kobiet ze Związku Powstańców Warszawskich w Bydgoszczy. Chciałabym im założyć oddzielne teczki osobowe, ale były mi potrzebne ich obszernie relacje^x, fotografie i być może dokumenty /lub ich ksera/. Ewentualne koszty związane z kserowaniem Fundacja pokryje.

W IV śróde października o godz.16, jak co miesiąc odbędzie się 106 już spotkanie Klubu Historycznego Fundacji. Tym razem mówić będziemy o gen.Marii Wittek. Czy Pani będzie mogła przyjechać /w takim razie proszę zabrać się z kol.Elżbietą Grzywaczową/, a może Pani zaprosi koleżanki z Związku Powstańców i ewentualnie dalszych zainteresowanych.

Tymczasem serdecznie pozdrawiam
i jeszcze raz dziękuję

ZZ

x Pożądane, aby relacje były pisane wg schematu z książeczki "Służba Polek ..." s.76

263
kurka B Parfienowicz
Wpłynęło dnia 30.09.97
L.dz. 14521 WSK 197
Bydgoszcz dn 21.09.97 r.

Szanowna Pani Profesor !

Zgodnie z umową przesyłam Pani relacje moich koleżanek ze Związku Powstańców Warszawskich. Przesyłam skrót oryginalnych relacji, pisanych przez koleżanki, jednakże są one pisane zbyt rozwlekłe, o ile życzy sobie Pani je mieć to prześlę je pocztą. Prosiła Pani, żeby skontaktować się z Białorusią poprzez moją bratową. Ona jest ode mnie dużo młodsza. W momencie wybuchu wojny miała 7 lat. Mieszka od Mołodeczna 100 km we wsi Tumikowicze pow. Dokrzyce tuż przy dawnej granicy Polski z ZSRR. Obecnie to jest Białoruś. Nie miała ona nigdy kontaktu z AK ani żadną organizacją Kombatantką. Prawie wszyscy Polacy mieszkający w tej wsi już dawno powrócili do Macierzy. W związku z tym nie mam możliwości spełnienia Pani prośby. Przykro mi z tego powodu. Moja bratowa wyszła za Rosjanina i nie czuje się Polką. Nie interesują ją nasze sprawy. Przesłałam 13 zł za te dwie przesłane książki. Ze zdrowiem moim jest niedobrze / dolegliwości sercowe i cukrzyca / W związku z tym moja współpraca z Memoriałem gen. Marii Witek za c serdecznie przepraszam.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia

Barbara Parfienowicz

elad.

B. Parfienowicz
ul. Elzbińska 15-2^a
85 065 Bydgoszcz



Wpłynęło dnia 4.4.1939
Ldz. 743 LSK 2000

B. Pawi
Amra Rojewska
Fundacja Archiwum AK
ul. W. Gorkiego 2
87 100 Toruń

T. 263/wsk

AK
W-wa

PARFIENOWICZ Barbara
z d. Paszkowska

V Nazwiskowe karty informacyjne

AK
Bydgoszcz

szef. PARFIENOWICZ Barbara
pprot. c. Henryka nr. 1923+

zob. „Kombatant” 1988/8 s.17

Zgier/99

KW
T: 263/WSK 1738
Harcerstwo
WwP.
AK
WwP

++
PARFIENOWICZ BARBARA
p. "Sylwia" niekwiarska
z d. Krok-Paszkowska
zm. 1.V.2001

Jako harcerka uczestniczyła w obronie Warszawy 1939
Od r. 1942 żołnierz AK, wchodzenie sam-
turmisk i turkiskich. W powstaniu warszaw-
skim w szeregach "Rosa" batalion
"Dzik" WSP na St. Miesie.
Krzyż Walecznych.

Aleksandra -
Kubacka 2001

206 nekrolog
Guz. Wyp. (Stoleum)
4/4.2001

VERTE

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy,
że dnia 1 kwietnia 2001 roku
odeszła od nas nasza ukochana Siostra

Ś†P

BASIA PARFIENOWICZ

pseudonim „Sylwia”

córka gen. Henryka Krok-Paszkowskiego.

Całe życie dzielna, radosna, oddana ludziom i Polsce.

Jako harcerka żoliborskiej drużyny numer 10
brała udział w obronie Warszawy w 1939 roku.

Od 1941 roku rozpoczęła naukę w Szkole Pielęgniarek PCK,
a w 1942 roku pracę w konspiracji, zostając żołnierzem AK
w Wojskowej Służbie Kobiet.

szkoląc kadre sanitariuszek i łączniczek.

W Powstaniu Warszawskim walczyła w Zgrupowaniu mjr. Roga
batalionu „Dzik” WSOP na Starym Mieście
jako komendantka sanitariuszek i łączniczek. Ranna.

Odnaczona Krzyżem Walczących. Resztę swego życia poświęciła
służbie pielęgniarskiej, pracy społecznej i rodzinie.

Żegnamy Cię, kochana Basieńko

siostra i brat z rodzinami

Pogrzeb odbędzie się 4 kwietnia 2001 roku w Bydgoszczy
na Cmentarzu Komunalnym przy ul. Wiślanej o godzinie 13.45.

T: 263/4SK

Krok - Paszkowska Barbara
pseudonim: Sylwia Odsadnia

AK
19-42

Inne były losy córki gen. Henryka Krok-Paszkowskiego - komendantki sanitariuszek i łączniczek batalionu "Dzik" - Barbary Parfienowicz z domu Krok-Paszkowskiej. Do Armii Krajowej dostała się poprzez harcerstwo, jak i opisane powyżej 2 siostry rodzone, ocalałe z pożogi i masakry na Woli. Dopiero 3 sierpnia nad ranem dociera komendantka Barbara (pseudonim "Sylwia Odsadnia") wraz ze swoimi sanitariuszkami do Starego Miasta, aby zameldować się u por. "Szczurby". Obchodzi natchmian kontrolując wszystkie placówki sanitarne, gdzie udzielana jest w batalionie "Dzik" pomoc sanitarna na polu walki. Liczni ranni zostają transportowani do szpitala przy ul. Długiej 8. 5 sierpnia przedarł się do tego batalionu pod silnym ostrzałem por. "Dzik", który wraz z mjr. "Rogiem" (z-cą d-cy zgrupowania) znajdowali się przy pl. Mirowskim. Wtedy została "Sylwia" oficjalnie mianowana komendantką wszystkich sanitariuszek i łączniczek batalionu. Organizuje wtedy na ulicy Freta 10 w piwnicy i u Sióstr Sakrementek na ul. Nowowiejskiej punkty opatrunkowe batalionu, które stopniowo przekształciły się w szpitaliki powstańcze, stale je nadzorując. 11 podkomendnych sanitariuszek poległo, a 8 było rannych.

23 sierpnia 1944 zostaje zasypana pod gruzami w czasie kontroli szpitala na ul. Freta. Uratowana przez kolegów, ranna w głowę i ze złamaną ręką i wstrząsem mózgu umieszczona w szpitalu na ul. Freta. 2 września ewakuowana kanałami do śródmieścia. Odznaczona Krzyżem Walecznych.

Imię i nazwisko

Werte!

"Myślimy po prostu w alayli" pod
red. Stanisława Krasuckiego, Bydgoszcz
1935, s. 150

Elż. XI '02



T263

24 POK²⁹

Ww

Parfianowicz Barbara

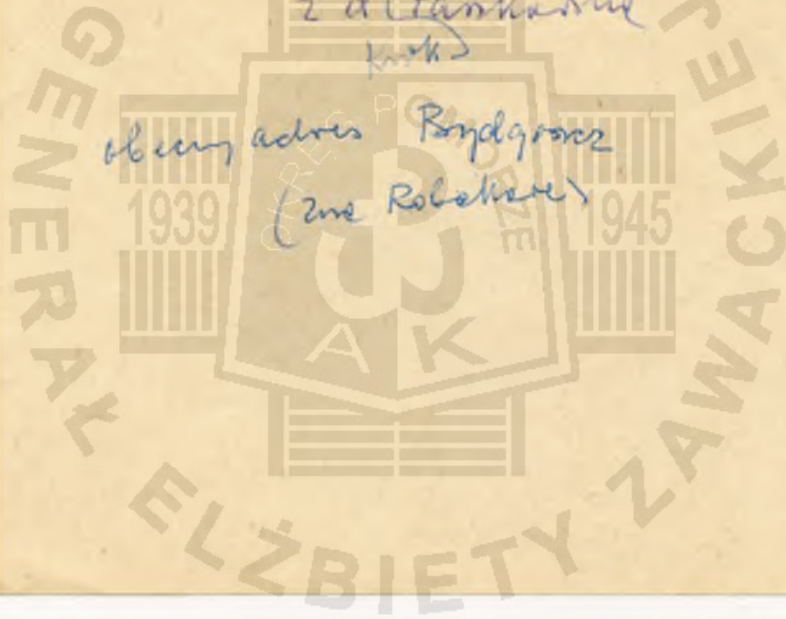
z d. Pamianstke
(m)

obecny adres Rydzgrosz
(zme Robotow)

1939

1945

AK



T. 263/WSK

AK
Powstanie
W-IVa

#

PARFIENOWICZ Barbara

z d. Paszkowska

VI. Fotografie

1. zdj. legitym., 1968, oryg. (3,8 x 6) szt. 1









PARFIENOHICI Barbarov

